

6 De II 1
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 143.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

SERYA V.

Lipiec.

TOM III. — ZESZYT VII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 28 czerwca 1876 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Komedye Aleksandra hr. Fredry. (Odczyt publiczny Stanisława hr. Tarnowskiego, dnia 4 kwietnia r. b. w wielkiej sali Ratuszowej w Warszawie).	1
II. Szkice z ekonomii społecznej i pedagogii. Przez Maksymiliana Kawczyńskiego.	28
III. Synowie hetmańscy. Opowiadanie historyczne. Przez Władysława Chomętowskiego.	47
IV. Gabryela. Komedia w pięciu aktach, Emila Augier'a. Tłumaczył Kazimierz Kaszewski.	106
V. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.	128

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

VI. Głos dra. I. Majera, prezesa Akademii (umiejętności w Krakowie) na doroczném posiedzeniu publiczném w dniu 3 maja 1876 r. Kraków (w 8-ce str. 12). Przez W.	156
VII. Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne, pod redakcyą prof. dra Tadeusza Piłata. Rocznik II, Lwów. Z drukarni E. Winiarza 1876. (w wielkiej 8-ce str. 193 i tablic statystycznych str. 69). Przez R.	159
VIII. Literatura polska w Ameryce. Przez W.	160
IX. Meine Antwort an Herrn Darwin. Von Prof. Max Müller in Oxford. Berlin 1875. Przez M. Wł. Dębickiego.	162
X. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie i artystyczne.	170
XI. Nekrologia.	175

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 143.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1876.

— 33 —

Tom trzeci.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1876.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Юня 1876 года.

ALEKSANDRA HR. FREDRY.

(ODCZYT PUBLICZNY STANISŁAWA HR. JARNOWSKIEGO, DNIA 4 KWIETNIA
R. B. W WIELKIĘJ SALI RATUSZOWEJ W WARSZAWIE).

III.

Z tych czterech wielkich komedyj, którym z dawniejszych jedna tylko jest równa *Mąż i Żona*, najmniejszém i najmniej znaczącém, a najobfitszém w błędy jest *Dożywocie*. Samo założenie, podstawa jest słaba, wchodzi w kategorię tych sytuacji niezbyt naturalnych i logicznych, które Fredro czasem wymyśla niewiedzieć dlaczego: może dlatego, że mu się nie chce pomyśleć nad innemi. Że młody marnotrawca, który przehulał majątek i został o dożywociu tylko, o dochodzie jaki mu ktoś miłosiernie a opatrnie do śmierci zapewnił, w chwili potrzeby czy fantazyi rad sprzeda ten jedyny swój sposób utrzymania za jakąś sumkę, której mu się właśnie zachciewa, to rzecz bardzo naturalna, równie jak i to, że ją lichwiarz rad nabędzie. Ale chodzi o to, czy oba mogą zrobić to, co by zrobić chcieli? Wszakże ów przeczorny dobroczyńca Birbanckiego, który mu dożywocie zabezpieczył, musiał zrobić jakiś akt prawny, jakiś zapis, mocą którego kapitał leży gdzieś w trzecim ręku pod opieką sądu, a Leonowi wypłacają się procenta. Jakżeż ten depozytaryusz, który je wypłaca, może oddawać je Łatce? jakże układ sprzedaży dożywocia, który między Leonem a Łatką musiał także zawartym być prawnie, mógł dostać potwierdzenie tego sądu, pod którego kuratelą jest Leon, lub jak mógł się obejść bez tego potwierdzenia? Zaraz pierwsze wielkie nieprawdopodobieństwo. Ale pomińmy je, powiedzmy, że poetom wolno na kodeks nie zważać lub odmieniać go jak im się podoba: to i ta koncessya, choć wielka i trudna, nie wyprowadzi nas jeszcze ze wszystkich wątpliwości. Bo jak, pytamy dalej, układ taki mógł stanąć tak, żeby Leon Łatki nie znał wcale, nigdy go w życiu nie widział? Dajmy na to, że działał przez faktorów. pełnomocników i t. d. ależ i wtedy jeszcze byłby słyssał nazwisko człowieka, który jego prawa nabywał. Leon był lekkomyślny, Łatka przebiegły i skryty tém bardziej, im gorzej robił; zapewne, wytłumaczyć można wszystko, ale nie dobrze już, że tłumaczyć potrzeba. Wszystkie zaś tłumaczenia i przypuszczenia nie poradzą na to, że przypadek jest bardzo nieprawdopodobny. A na nim, na nabyciu dożywocia i na tém że Łatka jest Leonowi zupełnie nie znany, opiera się cała akcja. Żeby już odrazu skończyć z błędami, dodajmy, że trudny do zrozumienia jest Łatka, kiedy się chce żenić, a jeszcze trudniej-



szy Orgon, że mu daje córkę. Na co Łatce żona? czy się kocha? czy jak Harpagon Moliera ma jakie miłosne pretensye, albo czy chce komu zrobić na złość? Bynajmniej; projekt matrymonialny niczém nieusprawiedliwiony. Mówi on wprawdzie, że chce mieć w domu „stróża, coby jego strzegł szkatuły,” ale to dopiero nie do wiary, że taki sknéra mógł się tak grubo pomylić. Jakto? wyrachowany, skąpy Łatka nie obliczył, że ten stróż więcej go będzie kosztował aniżeli mu przyniesie? Nikt dotąd nie słyszał, żeby ożenienie było środkiem oszczędności, ale żeby to nowe odkrycie zrobił skąpiec, to jest co najmniej dziwne. Wszelako u Hymena, jak u Amora nie można zawsze i we wszystkim szukać logiki; przestańmy więc na tém, że Łatka się żeni, bo się chce ożenić i dalej nie pytajmy o powody. Ale Orgon, cnotliwy Orgon, gatunek parafialnego Katona, typ szczerego, poczciwego szlachcica (za to nam go autor daje), który się tak oburza na świat chciwy i brudny: ten Orgon wydaje swoją własną córkę za podłego lichwiarza? Zmuszony jest koniecznością? chodzi o los, o życie innych jego dzieci? Nie, to zła racya. Gdyby Łatka był tylko starym, brzydkim, brudnym skąpcem, możnaby tę ojcowską twardość, to poświęcenie jednego dziecka dla dobra drugich zrozumieć. Ależ Łatka jest lichwiarz, jest poprostu choć pod inną formą złodziej, i ten uczciwy Orgon, ten wcielony zmysł moralny i honor uważa, że ma prawo dać mu córkę, nie obrażając w niczem swego honoru i swojej surowej cnoty? Jak mu się podoba. Tylko potem nie ma już prawa w długim monologu narzekać na tych, u których w ustach jest „honor z cnotą” a w myśli złoto, i kiedy tak narzeka jest prawie tak śmieszny, jak cielę z bajki, kiedy się łajało „jaki téż to osioł ze mnie.” Wreszcie jeszcze jedno zapytanie. Wszak Birbancki nie ma ani grosza? Orgon jest w kłopotach i biédzie? Prawda? Zkąd więc w zakończeniu ta pewność, którą Orgon daje Leonowi, że może odkupić od Łatki swoje dożywocie za połowę wartości, i że do roku umówioną cenę zapłaci? Trzeba było jakoś skończyć, jakoś dożywocie wydrzeć Łatce a wrócić Leonowi: ale jak? nad tém autor znowu się nie zastanowił, pracy sobie nie zadał, i samowolnie przeciął węzeł, ale go nie rozwiązał. To powiedziawszy, trzeba przyznać, że może w żadnej innej komedii dowcip Fredry nie jest tak błyszczącym, tak niewyczerpanym w sytuacji wielkiego, komicznego efektu, i w koncepta, w słowa i zwroty, nieprzewidziane a klasyczne. Jak często w potoczném życiu mówimy wyjątkami z *Dożywocia*, ile razy powtarzamy mądre adagium Łatki:

„Szanuj zdrowie należycie,
Bo jak umrzesz, stracisz życie,”

albo to pobożne votum

„Jak kark skręcisz dam gromnicę,
Lub gromnicy obietnicę.”

A „wszakże wieczność dosyć długa,” a „jeden prawda (but) lecz paryzki,” a „własna fraszka (miłość) lecz żonina!” a ten klasyczny opis sładko-kwaśnej żony:

„Moja znowu nic nie powie,
Nie zachmurzy nawet czoła;”

wszystko to już stało się własnością publiczną; wszystko przeszło w przysłowie i Pan Jowialski dzisiaj musiałby już umieć na pamięć nie jeden wyjątek z *Dożywocia*. Co do figur, te z wyjątkiem Orgona, który nie jest zgodny z tym charakterem jaki mu autor dać chciał, i z wyjątkiem jego Rózi, w której nie wiedzieć doprawdy, co się Leonowi tak bardzo podobać mogło, są jedna w drugą znakomite.

Najmniej Birbancki, na którym też najmniej zależało, choć i ten nie jest bez pewnego birbanckiego zacięcia i szyku, ale jego Leporello, Filip, zuchwały, wygadany, wyszczekany, bezczelny, wytarty, sprytny: co za typ! Moznaby wymalować jego portret i napisać jego historią. Był już wszystkim i wszędzie czém i gdzie można być na tym świecie: był prawdopodobnie fryzyerem, niewątpliwie pokojowym w oberży trzeciego rzędu i podejrzanój reputacji, z pewnością nieraz na policyi i w domu poprawy, zapewne i w teatrze prawdziwym jako lampiarz lub figurant, a przy wędrującej trupie pierwszym bohaterem, może był w cyrku, a zawsze na pogrzebach w wytartym, czarnym fraku i z pochodnią w ręku. Umie sławnie grać w bilard, gwizdać, wykrzywiać się, grać na harmonice i zawracać głowy pannom z którymi tańczy „pod Zdechłym Psem” i pod „Czerwonym Huzarem.” Jeżeli nie umie wyciągać z kieszeni zegarków i pularesów, i fałszować banknotów, to chyba dlatego tylko, że nikt na tym świecie nie jest doskonałym. Nie jest bez wdzięku i stary Twardosz milczący jak grób, nieruchomy jak posąg, cały z jednej sztuki, z jednego odlewu jak wielkie charaktery starożytności; ale ze wszystkich najmilsza, najdoskonalsza a niby tak nieznacząca, tak małym kosztem stworzona para wiejskich Dioskurów, prawdziwe *par nobile fratrum*, Rafał i Michał. Ich strach kiedy się wytrzeźwili i przebudzili, zakłopotanie o kapelusz, rozpacz o przegrane trzysta reńskich, gesta, mina, kiedy im Leon dodał odwagi a dał fatalne bileciki do żon; sroga furja, z jaką potem przychodzą go wyzwąć i zabić, i poczciwa, naiwna dobrodusznosc z jaką miękną rozczuleni wymową i łzami Łatki, sławna tyrada o żonie, która „gadałaby aż do śmierci:” wszystko to robi z nich figury tak typowe, tak plastyczne, tak zabawne, że można im wrożyć wieczną młodość i nieśmiertelność w literaturze polskiej, jeżeli nie taką, jak ma Kastor z Polluksem w Olimpie, a Achil z Patroklem na wysokim Parnasie, to blizką tój, jaką ma Asesor i Rejent z Pana Tadeusza, Pfarrer i Apotheker z Hermana i Doroty, a już z pewnością nie gorszą jak ma Trissotin i Vadius z *Sawantek* Moliera, lub sławna para Markizów z *Mizantropa*. Łatka jest bratem, może nawet bliźniakiem Harpagona, ale nie jest jego kopią. Pierwszeństwa zapewne musi mu ustąpić, jako starszemu, ale oprócz tój różnicy wieku, czy jest gdzie w literaturze dramatycznój świata figura im równa, któraby mogła być godnie *in diesem Bunde die dritte*. I na tój figurze głównej, która jest osią akcji, uwydatnia

się wyraźnie wielki talent dramatyczny Fredry, dar stopniowania sytuacji coraz bardziej zajmujących, efektowych, coraz komiczniejszych. Jego pierwsza scena z Filipem jest doskonałą ekspozycją i jego własnego charakteru i sztuki. Scena z Twardoszem w drugim akcie, ta licytacja in minus *dożywocia*, z takim trudem przez biednego Łatkę doprowadzona do końca i tak fatalnie przerwana przez służbę, przynoszącego lekarstwa dla Birbanckiego, jest i komiczną w najwyższym stopniu i nawet potężną, bo jego skąpstwo przybiera rozmiary i ton namiętności niezmiernie silnej, a śmiesznym być nie przestaje. Następna scena z Leonem, kiedy drży o jego życie, a dostawszy w bok, cieszy się jego siłą; potem kiedy ze strachu, żeby Leon nie siadł do balonu zamyka go na klucz ze swoją narzeczoną a jego kochanką: to ciągle stopień coraz wyższy tej samej namiętności i tej samej komiczności. Zdaje się że się zerwie, że ton podniesiony za wysoko. Ale nie, w trzecim akcie znowu układ z Twardoszem; już wypłata, już się pozbył niepełnego *dożywocia*, już liczy, maca banknoty, pożera je oczyma, kiedy wpada Rafał i Michał obrażeni oba o miłość żoniną, z pistoletami nabitemi na Leona. Jaki Łatka wtedy mądry, jaki znawca ludzi, jak umie trafić w słabą stronę, pochlebić, pogłaskać, rozczulić.... poszli przecie, pieniędzy już mu nikt nie wydrze. Gdzie tam: doktor przychodzi przestrzedz, że Birbanickiemu grożą suchoty. Twardosz znika cicho i prędko jak cień, dla Łatki nie ma ratunku: *dożywocia* nikt od niego nie odkupi. Tu następuje rozwiązanie, udany zamiar samobójstwa Leona z miłosnej niby rozpacz, którym przestraszony Łatka oddaje mu i Rózię i jego dawne prawa do *dożywocia* za połowę wartości. Ta ostatnia scena, w której Łatka chce Leona oddać sądowi i pod straż, potem mu prawi o powabach świata i życia, potem o Bogu i zbawieniu duszy, jest punktem kulminacyjnym roli, najbardziej efektywnym ze wszystkich komicznych efektów, bukietem, który godnie kończy ten świetny fajerwerk dowcipu. Błędy, niedoskonałości są niezaprzeczenie; policzyłbym do nich poetyczne a fałszywe, konwencjonalnie poetyczne zachwyty Leona nad rozkoszami powietrznej żeglugi w balonie, ale po przeczytaniu śmiało i głośno chce się powtórzyć, co ktoś z parteru krzyknął Molierowi: *c'est de la bonne comédie*, prawdziwa, świetna na duże rozmiary komedia.

A *Pan Jowialski*? Zła komedia, okropnie długa, pozbawiona dramatycznego węzła i zajęcia; to co je zastępuje, przebranie, to uszłoby ledwie w komedii dla dzieci; ludzie nie możliwi, jakich nigdzie nie ma; starego Jowialskiego mania przystów i bajek, to nie charakterystyczna cecha jakiegos ludzkiego typu ale idiosynkrazia jednego dziwnego indywiduum: oto co się czasem o Jowialskim słyszeć daje. Może w tym jest co prawdy; tylko choć komedia może być zła, rzecz jest bardzo znakomita i nie najdoskonalsza zapewne; ale kto wie czy nie najbardziej oryginalna, a pomimo swojego pozoru lekkiej faceciji, czy nie jedna z głębszych jakie Fredro napisał.

Z dramatycznego pierwiastku nie ma tam wiele, to prawda: że mistyfikacja, przebranie śpiącego Ludmira za Sultana byłoby bardzo mizernym środkiem komicznym, gdyby nie działało się w domu Jowialskich, to także prawda; ale tutaj, zważywszy ludzi z jakimi mamy do czynienia, jest i usprawiedliwione i naturalne. Że Jowialski jest naturą zbyt wyjątkową, iżby mógł być typem, zgoda i na to; jest tylko wysokiem, kwintessencją pewnego zбочenia, pewnego skrzywienia natury ludzkiej i polskiej, jest anomalią, ekscentrycznością. Ale jest przytém prawdą psychologiczną, prawdą historyczną, prawdą moralną; nawet jest, nie komedią może, ale obrazem zakreślonym na wielkie rozmiary, obrazem szalenie dziecinnie wesołym napozór, a na prawdę dość smutnym dla kraju i czasu do którego należy.

Czas do którego on należy! Otóż kwestya właśnie: który to jest czas. Przy innych komediach Fredry nie nasuwa się to pytanie. Większa ich część nosi mniej lub więcej wyraźne piętno pierwszej ćwierci naszego wieku, ale tak samo odbywać się może i dziś w jego ćwierci ostatniej: *Zemsta* oczywiście odbywa się na jakie lat dwadzieścia, dzie sięć przynajmniej, przed końcem XVIII wieku. Ale Jowialski? Żyją tu obok siebie epoki odległe, pokolenia, które się nie widziały, szlachcic z czasów saskich obok artystów i rozmarzonych panien wychowanych na poetycznym romantyzmie: jak te dwie epoki, te dwa światy mogą występować obok siebie jako równoczesne? To jest pytanie, które się nasuwa pierwsze a najbliżej dotyka prawdopodobieństwa komedyi.

Artysta i literat, który z zamiłowania pięknej natury charakterystycznych wiejskich postaw, pieszko puszczają się gdzieś nad Czere mosz, a choćby tylko nad Dunajec i Poprad, to rodzaj ludzi, którego u nas dawniej nie bywało, między prostymi śmiertelnymi; w publiczności; rozpowszechnił się gdzieś dopiero około roku 1840. Panna Helena także nie czytała może jeszcze wszystkich romansów pani Sand, ale czytała wszystkie ballady, wszystkie dramata fantastyczne, wszystkie powieści poetyczne, jakie wydała poezya romantyczna. A stary Jowialski tymczasem należy do pokolenia przedpotopowego prawie: on nie jest z czasów Stanisława Augusta, ale z saskich; on się chował nie w pijarskim, ale w jezuickim konwiku przed Konarskim jeszcze: on nie jest z tej generacji co Niemcewicz naprzykład, ale starszy, i mógłby być rówienikiem pana podstolego, figurować w nim jako jeden z jego sąsiadów, inkarnacja jednej z tych zdrożności i złych zwyczajów, które Krasicki wcielone w różne typy przez powieść swoją przeprowadza. Przestrzeń czasu objęta życiem aktorów tej komedyi jest rzeczywiście bardzo długa. Ale nie trzeba brać rzeczy zbyt ściśle: najprzód Jowialski jest już oczywiście bardzo stary, mógł urodzić się za Augusta III jeszcze, przez swoją dziwną naturę i życie na uboczu ustrzedz się wszelkich wpływów działających na późniejsze pokolenia, wychować się i żyć pośród swojego już jako żywy anachronizm, jako chodząca relikwia dawnych czasów. Czy zabytki takie dożyć nie mo-

gły do czasów Ludmira i Heleny? niektóre dożyć musiały, bo inaczej z kądzęby między nami był się wziął Jowialski: autor, żeby takiego oryginała stworzyć, musiał znać figury nie takie, jak on, ale tak jak on oryginalne, tak nacechowane wyraźnem piętnem innego świata i wieku, tak żyjące nie w naszym ale w tym swoim dawnym świecie, i otoczone jakąś osobną atmosferą, w którą wszedłszy człowiek dzisiejszy, mniema się być przeniesionym o sto lat w tył. Możemy zresztą przybliżyć sobie trochę Jowialskiego, powiedzieć, że się urodził w połowie zeszłego wieku, a że komedia odgrywa się w r. 1827 lub 28, i tak z obu końców trochę lat ujmując dojdziemy nawet do materialnego chronologicznego prawdopodobieństwa. Ale czy taki Jowialski, jak go Fredro pojął mógł być możliwym w jakimkolwiek czasie i społeczeństwie? A czy Rzeczpospolita Babińska nie była Jowialszczyzną, w uczynku? Czy Jowialski nie jest potomkiem Pszonki? czy w tych zmarszczkach po których widać, że każdy ze śmiechu powstał, nie znać pokrewieństwa i rodzinnego podobieństwa? Zapewne, różnice są wielkie i typ jowialisty odmienił się z czasem, Pszonka *progeniem dedit viliosiore*. Tamten wiedział o wszystkim, ten nie wie o niczem i byle w domu było mu dobrze i wesoło, nie chce o niczem wiedzieć; tamten żyje nie w Babińskiej tylko Rzeczpospolitej, ten zamyka oczy i uszy i drzwi, zasklepia się u siebie jak ślimak; w śmiechu tamtego jest delikatne a zbawienne żądło satyry, u tego śmiech jest całym celem, jest sam dla siebie: tamto, to humor zdrowej i jędrnej indywidualności, to, to zabawka indywidualności tej samej, tylko zestarzałej, zniedołężniałej, zdzieciniałej. Tamto to polski dowcip wesołości i fantazyja za Zygmunta Augusta, to za Augusta III. Tak jest: ten zabawny, miły, wesoły pan Jowialski jest produktem i reprezentantem plemienia wyrodzonego; żeby się tak śmiać zawsze i tylko śmiać, na to trzeba było utracić energią i ducha, i ten śmiech dla śmiechu jest kwiatem, który ze zdrowej ziemi nie wyrośnie nigdy. Czy taki Jowialski był kiedykolwiek w rzeczywistości? zapewne nigdy, ale ten Jowialski z komedii jest najwyższym wyrazem, ideałem, ostatnią konsekwencyą wielu rzeczy, które w rzeczywistości były. Cała nasza skłonność do spokoju i bezczynności, do miłego wczasu i wesołego używania, niechęć do pracy a potrzeba zajęcia, zaprzątnienia myśli najczęściej żywój: są w Jowialskim, i one to, doprowadzone do ideału, czy do absurdu, wydały jego rodzaj życia i myślenia.

Dawniej on nie byłby mógł stać się takim, byłby miał przecie jakiś obowiązek, jakiś urząd, jakiś cel w życiu. Ale doczekał się czasów, w których tego wszystkiego mieć niemógł, w których jego życie musiał zamknąć się w domu. W domu zaś było tak wygodnie, tak dobrze, był tak niezależny! Nie miał ani dość energii, żeby to życie rozszerzyć i zapełnić, ani dość powagi żeby cześć jego zrozumieć; przyjął je, powiedział sobie, że inaczej być nie może, starał się nie myśleć o tém, czego nie miał, a używać wesoło tego co miał. Typem on nie jest, i dzięki Bogu, że nie jest; ale jest wielką prawdą,

bo on mówi całym swoim sposobem myślenia i życia, że przez bierność, niedołęstwo, brak energii w charakterze, powagi w myśleniu, czynności i obowiązku w życiu, i wysokich pragnień w sercu, dochodzi się do idyotyzmu w życiu. Jowialski nie głupi wcale z natury, żyje jak idyota dlatego, że o niczym nie myśli i niczego nie pragnie. Jego wesołość, z wiedzą i zamiarem autora lub bez nich, jest bardzo smutna i prowadzi do gorzkich refleksyj. I to jest głębsze znaczenie, wartość i nauka tej postaci.

A jój pozór, jój powierzchowność? Ta jest tak miła, tak pełna wdzięku, że ludzie zupełnie; Jowialski tak się podoba, tak się wkłada w serce, że trzeba dopiero przypominać sobie, że on się śmiać nie powinien. Henryk Rzewuski, lub Chodźko, ci wielcy mistrze w kreśleniu starszylacheckich postaci, byliby szczęśliwi oba, gdyby w jednym ze swoich obrazków mogli byli umieścić takiego starego facetusa rozpromienionego śmiechem, z głową pełną dykteryjek i przypowieści i z naturą bardzo sympatyczną. Bo pan Jowialski jest najmilszy starsuszek na świecie. Jedną z tych natur spokojnych, żołądkowych, jeżeli się można tak wyrazić, od których nie trzeba żądać nic wielkiego, nic trudnego, bo to leży poza zakresem ich myśli, uczucia i zdolności, ale można od nich żądać wszystkiego co przyjemne i miłe. Uprzejmość, pobłażliwość, nie bardzo czynna, ale niezmienna dobra wola dla ludzi, pogoda w myśli, spokój w sercu, w życiu zastosowana we wszystkim zasada *leben und lieben lassen*, rozumu a zwłaszcza obserwacji dużo, ironii trochę, ale goryczy nic, łagodność, wyrozumiałość, jakiś sybarytyzm nie głupi i wesoły, jakiś nieszkodliwy naiwny egoizm, który dobrego serca nie wyklucza wcale: oto pierwiastki składające charakter pana Jowialskiego. Charakter bez wyższej wartości zapewne, bez zasługi, ale nie bez wdzięku; niktby nie chciał mieć za ojca takiego starego do niczego, jak Jowialski, ale każdy radby go mieć za sąsiada. Chcąc stworzyć taką figurę, taki zbiór bajek i przypowieści, taki worek żartów i śmiechu, musiał Fredro wymyślić dla niego taką naturę; naodwrot takiej natury nie mógł zcharakteryzować lepiej jak tym rodzajem humoru, wesołości i gadulstwa. Z tego połączenia wyszła figura zbyt wyjątkowa, indywidualność zbyt ekscentryczna, żeby mogła być typową jako charakter i rodzaj życia. Ale rodzaj conceptów i dowcipu Jowialskiego ten jest typowy, wyobraża jedną charakterystyczną stronę polskiej wesołości, upodobanie w anegdotach, dykteryjkach i facecjach, które było u nas zawsze, było w wieku XVI i dziś jeszcze się znajduje, i pomiędzy reprezentantami polskiego humoru, od dawnych Pszonków i Stańczyków począwszy, przez pana Paska i Krasickiego, aż do Henryka Rzewuskiego, zawsze wymienić trzeba Jowialskiego. A łatwiej może być i facetusem w życiu, niż stworzyć takiego w sztuce. Próbowano nieraz wprowadzić do powieści lub komedyi takiego reprezentanta polskiego humoru, pana Paska np.: zawsze bez skutku. Udał się tylko książę Panie Kochanku Rzewuskiemu i Jowialski Fredrze.

A jak go doskonale otoczył, co mu dał za towarzystwo! Pani Jowialska najprzód; wierna stara Baucis zakochana w swoim Filemonie tak samo jak w pierwszym dniu po ślubie, protestująca czasem w imię skromności przeciw jego żartom, zdolna zawsze upiec raka w swoich latach siedemdziesięciu, jak żeby ich miała siedemnaście i zapatrzona jak w słońce, w rumianą, rozpromienioną twarz jegomości; pani Jowialska ma tę naturę księżycową, częstą u dawnych Polek, obraca się tylko w sferze męża, poza tą sferą nic nie widzi i nie wie, jest trabantem godnym swojej planety. Aż strach pomyśleć co się stanie jak kiedyś jedno z nich umrze; kto tak potrafi słuchać bajek, jak pani Jowialska, lub co ona pocznie, jeżeli jój ich do słuchania zabraknie? Tylko, że do tego nie przyjdzie, jedno drugiego nie przeżyje długo, bo smucić się, cierpieć, płakać nie umieją, w chwili kiedyby śmiech ustał, ustałby także pierwiastek życia, i pierwsza łaza będzie trucizną, która ich oboje zabije. Szambelan (sam jego tytuł dowodzi, że rósł i żył już w naszym wieku) jest ze swojemi ptakami, klatkami, grubszemi i cienyszemi kijkami, najzabawniejszym kretynem, jaki był kiedy w komedyi świata. Sztuka i trudność była wielka, posunąć głupstwo tak daleko, a nie przesadzić go, zrobić je zabawném.

Pani szambelanowa, która każdemu lubi powiedzieć prawdę „powloli grzecznie i wyraźnie” z francuzczyzną, z wspomnieniami pierwszego męża świętej pamięci generał-majora Tuza, nieszczęśliwa kobieta, która musi znosić czyszcowe męki, jedna przy zdrowych zmysłach w tym domu waryatów; pan Janusz, który ma rozum i wieś: oboje są bardzo zabawni. Panna Helena może za śmieszna trochę, trudno istotnie pojąć jak mogła podobać się Ludmirowi. Ale Ludmir znowu i jego przyjaciel Wiktor, to bardzo miłe chłopcy, żywe, wesołe, sprytne, z wyjątkiem niezrównanego Gucia, najsympatyczniejsze figury młodych kochanków w całym teatrze Fredry. Słowem jako komplet doskonałych figur, z których żadnej nie można nic zarzucić, chyba jednej Helenie trochę przesady w przesadzie, Jowialski jest zupełnie na wysokości *Meża i Zony i Ślubów*, a wyżej od *Dożywocia i Zemsty*. Co nie znaczy, żeby był równie dobrą komedją jak *Zemsta*: nie. Jest to zawiązanie sztuki, ta nieszczęśliwa mistyfikacja, która go zniża bardzo; ona u Jowialskich jest możliwą i prawdopodobną, ale przez nią dzieje się to zjawisko dziwne, że komedya, która przez rodzaj swoich figur powinna być wyższą, akcją, intrygą, schodzi do rzędu farsy. Oprócz tego, pierwiastku dramatycznego jest tu bardzo mało; sam nawet sposób charakteryzowania osób jest raczej powieściowy, opisowy, zewnętrzny, niż dramatyczny. Z tego wynika, że komedją można krytykować bardzo i słusznie. Ale nie wynika, żeby dzieło nie było bardzo znakomitém. Kogo zaś razi w Jowialskim ta niezgodność z regułami i wymaganiami komedyi, ten niech zapomni, że to komedya, niech sobie wyobrazi, że czyta dyalogowaną powieść, a potem niech powie gdzie czytał ładniejszą i zabawniejszą? A nawet nie mówiąc już o dowcipie i humorze, ale sytuacji komicznych w znaczeniu

dramatyczném tego słowa, nie brak tam wcale. Janusz np. doprowadzony do rozpaczki słowem „sam chciałeś,” które mu wszyscy jak na złość powtarzają; Szambelan przestraszony przez Wiktora, nie mogący przyjść do słowa a zapominający o czém chciał mówić, kiedy wrzecie do niego przyszedł: to są efekta komiczne najlepszej próby. „Myszka na łopatce,” niespodziane znalezienie straconego syna przypomina nieco historią Figara i Marceliny, ale niepodobieństwem jest, żeby w mnóstwie komedyi jakie się piszą, żaden motyw nigdy się nie powtórzył, a byłoby niesprawiedliwością z takiego podobieństwa jednego szczegółu robić punkt oskarżenia przeciw autorowi czy sztuce. W końcu, nie godziłoby się mówiąc o Jowialskim nie wspomnieć choć jedném słowem o jego wielkiej specjalności, o polu, na którém jego jowialność świeci w całym blasku, o bajkach. Mamy ich dużo w naszej literaturze, a bez zarozumiałości doprawdy możemy sobie przyznać, że mało która literatura ma dobrych i ładnych tak dużo. Bajki pana Jowialskiego należą niezawodnie do najlepszych, nie ustępują w niczém najlepszym Morawskiego, a jeżeli bajki Krasickiego są od tych jeszcze lepsze, to Jowialski umie i takie, któreby książę biskup warmiński bez wstydu mógł podpisać; owszem byłby z pewnością bardzo z siebie kontent, gdyby był napisał bajkę o małpie np., albo klasyczne *Osiolkowi w żłoby dano*. Szanujmy Jowialskiego, jest to na grobie dawnego polskiego humoru, postawiony jego posąg pełen życia i prawdy, jak umyślnie na to, żeby „żyło wiecznie w sztuce co w życiu z każdym dniem bardziej znika.” Ale oprócz tego znaczenia i tej wartości wielkiej, jest w Jowialskim, przypadkiem może bez myśli autora, ale niezaprzeczone i wielka prawda. Jowialski ma za syna szambelana; czczość i bezmyślność życia, nawet przy bystrym umyśle w jedném pokoleniu wydaje idiotyzm w pokoleniu następném. A szambelan już syna nie ma. Genealogia czy allegorya dobra do rozważenia dla ludzi, dla rodzin, dla całych warstw i pokoleń.

Czy komedya jest, czy może być poezją? Nie ta fantastyczna naturalnie, w której wróżki i książęta z bajek spacerują po zaczarowanych ogrodach, gdzie Aryel śpiewa nad głową Fernanda, Tytania kłóci się z Oberonem a Puck niezgrabny, po raz pierwszy w życiu rozkochuje w Helenie Ateńczyka ale nie tego co trzeba: ta jest poezją, nikt ję tego przynajmniej dotąd nie przeczył. Ale ta rzeczywista i powszednia, której bohater wygląda, żyje, jak my wszyscy; mógłby być naszym sąsiadem, przyjacielem, bratem, bohaterka podobna do naszych siostr i kuzynek, a rzecz dzieje się nie w państwie wrózek i czarów, ale na wsi pod Sandomierzem, Lublinem, Przemyślem, Poznaniem lub Berdyczowem, lub w salonie paryzkim czy warszawskim, ale takim jak wszystkie? Rzadko, rzadko niestety! Jest w codziennój powszedności naszego życia, i w żartobliwej drwiącej naturze komedyi, coś co poezyi przeskadza, ideał robi nieprawdopodobnym, zabija natchnienie, nie pozwala na styl poetyczny. Ztąd to poeci i krytycy, nadęci własną powagą, patrzą z góry na komedya, nie pozwalają ję pokazy-

wać się na Parnasie, i jednę z dziewięciu Muz, biedną Tali, każą stać za drzwiami, jako niegodną. Czy to słusznie? czy nie byłoby lepiej wyrzucić z grona Muz uczoną Uranią np. z cyrkłami, globusami i teleskopami? Bo Talia, prawda, czasem się zapomina, czasem lubi złe towarzystwo, poniewiera się po małych teatrzykach, miewa takie dziwne pomysły, że niktby się w niej nie domyślił Muzy i bogini. Przecież czasem, jak młody Wenecyanin np. wykradnie piękną żydówkę i w noc księżycową rozmawia z nią o muzyce, Talia miewa natchnienia, którychby jej pozazdrościć mogła nawet wzniosła Polyhymnia. Ale to Szekspir; to komedia także choć trochę przynajmniej czarodziejska. Ale w tej prawdziwie społecznej i potocznej? kto wie, czasem. Cóż może być prozaičniejszego na świecie, jak Bawarczyk i monachijski bursz, a przecież jest pewien Fantasio; dependent od notaryusza także nie bywa zwykle otoczony poetyczną aureolą, a jednak jest pewien Fortunio.... Ale to także inna kategoria, to Musset, to kapryśna fantazyja, która tylko rzeczywistość udaje, to poezya przebrana za komedyę. A chodzi o prawdziwą; gdzie w komedyi prawdziwej od Arystofanesa do Sheridana i od Moliera do Sardou, gdzie jest poezya?

Gdzie? Tam gdzie bez lirycznych dygressyi, bez pretensyi i bez zamiaru może stworzenia czegoś poetycznego, bez sytuacji bardzo zajmujących, owszem w najprostszych i najpotoczniejszych, autor umiał figurom swoim nadać tyle wdzięku, że one są nie tylko żywe i zabawne jak często w komedjach ale i ładne; gdzie młody chłopiec w swoim trzpiotostwie jest taki miły, taki figlarny, taki wesół i dowcipny, że wszystkie kobiety za nim przepadają, wszystkie chłopcy mu zazdroszą a w swoim uczuciu taki porywający, taki śmiały i taki pewny, że kiedy o nim mówi robi się miękko na sercu; i znowu chłopcy zazdroszą, a zazdroszą i panie i panny tej, która takie oświadczenie słyszała: gdzie młoda dziewczyna „czysta jak śnieżek co świeżo popruszy,” świeża jak kwiatek, prosta jak dziecko, ciekawa jak Ewa tego uczucia, które po raz pierwszy westchnąć ją przymusi“ przyjmuje je z takim szlachetnym i niemylnym instynktem kobiecej godności: gdzie w jakimś wiejskim dworze pod Lublinem między balem „pod złotą Papugą,” płacziwemi burami starego wujaszka i poważnemi morałami matki przedzie się romans zwyczajny i prosty ale ładny jak najładniejsza idylla, w *Ślubach Panińskich*.

I to cały sekret. Pytamy się nieraz, dziwnym się, dlaczego one podobają nam się tak bardzo, dlaczego sto razy widziane za setnym nie tracą nic na uroku. To nie skutkiem akcji bardzo bogatej i efektowej, jak w *Weselu Figara*, nie skutkiem charakterów bardzo potężnych i głębokich jak w *Tartuffie* lub *Mizantropie*; nie skutkiem błyszczącego dowcipu, bo niema go tu więcej niż w innych sztukach Fredry; ale skutkiem tego, że w tej parze kochanków jest wdzięk nieśmiertelnej młodości. A wdzięk, kiedy dochodzi wysokiego stopnia staje się poezją. Cóż to jest ten wdzięk w kobiecie, którego nikt określić nie umie, a o którym wszyscy mówią, że znaczy więcej niż

piękność? To jest w duszy, w sercu, w wyobraźni téj kobiety poezya, która przebijają przez jęj słowa, ruchy, wyraz twarzy, i otacza ją kręgiem czaru, któremu poddać się musi, kto w niego wstąpił. Co jest ta władza, ten wpływ jaki wywierają czasem mężczyźni na drugich mężczyzn? To nie wyższość rozumu, nie tylko siła woli; w takim razie Fryderyk byłby tak samo ludzi podbijał i fanatyzował jak Napoleon—ale jakiś pociąg magnetyczny, jakiś dar działania na wyobraźnię, właściwy tylko ludziom, którzy na prawdę poetyczni są. Urok ten mężczyźni jak i wdzięk wielu kobiet może być szkodliwym, niebezpiecznym, na złe użytym; wszystko to prawda, ale gdzie on jest, tam musi być jakiś promień poezyi w osobistości, która go wywiera.

Otóż z kreacyami wyobraźni jest podobnie. Jeżeli one nie bawią tylko lub śmieszają, ale się podobają tak, że chciałoby się je lubić, że się do nich czuje sympatyę, jak do żywych ludzi; że każde ich uczucie lub wrażenie odbija się podobnym w naszym własnym sercu, że kiedy im dobrze to nam miło, a kiedy im smutno to myśmy płakać gotowi: wtedy rzecz niezawodna, w tych kreacyach jest poezya.

W komedyi prawda jest takich bardzo mało, zwłaszcza mało między kochankami. Te figury o które właśnie chodzi i które z natury rzeczy w moc swojego uczucia i położenia powinnyby być najbardziej zajmujące, jak na złość są najczęściej blade, sztywne, mdłe, konwencyonalne i nudne. Gdzie jest w komedyi, z wyjątkiem naturalnie Szekspira i z wyjątkiem Musseta, para kochanków tak ładna jak *Gustaw* i *Aniela*? Nie u Moliera, ani u Beaumarchaisgo. *Figaro* i *Zuzanna* mają daleko więcej dowcipu niż *Gustaw* i *Aniela*, ale żeby samą swoją miłością tylko tak zajmowali i tak się podobali, to nie. *Alcesto* i *Celimena* całą swoją wartość i cały swój wdzięk niepospolity zresztą biorą ztąd właśnie, że nie są parą zakochanych. Miłość prosta, wzajemna, poczciwa, szczęśliwa, któraby bez przeszkód i perypetyi szła prosto do ołtarza, a zdołała sobą tak zająć, tak całą sztukę zapełnić, to istotnie w komedjach trafiać się niezwykle, a postaci podobnych do *Gustawa* i *Anieli*, takich ładnych typów młodości i miłości w ogóle nie wiele jest w literaturze. Nieledwie łatwiej o takie w życiu jak w sztuce. Dziewczyna miła i uroczą, sympatyczny chłopiec, to na świecie dzięki Bogu spotyka się dość często. Ale w utworach wyobraźni bohater, który jest tylko dobrym, miłym chłopcem i niczym więcej, bohaterka taka sama, oboje zwyczajni, a przecież poetyczni, to bardzo rzadkie, i w naszej literaturze przynajmniej, drugą taką parę kochanków, zupełnie inną, ale jak ta, pełną wdzięku w codziennęj zwyczajności natury i położenia, spotkać można tylko wysoko po nad komedya, tak wysoko, że już wyżej niema nic w naszej poezyi, w *Panu Ta-deuszu*.

A więc nie pytajmy dlaczego nam się *Śluby* tak podobają: to cała a przynajmniej główna przyczyna. Są inne, pomniejsze, jest doskonały i zabawny *Radost*, jest śliczna *Klara*; ale to wszystko nie byłoby zrobiło ze „*Ślubów*” najulubieńszęj ze wszystkich komedyi pol-

skich, gdyby nie było podniesione poetycznym wdziękiem Anieli i Gustawa.

Wujaszek, matka, starzy przyjaciele, ułożyli projekt małżeński, sprowadzili kawalera, żeby pannę zobaczył. Kawaler dzieciak jeszcze wielki, pomimo swoich lat dwudziestu czterech lub pięciu, ma się trochę za Cezara i myśli, że dość mu będzie przyjść i pokazać się, żeby zwyciężyć. Panna widzi to dobrze, oburza się, przyjmuje jego i jego starania z niezmienną a co więcej nawet przez jakiś czas z nieudaną obojętnością. Młodzieniec tём zdziwiony zaczyna na nią uważać, zadawać sobie pracę, nadarmo. Zdziwiony coraz bardziej upiera się przy swoim, musi zwyciężyć, nie przez upor i miłość własną tylko, ale już i przez coś więcej. Już on poznał, że to głowa, co myśli, wyobraźnia, która ma swoje marzenia, wola, która ma swoje żądania. Poznał, że ta którą uważał za tuzinkową istotę, to nie lalka ale dusza, i kocha. A ona kiedy usłyszała słowa prawdziwego uczucia, choć nie do siebie niby zwrócone, uwierzyła i zaczęła kochać także: oto całą ich historia najprostsza, najzwyczajniejsza na świecie. Ale jak ładna, z jakim wdziękiem, z jaką znajomością ludzkich uczuć, z jakim delikatnym cieniowaniem przeprowadza autor swoich bohaterów od obojętności lekceważącej z jednej strony, podejrzewającej ze strony drugiej, aż do miłości! Ta gra uczuć, to ich stopniowanie, ta walka miłości i woli męskiej z kobiecą stanowi właściwą treść i największy powab sztuki.

Czy są w niej błędy? Bardzo małe. Ekspozycja jest nieco za długa, skoro intryga zawiązuje się dopiero w końcu drugiego aktu (sc. VII monolog Gustawa): ale któż się spostrzeże że tak jest, kto ma czas i uwagę o tём myśleć, patrząc na Gustawa wracającego z nocnej wyprawy na uroczyste śluby panien, na desperacye Radosta, albo słuchając wzajemnych przytyków Gustawa i Klary. Podstęp Gustawa, podstawa całej dalszej akcji nie dość może wyraźnie oznaczony w kilku wierszach monologu, które w graniu zwłaszcza łatwo mogłyby ująć uwagi widza. Zakończenie znowu idzie może za prędko na wspak zawiązaniu, które postępuje zbyt pomalą; w piątym akcie zmierza wszystko do końca przyspieszonym pędem, i byłoby może lepiej, żeby eksplikacja Radosta z panią Dobrojską np. odbywała się na scenie, albo żeby scena ostatnia trwała cokolwiek dłużej, była więcej rozwiniętą: ale to rzeczy małe, a zresztą co tam wytknąć można? chyba jakieś drobne zaniedbania w wierszach. Nie mógł np. Gustaw powiedzieć Anieli, że go od ułożonego z nią związku „mniej zamiar, więcej *wstręt* oddala:“ tego nigdy mężczyzna kobiecie nie powie, nawet kiedy do niej wstręt czuje, cóż dopiero... Zastąpić to wyrażenie innym lepszym było bardzo łatwo, tylko autor nie uważał, nie zastanowił się. Oto podobno wszystkie grzechy Ślubów, z dodatkiem jednego jeszcze, ale ten jest większy. Kontrast czułego Albina z trzpiotem Gustawem, prawo przeciwnieństw, mocą którego Igną do siebie natury najbardziej odległe (Albin do Klary), wymyślone są dobrze. Ale w wykonaniu Albin jest

chybiony. Sentymentalność jego jest tak przesadzoną, tak śmieszną, że z nią on ani Klarze, ani żadnej innej, podobać się nie mógł. Tymczasem autor chciał czego innego, chciał żeby Albin Klarę gniewał, kochał, niecierpliwiał, a przecież na złość jej woli i naturze, żeby ją pociągał, żeby to prześladowanie, to niemiłosierne znęcanie się nad nim było z jej strony zemstą za to, że mimo jej woli mógł i śmiał jej się podobać. Sytuacja taka byłaby śliczna, ale z takim Albinem nie jest prawdopodobna. Mężczyzna, który prawi ciągle o swoich łzach i chce od kochanki żeby z nim „kwiliła,” jest za śmieszny, i przekonany o zbrodnię mazgajstwa, która podług kobiecego kodeksu nigdy darowaną być nie może, skazany będzie na śmierć w stanie kawalerskim. Wprawdzie Klara idzie za niego niby ze strachu tylko, ale kiedy strach minął, ona się nie cofa; widać, że pod strachem była i ochota: mówi zresztą wyraźnie, że, „kochać go musi.” To należało usprawiedliwić, a usprawiedliwić było można tylko robiąc Albina mniej śmiesznym i dając mu choć trochę tego sympatycznego wdzięku jaki autor zlął tak na Gustawa, Aniełę i Klarę.

Ci troje są nieporównani, Klara ze swoim ostrym językiem, zawsze gotowa do odpowiedzi, dzielna w ataku, nieustraszona w odparciu, a nawet kiedy jest zmuszona do odwrotu cofająca się w porządku, kiedy kapituluje, to ze wszystkimi honorami, Klara,

„Co rzadko spocząć, rzadziej milcząć zdola,
Sprzeczną z układu, z natury wesola.”

jest z familii wielkiej Beatrice z *Much ado about nothing*, a jej wojna na dowcip z Gustawem przypomina wojnę tamtęj z Benedyktem. Że Fredro nie znał Beatrice, to można przypuszczać na pewno. Znajomość Szekspira właściwie ledwo się u nas zaczynała kiedy on pisał *Stuby*, ograniczała się do kilku co najwięcej sztuk najświetniejszych; nie zdaje się zresztą żeby nasz autor z wielkiem zamiłowaniem czytywał był Szekspira. Ale że te dwa charaktery są podobne, to pewna, i to najpochlebniejsza pochwała, jaką Klarze oddać można. Zbliżyć się do takiej kreacji jak Beatrice nie znając jej, mieć tyle fantazyi, tyle dowcipu, tyle życia, żeby aż do niej być podobną w niczem jej nie naśladować: to sztuka, której można powinszować autorowi i jego kreacji. Od pierwszjej chwili, kiedy się zjawia na scenie, jak fajerwerk wesołości i dowcipu, nie podupada, nie słabnie nigdy: zabawna, kiedy naucza Aniełę, że

„Do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla nieba, kocha dla pokuty.”

pusta, kiedy powtarza co „Babunia jej śpiewała,” nielitościwa, kiedy drwi z Gustawa, paradna, kiedy zgorszona i oburzona woła: „I jakże ma być porządek na świecie,” kiedy mężczyźni chcą rządzić; najładniejsza jest dopiero wtedy, kiedy się łąsi Gustawowi, szuka Albina, Radostowi depcze po nogach, a Anieli tłumaczy, że jedna powinna złamać śluby, żeby choć druga mogła ich dotrzymać. Klara w kłopotach, w strachu,

Klara pobita, tak przewyższa samą siebie, że każdy, kto by taką spotkał mógłby sobie mówić „aj strach! trzymaj się Albinie!”

Która z nich ładniejsza? Klara ze swoim charakterem śmiałym i ze swoim świetnym dowcipem na pierwszy rzut oka olśni bardziej, zrobi więcej efektu. Była też zapewne łatwiejsza do odmalowania. Aniela spokojniejsza, poważniejsza, uważająca na każde swoje słowo, nie ma tak błyszczącego pozoru. A jako trudność: co może być trudniejszego, jak stworzyć taki typ panny, jak być powinna a nie zrobić ją ani pedantką, ani trusią ze spuszczonei oczyma i zasznurowanemi ustami, ani zbyt naiwną, ani sztywnie godną, tylko właśnie w każdym słowie, w każdym ruchu taką jak być powinna, taką jaką każdyby chciał żeby była jego siostra albo córka. Aniela jest w całym znaczeniu słowa porządna panna: Klara także jest bardzo porządna, ale jest trochę kozak: Aniela jest bez restrykcji i zupełnie taka, jak potrzeba. Ale dla tego właśnie, że nie ma żadnych dodatków, że ma postawę tak spokojną i cichą, na pierwszy rzut oka przy Klarze może się wydać indywidualnością cokolwiek bierną i bladą, mogła być nawet taką być, gdyby nie jej wdzięk kobiecy; gdyby nie to uczucie, które w niej rośnie a wyraża się tak mimowolnie a tak ładnie; gdyby nie ta ciekawość uroczą z jaką ona o miłości myśli, gdyby nie te naiwności cudowne, które czasem jej sekret zdradzają, gdyby nie ta godność prosta i nieświadomość siebie z jaką ona odrzuca pierwsze oświadczenie Gustawa; gdyby nie zdziwienie nieprzyjemne z jakim się dowiaduje, że to miłość ku innej osobie; gdyby nie ten popęd serca tak młody, tak dziewczęcy, tak łatwowierny, za którym idąc, chce pomagać w tej sprawie; gdyby nie to, że na propozycję Gustawa odpowiada nawet nie oburzona tylko zdziwiona „co, takie listy, jabym pisać miała?” i gdyby nie to, że ten list pisze, i gdyby nie to że go przed matką chowa.... *ange par l'amour, enfant par la foi, femme par le coeur et poète par les rêces c'est une polonaise*: mówi francuzki autor: możnaby dodać: to Aniela i jedno byłoby prawdą jak drugie, bo z pewnością jest ona jednym z najwierniejszych i najładniejszych typów polskiego dziewczęcia, z którego kiedyś robi się kobieta „*homme par le cerveau, vieillard par l'expérience*“ czasem i „*démon par la fantaisie*“ ale częściej: *géant par l'esperance et mère par la douleur*.“

A ten list i scena, która go poprzedza (akt IV) co za prześliczny duet miłośny! Już to Aniela to imię szczęśliwe w naszej poezji, a Aniele mają w niej szczególne jeszcze szczęście do listów. Bohatérka *Beniowskiego* pisze z głowy najpiękniejszy jaki być może; ta pisze pod dyktowaniem tylko, i nie pisze nawet, ledwie że zaczyna, ale jaką ma scenę! Jest i komedia w tej scenie, i to komedia najwyższa, najwykwintniejsza jak być może, np. kiedy Gustaw zawoławszy w uniesieniu „kocham cię nad życie“ miarkuje się i dodaje „pisz z łaski swojej“, a biedna Aniela, która już była zapomniała, że to nie doniej, pyta smutno, co ma pisać dalej? Ale co za wdzięk komedii, co za wdzięk poetyczny, co za śpiew miłości, kiedy Gustaw uczy Anieleg wymawiać ten wyraz, którego Wallenrod nauczył Aldong, albo kiedy wpa-

ja w nią wiare, że „są dusze dla siebie stworzone,” albo, kiedy maluje to, co:

„Kiedy polot myśli,
Obraz nam szczęścia czasami zakreśli.”

staje zawsze na pierwszym miejscu w tym obrazie. Mężczyzna mówi tém śmielej, tém goręcej; kobieta tém śmielej słucha, że niby o inném: on szczęśliwy tę chwilę obecną odbywa, jak żeby próbę szczęścia przyszłego, kiedy jęj wprost będzie mógł powtórzyć to samo, czuje razem rozkosz, którą ma i przecucie tęg, któręj się spodziewa: u nięj dusza się otwiera, jak kwiat pod promieniem słońca, pod wrażeniem tych słów, których nie byłaby chciała słuchać, gdyby były do nięj wprost wymierzone. Jak ślicznie wyglądają: ona z piórem w ręku, on schylo-ny nad jęj głową, mówiący rzeczy, których ona do siebie nie bierze i korzystający z tego, że ona nie widzi, żeby na nią patrzeć z rozczuleniem, z uniesieniem. Z wyjątkiem Musseta nie ma nigdzie ładniejszęg sceny miłosnej w komedyi. A Gustaw? Gustaw jest najmilszy trzpiot i najładniejszy kochanek w polskim teatrze, (nie mówi się naturalnie o poważnych bohaterach dramatów Słowackiego). Filut, pieszczoch, zepsute dziecko ze stryjaszkiem, fanfaron z pannami, jak długo nie kocha, od chwili kiedy kochać zaczął, zmienia się, dojrzewa, i z miłęgo fircyka robi się mężczyzna, który chce i wie czego chce, i czuje swoją siłę. Wesolości, dowcipu, żywości nie traci, ale nabiera takiej pewności siebie, takiej równowagi, takiej wyższości w obec Anieli i Klary, że żadna już nie śmie z niego żartować, że jedna go kocha a druga, co dziwniejsza, słucha, choć nie kocha. Wyszedł na człowieka w przeciągu tych kilku godzin. A z jaką wymową, z jaką siłą umie „wycisnąć swoich uczuć piętno” na sercu Anieli, jak umie i rozkochać i być zakochanym, jaki jest przytęm mądry w postępowaniu z Aniela, jaki dowcipny z Klara, jaką ma filuteryą i kokieteręą z Radostem: nie dziw, że wie co to magnetyzm, bo działa magnetycznie na wszystko co się do niego zbliży, od Anieli aż do czytelnika.

Gdyby Albin, w swoim rodzaju sentymentalnym, miał choć cokolwiek tego wdzięku, jaki ma w swoim Gustaw i był tak do niego dobraną parą, jak jest Klara dla Anieli, *Sluby Panięskie* byłyby doskonałością. Albin, choć bardzo zabawny, choć się go lubi takim jak jest, jest achillesową piętą sztuki. Ale Achilles, pomimo pięty był pierwszym z Greków, *Sluby*, pomimo tego, co im zarzucić można, są pierwszą z polskich komedyi. A komedya, która przy bardzo dobrej budowie, przy prostęj ale bardzo żywęg i doskonale prowadzonęj akcji, przy humorze najweselszym i najświetniejszym dowcipie, ma charakterę skreślone z wielką psychologiczną prawdą: taka komedya spełniła swoje zadanie; odpowiedziała wszystkiemu, czego od nięj żądać można. A jeżeli nadto ma coś więcéj jeszcze, jeżeli jęj postacie są wiernymi a pięknymi typami natury tego narodu, do którego należą; jeżeli w powszedniości swojego położenia i mierze przeciętnej swoich natur, mają niezwyčajny urok poetyczny; jeżeli każda z nich jest nie wielkim i patetycznym, ale wdzięcznym i sympatycznym ideałem: wtedy komedya daje już więcéj, niż winna, dotrzymuje więcéj niż obiecuje,

wtedy wkracza już w sferę poezji, i przestaje być ładną lub bardzo ładną, co zwykle bywa ostatnim kresem jej ambicyi i możności, a ma prawo nazywać się piękną.

Jeszcze bardziej zasługuje na ten epitet *Zemsta*. Nie tak równa, nie tak doskonała, jest na większą skalę, i przez rozmiary, przez wspa- niałą typowość postaci dziś już nie istniejących, wchodzi w zakres poe- zyi. Ona także należy do tych dzieł w naszej literaturze, które wskrze- szają do wiecznego życia to, co z rzeczywistego zniknęło, ona robi to mniej więcej co *Pan Jowialski*, ale robi poważniej i maluje poważniej- szą, sympatyczniejszą, a zarazem prawdziwszą, przynajmniej ogólniej prawdziwą stronę życia. W tej sprawie o mur graniczny stoją obok siebie i walczą dwa główne rodzaje polskiej natury, dwa kierunki po- wołania i życia, nawet dwa stopnie społecznego położenia. Szlachcic bo- gaty na dziedzicznym majątku, zakrawający na magnata i syn senatorski zapewne choć sam tylko na ziemskim urzędzie, i drugi na dorobku zbija- jący grosz do grosza przez całe życie, cierpliwie, skwapliwie, w pocie a za- pewne i w uchyleniu czoła, w atentowaniu i patronowaniu spraw (nie za- wsze może czystych) przy trybunale, w pozwach i dekretych, replikach i duplikach, wyderkach i kadukach, zapewne i w pożyczkach, zastawach i lichwach, aż wreszcie dorobił się tyle, że mógł nabyć majątności, czy pół majątności i być posesyonatem jak tamten, który go zawsze kłutł w oczy swoim szczęściem, któremu całe życie zazdrościł. Bo uniżony, zgięty we dwoje *Rejent* o słodkiej mowie i kocich ruchach, nie jest mniej dumny od porywczego hałaśliwego *Cześnika* i ta głowa zawsze schylo- na, zawsze tylko o tém marzyła żeby się nosić górą i zadzierać. Kiedy Cze- śnik za młodu żył hucznie, sejmikował i próbował dobroci swoich różnych karabel na łbach adwersarzy przy wyborach lub pojedynkach, a nieprzy- jaciół na wojaczce; młody *Milczek* patrzył na niego jak na ziemskie bóstwo uprzywilejowane, obsypane wszystkimi darami fortuny i pytał, czemu to nieja, zazdrościł, ale ufny w swój rozum i wolę, wyrachowany mówił sobie od młodości *nemo sapiens nisi patiens* i kłaniał się, zginał, znosił, upo- karzał, oszczędzał, pożyczał, zbierał i zdzierał w nadziei, że bodaj na starość, ale przecież raz przed śmiercią będzie tak dobry jak tamten, aż doszedł do swego. Zazdrościł już nie ma czego, ale zazdrości przecież z nałogu, z natury; zazdrości Cześnikowi wszystkiego, głośnego i rozka- zującego słowa, swobodnego i śmiałego ruchu, głowy swobodnie w górę podniesioną, on który całe życie nawykł mówić cicho, grzbiet zginać, prosić a nierozkazywać; zazdrości mu zwłaszcza charakteru sympaty- cznego, męskiego, otwartego, zazdrości mu miłości ludzkiej, on który czuje dobrze, że sam robi na ludzi wrażenie nieprzyjemne, odtrącające jak dotknięcie płazu. Jeżeli wszyscy ludzie są choć trochę do jakichś zwierząt podobni, to Cześnik ma coś natury lwięj „bić się albo spać,” jak mówi poeta o Lechu; w gniewie posunie się do gwałtu, najedzie, zagrabi, zburzy albo spali przeciwnika, ale rychło zapomni, a zapo- mniawszy pojedna się i nagrodzi. *Rejent* ma złość cichą i zimną, jak zwierzęta o zimnej krwi; jego gniew nie rozlega się krzykiem w powie- trzu, co najwięcej syczy; jego zemsty nie słychać, kiedy się przybliża:

on się czui jak lis, kasa milczkiem jak gadzina. Jeden, gdyby jego złość konności wzięły górę, i gdyby zajmował wielkie w świecie stanowisko, urażony, podniósłby rokosz jak Zebrzydowski o kamienicę, drugi jak Radziejowski wyniósłby się chyłkiem i sprowadziłby Szwedów; u jednego złe posunięte do ostateczności przybrałyby takie kształty jak u starosty Kaniowskiego, drugi nie zrobi nic przeciwnego prawom i na turmę nie narazi się nigdy, ale nie zapomni nic, nie daruje nigdy, ma pamięć lepszą, nienawiść głębszą, zemstę straszniejszą: jeden umrze na apopleksyą, drugi na wątrobę. Te dwa temperamenta, sangwiniczny i żółciowy, są u nas najpowszedniejsze, trafiają się w naszej historii, w literaturze, w codziennym życiu, i objawiają się prawie zawsze tak jak tu w komedyi, jeden popędliwością, gniewem, niekiedy gwałtem, drugi cichą i zdradliwą zazdrością. U obu na dnie siedzi miłość własna, duma; tylko ta namiętność główna i dominująca połączona z temperamentem odmiennym, u każdego przybrała inny kształt i inny kierunek.

Psychologiczna prawda i wyrazistość tych dwóch charakterów w przedstawieniu dochodzi do doskonałości, a ich typowość polska utrzymana jest po mistrzowsku od głównych aż do najdrobniejszych rysów. Dwie były wielkie drogi czy formy życia, dwa powołania i zajęcia dla szlachcica w dawniej Polsce: wojna i prawo, szabla i statut; każdy z tych ludzi wybiera je podług swojej natury. Cześnik pełen jakiejś fizycznej energii, cały na zewnątrz był żołnierzem, później ziemianinem; Milczek palestrantem. Pierwszy zgodnie ze swoją naturą i powołaniem robi wszystko, nawet złe otwarcie i odważnie; drugi wszystko legalnie i tą legalnością chce salwować swoją odpowiedzialność przed światem; przed własnym sumieniem, nawet przed Panem Bogiem. Hypokryzja, którą Fredro tak hojnie wyposażył Milczka jest prawie zawsze cechą, jest uzupełnieniem, koroną takich natur zgryźliwych i zawistnych. Figury głęboko pomyślane i po mistrzowsku narysowane pod względem psychologicznej prawdy i narodowej typowości, i pod względem przeciwieństwa, a pod względem komiki niezrównane, bo zabawne bardzo, nie przestają być poważnemi, a głębokość jaka w nich jest, nie przeszkadza komiczności.

Jaki los dziwny kazał im mieszkać obok siebie w tym samym zamku? to pewna że złośliwszej psoty wyrządzić im nie mógł. Ludzie najzgodniejsi i najprzychylniejsi sobie wzajemnie, w takich warunkach życia musieliby dojść do sąsiedzkich zatargów, cóż dopiero ci, którzy z góry skazani są na to, żeby się nie cierpieli. Cześnik musi do takiego Rejenta czuć odrazę i upokarzać go, gdzie i kiedy tylko może, ze szczególną przyjemnością; Rejent musi Cześnika nienawidzić, zazdrościć mu, a w duszy go lekcewać jako głupszego od siebie. Zbliżenie tych dwóch charakterów musiało stać się zdarzeniem, walką. A jak nie tych dwóch wyglądają, jak każdy wierny swojej naturze właściwą sobie bronił od tej pierwszej chwili, kiedy z dwóch przeciwnych okien, dwóch połów swego zamku, jeden rozkazuje gwałt robić, a drugi

cieszy się złośliwie, bo już obliczył, że im większy gwałt i krzywda, tém cięższa będzie skarga i kara aż do tej chwili ostatniej, kiedy Rejent podstępem wydarł Cześnikowi narzeczoną, a Cześnik jemu gwałtem porwał syna. Jak bardzo prawdziwie: jeden nie zważa na prawo, nie myśli o nié m i gwałci je, a drugi na prawnym gruncie stojąc i wszystko na ten grunt sprowadzając, gwałci je także, bo je naciąga, przekręca i oszukuje, pisząc swój pozew w ślicznej piérwszej scenie trzeciego aktu. Czy to nie przeszłość także, czy nie schwytyany na uczynku i odmalowany żywcem stosunek dawnego szlachcica, butnego-obywatela i wykrętnego palestranta do prawa? Są przepyszni oba, są prawie genialni od początku do końca, komiczni w najwyższym stopniu i w najwyższym znaczeniu słowa, a tak prawdziwi, tak pełni życia, siły, energii i prawdy uczuć, że każdy w swoim rodzaju dochodzi prawie do ideału swego charakteru i staje się typem, a prawie nawet ideałem poetycznym. Cześnik, czy kiedy wstawszy w dobrym humorze przy śniadaniu układa swoje małżeńskie zamiary, czy patrzy z okna na bójkę swoich pacholków z mularzami, czy wydaje rozkazy do ślubnego bankietu i każe żeby było z konceptem wszystko, wszędzie, uśmiecha się do swego wesela, a jakaś reszotka młodości brzęczy w nim jak zabłąkana mucha na oknie w słoneczny dzień listopadowy. Czy wpada w wściekłość, czy Dyndalskiemu dyktuje ów klasyczny list miłosny, jest tak żywy, tak plastyczny, tak staropolski, i w takim humorze, a z taką przytém ukrytą rzewnością odmalowany, że mógłby śmieie znaleźć się w Soplicowie w towarzystwie podkomorzego, sędziego i wojskiego, i w tém towarzystwie byłby zupełnie na swoim miejscu ich godzin. W czwartym akcie zaś, kiedy próbuje czy ręka nie zapomniała krzyżowej sztuki, czy karabele świszczą w powietrzu jak dawniej, jak pod Słonimem i Podhajcami, albo kiedy sumienie i honor wstrzymują rękę, która na widok nieprzyjaciela już za kord chwyciła; wtedy znowu jest godzin stanąć obok tamtych, wtedy znowu jak oni przedstawia przeszłość nietylko w świetle miłém, sympatycznym i pogodnym, ale w piękném ze strony szlachetnej i pięknej. Czy Fredro znał jeszcze takich, czy tylko ich tak dobrze oczyma duszy widzieć umiał, to pewna, że my w poezji takich jak Cześnik widzimy tylko w *Panu Tadeuszu*, a w całej naszej gawędowej, starszslacheckiej poezji takiego starego szlachcica jak on, tak dobrego, żywego i sympatycznego, nie ma.

Jego adwersarz w swoim rodzaju na tój samój wysokości. Nie tak pokaźny i efektowy, i z natury i z budowy sztuki, która właściwie zostawiła mu tylko jeden akt; w tym jednym pokazuje się tak zupełnym, tak skończonym typem zawistnego charakteru, namiętności zamkniętej w sobie chłodnej a silnej, żelaznej woli człowieka, co całe życie ślęczał i oszczędzał, zdradliwej chytrósci, twardego serca, palestranta, hypokryty i „milczka:” że to jego nazwisko może jak nazwisko Tartuffa stać się wyrazem na oznaczenie całego jednego rodzaju ludzkich natur. Równy jest sobie zawsze, zawsze doskonały, a jeżeli w jednej scenie z Papkinem, wydaje się świetniejszym jak w innych, to nie

żeby na prawdę tak było, tylko że sytuacja niezmiernie komiczna oświeca i wydobywa na jaw wszystkie jego zalety.

A otoczenie? kto, na którym te figury stoją? Rzadko kiedy charakter czasu oddany był tak wiernie. W *Soplicy* Rzewuskiego albo w *Listopadzie*, ludzie noszą równie wyraźne znamiona swego czasu. Ze słów Cześnika, kiedy wspomina swoje żołnierskie lata oznaczyć można dokładnie te, w których się sztuka odbywa; ale i bez tego czy możnaby się pomylić, czy z każdego słowa, ze sposobu mówienia, ze stylu nie przegląda wyraźnie schyłek XVIII wieku, tak i z życia, z położenia, ze zwyczajów i działań ludzi? Zamek podzielony między dwóch właścicieli, to zabytek dawniejszego czasu i obyczaj podówczas już rzadki, może nie istniejący, ale mogący jeszcze tu i owdzie wyjątkowo istnieć. Cześnika samowola, nieświadomość prawa, doraźna i arbitralna egzekucya własnego postanowienia na rzeczy, która jest przedmiotem prawnego sporu a przynajmniej stosunku, to wiek XVIII, jego domowe życie, jego Dyndalski, kucharz Perełka, M. H. na tortach z gołkami i konceptami, wiek XVIII. Rejent wykrętacz i hypokryta ze złych już oczywiście czasów palestry, znowu wiek XVIII, nawet Podstolina mogłaby figurować w jakiejś satyrze Krasickiego lub w jakiejś komedyi Zabłockiego. Papkin zwłaszcza, Papkin oznacza epokę tak, że po nim samym możnaby ją poznać, jak geologowie po pewnych oznakach poznają epokę warstw i formacji. Wprawdzie taka figura, takie udawanie junactwa połączone z ostatniem tchórzostwem zdarzyć się może zawsze, bo jest w naturze ludzkiej, ale dawniej w XVIII wieku junak taki byby wyglądał inaczej, nie grał na angielskiej gitarze, nie miał najmniejszej kolekcji motyli. Papkin jest widocznie bohaterem w pudrowanej peruce z harcapem, jeżeli na prawdę wojskowym, to cudzoziemskiego autoramentu a ieszcze pewnie jeżeli służył to w wojsku jakiego państwa Rzeszy, i udaje że „kwitował mit charakter,” kiedy prawdopodobnie był zmuszony kwitować „ohne charakter.” Ze wszystkiego i ze wszystkich wieje atmosfera XVIII wieku.

Jako figury komiczne i jako figury polskie, te pomniejsze są doskonałe. Dyndalski naprzykład: czy nie łatwo go sobie wyobrazić z półgarncem miodu na przyzbie domu między Gerwazym a Protazym w najlepszej z niemi harmonii i konfidencyi zajętem wielce i rozmową i nawzajem z przyjemnością przez nich słuchającym? Budowa jest doskonała, a rozwiązanie, co u Fredry najrzadsza, nietylko śliczne, ale zupełnie naturalne. Miłość Waclawa i Klary była tak skazaną na niezszczęśliwy koniec, jak miłość Romca i Julietty; połączenie ich na złość, wet za wet Rejentowi jest zręczne, i nowe, i zgodne zupełnie z namiętnością Cześnika. Udać się zamysłu nieprzyjaciela, zemścić się nad niewierną Podstoliną, to rozkosz; to tak wiele warte, że można dla tego coś poświęcić i wydać siostrzenicę za chłopca z tego złego gniazda. Uważać warto, że Cześnik nie rozczuła się wcale nad tą parą zakochanych, nie dba i nie pyta czy oni chcą lub nie: jedynym powodem działania jest dla niego odwet. Jedna mała rzecz psuje to doskonałe rozwiąza-

nie intrygi, to oświadczenie Podstoliny że

„Chciała zamąż wyjść czémprędzej,
By nie zostać całkiem w nędzy”

i że jakieś jój dożycie dziś „przypada szczęśnej Klarze.” Najprzód o tym powodzie jój postępowania i o tém dożyciu nikt przedtém nie słyszał, jest to zupełny *Deus ex machina*. Powtóre Podstolina, przekwitła wdówka po trzech mężach a szukająca czwartego, marząca o nim zawsze bez interesu, tylko czysto przez cześć dla bożka Hymeneusza (jak się to przez cały ciąg sztuki wydaje), jest zabawniejsza od Podstoliny, która chce iść za mąż nie przez śmieszność, ale z potrzeby, z niedostatku. Dla konsekwencyi tego charakteru, może i charakteru Milczka, trzebaby było może, żeby w braku i Cześnika i Wacława, Podstolina zrezygnowała się na Rejenta i temu ofiarowała swoją rączkę, a on żeby za nią chwycił dla postawienia na swoim, dla dokuczenia Cześnikowi, dla pokazania mu że ostatnie słowo zemsty przecież przy nim nie zostanie. Tylko w takim razie zgoda nie byłaby mogła nastać tak szczerze.

To odkrycie Podstoliny, to jedyny błąd w układzie sztuki. Jest drugi jeszcze, już nie w budowie ale w figurach i dlatego nie jest tak doskonałą jak Śluby Panieńskie: to Wacław i Klara para kochanków dość obojętna i konwencyonalna, która jedną ma tylko chwilę szczęśliwą; to kiedy na rozkaz Cześnika, żeby ślub brała zaraz, mówi z takim pośpiechem: „bierzmy, bierzmy.” Zresztą otoczeni figurami tak znakomitemi jak Cześnik, Rejent i Papkin tracą zupełnie na porównaniu a rozkaz dość zresztą zabawny przywiezienia krokodyla nie może uczynić zadość za ich powszedniość i brak odrębnej własnej fizygnomii.

A Papkin? Że on dźwiga na sobie cały ciężar komiczności, że bez niego sztuka nie byłaby tak wesołą i zabawną, że jest w najwyższym stopniu zabawny czy kłamie i fanfaronuje, czy się boi, czy opłakuje swoją śmierć i pisze testament, to niezawodne. Ale czy ten stopień śmieszności jest możliwym i prawdopodobnym? Czy człowiek może być takim, jak on tchórzem a zarazem tak bezczelnie udawać zucha, kiedy wie przecie, że mu nikt uwierzyć nie może; czy można nie będąc zupełnie głupim (bo Papkin swój pewien rozum ma), nie pomiarkować, że udawać nie warto, kiedy się udawaniem nikogo oszukać nie zdoła; czy można wreszcie będąc tak otwarcie i bez pudoru nিকেźmą figurą, biorąc pieniądze od każdego, kto je dać raczy, wybrać sobie ten rodzaj fanfaronady junackiej i wojskowej? W rzeczywistości zapewne byłoby to trudnem. Są nieraz ludzie, którzy zmyślają tak bezczelnie jak Papkin, ale czują przecież, że to kłamstwo do czegoś ich obowiązuje i starają się udawać nie w samych tylko słowach, ale i w postępowaniu choć trochę, dla konsekwencyi. Czy w komedyi Fredro miał prawo odstąpić nieco od ścisłego prawdopodobieństwa? Miał niezawodnie. Naprzód wymyślił on Papkina nie na to, żeby był głęboką kreacją, ale żeby był figurą zabawną i śmieszną, a takim zawsze więcej wolno, niż poważnym, i autor tworząc je nie potrzebuje ważyć

i mierzyć każdego słowa i obawiać się przesady: owszém trochę przesady nie szkodzi. Powtóre, sztuka nie kopiuje, nie powtarza wiernie rzeczywistości, tylko z niej tworzy coś nowego, a jeżeli poezyi wolno stworzyć ideał, choćby z rzeczywistością niezupełnie zgodny, to wolno i komedyi składać ideały śmieszności, karykatury. Wreszcie w tym świecie, przy cześniku, Papkin jest nawet bardzo na swoim miejscu. Parazyt był sprzętem bardzo powszechnym w dawnych polskich domach, a nieraz bywał i nadwornym błaznem, z którego się wszyscy śmieli, a który udawał, że tego nie widzi, bywał i używanym do różnych posług, było w nim trochę lokaja, trochę faktora, a przytém najczęściej i chęć udawania jakiejś niezależności, utrzymywania się niby na równi z tymi, którym pozwalał się lekceważyć i upakarzać, bo ich potrzebował. To na dowód, że w takiej komedyi staropolskiej figura taka znaleźć się miała prawo. Co zaś do strony psychologicznej; jakiś recenzent niemiecki zdając sprawę z *Zemsty*, którą był widział, czytał, napisał o Papkinie, że to jest *ein polnischer Falstaff*. Że Fredro o Falstaffie nie myślał to pewna, ale czy nazwa nie jest słusznie dana a zbliżenie trafnie odkryte? Natura jest podobna, rola jaką każdy z nich gra w swoim świecie jest podobna, śmieszności są podobne. Gdyby więc Papkin potrzebował usprawiedliwienia, to je ma w Falstaffie; junactwo, kłamstwo, łechórzowstwo, płaskość natury i życia posunięte do ostateczności, do karykatury, są tam jak tutaj; jeżeli tam nie razi nikogo nieprawdopodobieństwem, jeżeli przypuszczamy możliwość Falstaffa, powinniśmy pozwolić na charakter Papkina, a to tём bardziej, że on pozwolenia, ani usprawiedliwienia nie potrzebuje. Kto jak on jest najpopularniejszą figurą komiczną, zwłaszcza swego narodu; kto od lat czterdziestu blisko nie może się pokazać na scenie, żeby nie wywołał głośnego i ustawicznego śmiechu: ten jest błaznem może, ale musi być dobrym błaznem, błaznem, dla jednego narodu przynajmniej i z jednej epoki, klassycznym.

Rozmyślając o wszystkich wdziękach i zaletach *Zemsty*, odkrywa się, że ona z Jowialskim jest rodzajem komedyi, jakiego się nigdy przedtém i nigdzie indziej nie widziało. W skutku może tego pierwiastku satyrycznego, jaki jest w komedyi, zasady *rudendo castigat mores*, komedya najczęściej ma za przedmiot terażniejszość. Taką była grecka i rzymska, taką Molirowska, taką *Wesele Figara*, taką kiedy nie jest zupełnie fantastyczną, jest i komedya Szekspira. Kiedy w teatrze francuzkim rzuciła się na przeszłość i zachciała być komedya historyczną, jak u Scribego naprzykład, zrobiła to dla nowości, dla oryginalności, dla literackiej, jeżeli nie finansowej spekulacji, a wtedy brała zawsze za treść jakiś znany fakt, który po swojemu przerabiała, jakieś znane historyczne nazwiska, które miały tu służyć za ozdobę i polecenie, widzom za przynętę. Ale nigdy i nigdzie podobno prócz u Fredry nie było tego, żeby komedya brała za przedmiot życie potoczne, codzienne dawnych wieków, żeby to życie przedstawiała nie z pomocą historycznych zdarzeń i postaci, ale na figurach fikcyj-

nych i na stosunkach prywatnych, codziennych, domowych. Rodzaj to, który zapewne nie rozpowszechni się nigdy, dla tego najprzód, że z natury rzeczy mniej może mieścić téj dążności satyrycznej, która jest duszą komedyi; powtóre, że jest od innych trudniejszym. W komedyi współczesnej może wystarczyć obserwacya i talent, tu trzeba jeszcze jakiegoś intuicyjnego odgadnienia przeszłości, i to z téj strony jéj życia, która zawsze najprędzej znika i najmniej zostawia śladów. Wyjątkiem więc będzie ten kierunek komedyi zawsze, i może powinien być wyjątkiem. Ale jak się wyjątek uda, jak humoru, dowcipu i wesołości da mu autor tyle, że komedya będzie tak zabawna, zajmująca i żywa, jak żeby nam stawiała przed oczy świat nasz własny ze wszystkiém, co w nim żyje, a zarazem stworzy typy, które w zakresie ogólnej ludzkiej prawdy noszą na sobie wyraźne znamiona ubiegłej a szanowanej i szanowanej przeszłości, wtedy komedya nieprzystając być sobą, bawić i śmieszyć, nabiera jakiejś niezwykłej powagi; wtedy na jéj postaci patrzymy nie jak na dobre i zabawne typy komiczne tylko, ale prawie jak na ideały poetyczne, kreślone wesoło i z humorem, prawdą, ale i z uczuciem, z jakimś serdeczném rozrzewnieniem, z jakimś tęskném wspomnieniem. I to jest urok, to jest poważna wartość, to jest piękność *Zemsty*. „Piękność” można powiedzieć śmiało, bo w takich razach komedya swoim sposobem robiąc to, co zazwyczaj tylko poezya zrobić jest zdolna, do niej się zbliża, i ma prawo do tytułu, który dla dzieł opartych na obserwacyi saméj, jest za wielki, a służy tym tylko, które wychodzą z wyobraźni i z natchnienia.

A tak byłyby już wszystkie komedye Fredry. Cóż z tego pobieżnego przeglądu wynika? jakie jego wybitne i własne cechy, jakie górujące przymioty i jakie najczęstsze wady? jaka wartość dzieł? Zaczniemy od tego co najmniejsze i łatwiejsze zawsze do wskazania: od wad. Każdy pozna, że wada jest właściwie jedna tylko znaczniejsza w komedyach Fredry, a tkwi w budowie nie zawsze zupełnie dobrej, w rozwiązaniu zbyt łatwém czasem lub nie dość uzasadnioném; tak jest w *Dożywociu* np., albo w *Ciotuni*, takim jest i epizod podstoliny w *Zemście*; taka w *Mężu* i *Żonie* sprawa listów Alfreda, które Elwira najniepotrzebniej z domu wywozi. Zdaje się, że nie było nic łatwiejszego jak te drobne a jednak szkodliwe usterki poprawić, że chwila rozwagi, parę małych zmian w planie albo w wykonaniu i rzecz skończona. Dla autora téj siły i téj inwencji co Fredro, zastąpić pomysł jeden drugim i słabszy lepszym, powinno było być rzeczą bardzo łatwą; dlaczego jéj nie zrobił, dlaczego nie poprawił co tak tanim kosztem poprawić się dało? Szukając odpowiedzi na to pytanie znajduje się jedną tylko, może nie prawdziwą ale prawdopodobną. Jest artystów wielu, którzy dzieło swoje kochają, pieczą, zdobią i muskają, jak długo ono jest pomysłem, jak długo nie wyszło z ich wyobraźni; a raz z niéj wydane, raz wykonane traci dla nich powab, nie lubią na nie patrzeć, nie lubią o niém myśleć. Dla malarza jak Piotr Michałowski nie było większej męki jak wykończyć szkic rzucony; dla poety jak Słowacki nie było nic trudniejszego, jak długo o jednym poemacie my-

ślée. Pisząc szybko i odrazu nie mógł swego dzieła sądzić i zostawił w niém rażące błędy, ale jeżeli je odłożył na czas długi, to najczęściej nie skończył, albo zawikłał, zepsuł nowemi pomysłami, które mu przez ten czas przyszły do głowy. Fredro nie jest tak wrażliwy, kapryśny i zmienny: on co zacznie, to nie tylko skończy, ale i wykończy; jednak widząc niedoskonałość jego komedyi, trudno jest oprzeć się wrażeniu, że musiała w nim być jakaś skłonność do pośpiechu, że pomysł swój chwytal i wykonywał szybko, nie roztrząsając i nie sądząc wszystkich jego szczegółów, a kiedy wykonał, już o nim nie chciał wiedzieć, już odwracał się od tego co zrobił zniecierpliwiony i wolał zostawić błędy, niż zadać sobie przymus wyszukania ich i poprawienia. Uspodobienie takie bardzo częste u ludzi z żywą wyobraźnią, u talentów twórczych, jest i bardzo polskiem przytém, i zwłaszcza bardzo powszechném w tych sferach towarzyskich i społecznych, wśród których Fredro urodził się i żył. Jakieś artystyczne i arystokratyczne lenistwo, (które nie wyklucza wcale energii w myśleniu), jakiś pośpiech do końca, jakiś wstręt do zatrzymania się długo nad jednym przedmiotem, do zajęcia nudnego, musiałyby w nim być, bo inaczej niewiedzieć jakim sposobem usterki w jego sztukach byłyby uszły jego uwagi. I nie w samych sztukach nawet, ale w stylu i wierszu. Że ma wiersz śliczny, łatwy i lekki, jedyny, naturalny jak potoczna rozmowa, to widoczne i wiadome; dlaczegoż więc taki mistrz języka i wiersza zostawi czasem wiersz niezgrabny, albo zawyły, albo wyrażenie, które myśl jego oddaje nie jasno? Gdyby był chciał, byłby mógł poprawić to jednym pociągnięciem pióra, bo mu przecież o wyrażenie najlepsze, o wiersz doskonały nie trudno. Jednak nie poprawił; dowód oczywisty, że nie widział potrzeby, a nie widział jej dlatego, jeżeli nasz domysł trafny, że nie lubił zadawać sobie przymusu i przeglądać, sądzić, poprawiać rzecz przez siebie napisaną. Ta to właściwość umysłu, czy temperamentu wspólna mu z niejednym wielkim pisarzem, czy poetą: miał ją Byron, miał Słowacki, niekiedy podobno i Mickiewicz. Ale jest drugi zarzut ważniejszy i głębszy, który mu zrobić trzeba, a ten tyczy się wymyślenia intrygi. Nie komicznych, efektowych scen i sytuacji, ale intrygi. To musiało mu być trudnym, bo po nie jednej znać, że była szukaną, i została wyszukaną. Ta mnogość premissów i antecedencyi nieraz zawikłanych, czasem nieprawdopodobnych, które on lubi wymyślać i zakładać jako fundament swojej akcji, jak np. zamiana ról Zdzisława i Astolfa w *Cudzoziemczyźnie*, jak dziwaczny koncept Alfreda w *Pierwszej Lepszej* lub Marka Zięby w *Nikt mnie nie zna*, jak tajemnicze nabycie *Dożywocia* przez Łatkę, ten sztuczny i przypadkowy, a nie zawsze także prawdopodobny zbieg okoliczności, który mu jest potrzebny na to, żeby akcja rozwinąć się mogła, wszystko to dowodzi, że o fabułę było mu trudniej, niż o komiczne sytuacje i charaktery. Czy jest to tylko wrodzonym defektem jego talentu, czy nie jest i skutkiem tego, że ten talent wyrabiał się na komedyi Moliere, która także o intrygę i rozwiązanie najmniej się troszczy? Nie wiedzieć! To pewna, że z błędów właściwych jego sztukom ten jest

największy i że wskazawszy go już się innych (prócz szczegółowych) do wskazania nie ma.

Zalety? cóż o nich mówić. Przejrzyć spis sztuk grywanych po wszystkich polskich teatrach, przekonać się które z nich żyją najdłużej, które zawsze widza ściągają i bawią, choć widział je tyle razy, że każdą umie prawie na pamięć, a będzie się miało odpowiedź jasną i niezaprzeczoną. Musi być jakaś siła życia, jakiś zasób prawdy, oryginalności i dowcipu w komediach, które utrzymując się tak długo na wszystkich scenach całego jednego narodu nie starzeją się; nie zchodzą z pola i powszechną zgodą tego narodu uznane są za to, co ma najlepszego w swoim teatrze. Popatrzmy na różne nawet bardzo słynne w swoim czasie komedye zagraniczne, na Scribego np., który produkcjami swemi zarzucał Europę przez lat tyle i miał niezaprzeczone powszechne wielkie powodzenie; gdzie dziś jego komedye, który teatr je grywa? Wiem że czasem w kłopotcie, w braku nowości, wyciągną niekiedy *Szklankę Wody* albo *Królową Nawarry*, *Wojnę kobiet*, albo *Więzy*, ale naturalnego własnego życia cały ten teatr już nie ma. A my, czy dlatego może trzymamy się Fredry, że nie mamy innych przynajmniej, nie tylu innych, co Francuzi? Nie, bo mała liczba dramatycznych autorów i produkcji nie zdołała utrzymać na scenach komedyi Korzeniowskiego np., które się widocznie przeżyły, bo młodzi nie dali nam dotąd nic, coby miało tak powszechną wziętość i sympatyą jak *Zemsta* i *Słuby Panięskie*. Nie, musi być w nim jak w Moliерze coś, co nie więdnie i nie umiera, co po wiekach przybiera jakiś krój i pozór staroświecki tylko, ale w głębi zachowuje młodość nieśmiertelną i prawdę niezmienną dla wszystkich czasów, i co sprawia, że setki ludzi pisało komedye we Francyi, ale Moliера żaden nie doszedł; że na te dziesiątki ludzi, którzy je pisali w Polsce, Fredro jest jeden.

W czém tajemnica téj wyższości? Najprzód w téj, jak się już powiedziało z góry psychologicznej prawdzie jego postaci, prawdzie najprostszej i oddanej najprostszemi środkami i rysami, która sprawia, że każde pokolenie, każdy wiek może w nich się pozna, jako w zgodnych zawsze z naturą ludzką, która się nie zmienia. Potém w żywój i rzadkiej plastyczności tych postaci; potém niewątpliwie i w wielkiej scenicznosci wszystkich prawie komedyj. Uważano to nieraz, że my Polacy nie mamy geniuszu dramatycznego: odmawiać nam go, może zawczasie: dzieje naszój poezyi nie są skończone i kto wie co ona może jeszcze pokazać. Ale to prawda, że dotychczas najwięksi nasi poeci nie wiele mieli tego daru, a ten nawet, który dramatów napisał najwięcej i najpiękniejsze, Słowacki, jaśnieje i pociąga w samych swoich dramatach nawet więcej może urokiem swego liryzmu, niż prawdziwą i wielką tragicznością swoich postaci i sytuacji. Mickiewicz w swoim fragmencie napisał ekspozycją tragedyi jak mistrz, ale już akt drugi piękny i wzniosły jest dyalogiem ale nie dramatem, a jakie były dalsze nie wiemy. Daru związłego, treściwego skreślenia sytuacji, czy skreślenia charakterów w ruchu i w czynie, daru skomentowania, skondenso-

wania namiętności i patosu w wielkiej sile, daru sprowadzenia dramatycznych scen i kollisioni bez sztukowania się melodramatycznymi efektami, nasi poeci mieli mało: ze wszystkich zaś najwięcej miał go dotąd Fredro. A nie trzeba sądzić, jakoby dramatyczność w komedyi dla tego że nie smutna była mniej trudną niż w tragedyi albo mniej potrzebną. Racine ani nawet Corneille nie wymyślili ani jednej sceny, któraby w swoim rodzaju miała tego pierwiastku tyle, ile go ma sławny podstęp Elwiry w czwartym akcie *Tartuffa*. My będziemy mogli sobie wieszować i Bogu dziękować, jak tragedia da nam kiedy postać tak żywą, tak polską i tak w swoim rodzaju doskonałą jak Cześnik lub tak wdzięczną jak Aniela; sytuacją w swoim rodzaju tak zajmującą, tak oryginalną jak jest np. scena listu w *Ślubach Panieńskich*, albo scena Papkina z Rejentem, albo Wacława z Alfredem w *Mężu i Żonie*, jak się zdobędzie na efekt tak naturalny, prosty, a przytém tak w swoim rodzaju silny jak jest w *Dożywociu* Łatka, rozbrajający gniew braci Lagenów, albo w *Nikt mnie nie zna*, Kasper kiedy wezwany i zaklęty, by świadczył „jak się twój pan zowie“ repetuje jak pacierz jego przybrane nazwisko. To powiązanie sytuacji i efektów komicznych, naturalne i logiczne ich wyprowadzenie z poprzedniego zamiaru lub postępków osób, umieszczenie zmiany czy zwrotu w sytuacji tam, gdzie on właśnie najlepiej się wyda i najbardziej akcją ożywi, postęp tej akcji szybki, raźny, energiczny, te przymioty, na których dramat polega są z matemi wyjątkami we wszystkich sztukach Fredry, i one to sprawiają, że te sztuki tak dobrze wydają się na scenie, że zawsze są zajmujące.

A ma on jeszcze jedną własność, po której poznać zawsze prawdziwego dramatycznego pisarza: nie pokazuje się nigdy sam w swoich komedjach. Co on myśli, jak na świat patrzy, to zawsze odgadnąć można z jego sztuki; ale zawsze odgadywać trzeba, bo w sztuce występują tylko należące do niej osobistości i mówią, myślą, robią, to co im każe ich charakter i położenie, nie to, coby autor czytelnikowi chciał powiedzieć. Ta zdolność oderwania się od siebie samego, mnożenia się w nieskończoność, widzenia oczyma duszy tego, co się dzieć może w duszy zupełnie innej i mówienia za nią; ta obiektywność, która jest cechą wielkich dramatów, ta jest u Fredry w stopniu bardzo wysokim. Czasem może osoby z jego komedyi mówią to, co on myśli i czuje: i Gustawa śliczny ustęp o miłości w czartym akcie *Ślubów*, albo to, co Edwin mówi w *Odludkach* o poezyi i o kobiecie, to zapewne jest prosto z serca autora. Ale jest tak na swoim miejscu, tak dobrze mogło a raczej musiało być powiedzianém przez tego właśnie bohatera komedyi, że wyjawienie własnych autora uczuć jest zarazem dokładniejszym, lepszym określeniem uczuć jego kreacyi. Czasem może myśl własna występuje zbyt wyraźnie i zbyt otwarcie prawi morały (jak Zdzisław w *Cudzoziemczyźnie* np.) ale to bardzo rzadko. A najczęściej usposobienie autora zgadywać tylko trzeba z rodzaju charakterów, które lubi i tych, które mu są antypatyczne, ducha jakim przejęte są komedye.

Możnaby nawet silić się na odgadnienie autora, na skreślenie jego moralnego portretu na podstawie tych wskazówek: bohater żołnierz, a zarazem tęgi chłopiec nie bez szczęścia do kobiet, wstręt do tchórza, do chciwego, do dorobkowicza, wielka drażliwość w rzeczach honoru, wielka delikatność uczuć, poszanowanie cudzej ufności, uczucie religijne, które nigdy nie prawi kazań, ale zawsze jest i słyszeć się daje, zmysł moralny zawsze obecny, zawsze czuły i prosty (z jednym tylko wyjątkiem *Męża i żony*) to byłyby wskazówki, z których duszę autora odgadywać się dało, gdybyśmy odgadywać ją i w nią zaglądać mieli prawo. Dzięki Bogu, tego prawa jeszcze nie mamy i daj Boże, żebyśmy się go jak najpóźniej doczekali. Czy mówić jeszcze o humorze, o soli attyckiej i o *vis comica* Fredry? przypominać, że to wdzięk największy może jego komedyi? To cóż! Opisać się, wytłumaczyć w czém polega dowcip, nie da się tak samo, jak analizować natchnienie, a że jest własny oryginalny a zarazem typowy i wyłącznie polski, że jest bogaty zarówno w nieprzewidziane a szczęśliwe słowa, jak w komiczne pomysły osób, lub sytuacji, to zbyt widoczne, iżby powtarzać potrzeba.

Zwróćmy więc uwagę na jedną stronę tego humoru. Oczywiście jest, że Fredro nie gardzi konceptem dwuznacznym, powiedzmy po prostu nieprzyzwoitym, że nawet takie koncepta lubi. Skłonność to wspólna mu ze wszystkimi pisarzami, którzy w Polsce humor i dowcip mieli począwszy od Kochanowskiego. Ale w upodobaniu tém, zachowuje on pewną miarę i takt jakiś bardzo szczęśliwy: najczęściej tak zręcznie umie swój dwuznaczny koncept obrócić, że kiedy mężczyznom wydaje on się bardzo śmiałym a nieraz grubym, to uwagi kobiet, nawet starszych tak uchodzi, że ich nie razi, że najczęściej nie domyślają się znaczenia. Gdyby trzeba szukać dowodów wykwintnej, szlachetnej i bardzo estetycznej natury autora, to ta jego właściwość mogłaby służyć za dowód bardzo pewny i bardzo wymowny.

Czy Fredro, zapytajmy wreszcie, jest lub nie jest poetą? Jeżeli przez poetę rozumiemy tego tylko, kto umie pisać wiersze czułe, sentymentalne i patetyczne, tedy zapewne trzeba by mu prawa do tego tytułu odmówić. Ma on wprawdzie i w tym rodzaju ustępy bardzo ładne, żeby wymienić tylko miłosną scenę Gustawa z Anielą, ale w ogóle taka poetyczność liryczna i czuła, wzniosłość uczuć w kolizyi wysokich obowiązków i w tonie poważnym, to nuta, która czasem dźwięczy u niego fałszywo jak mamy dowód na *Przyjaciółkach* np. Ale jeżeli zapytamy czy jest lub nie jest poetą pisarz, który choć rzadko kiedy, liryczny i rozwodzący się szeroko nad uczuciami, umie przecież przejąć uczuciem na wskroś te ze swoich figur, które tego potrzebują i to uczucie z wielkim wdziękiem i z prawdziwą siłą wyrazić; czy jest poetą pisarz, który w wyobraźni swojej stworzy tak śliczną postać młodej dziewczyny, jak Anieli, a zwyczajnego, młodego trzpiota otoczy jakimś dziwnym urokiem jak Gustawa np.: czy może nie być poetą ten, kto z wyobraźni swojej wydobył tyle kształtów i tyle kolorów, kto młodości umiał na-

dawać wdzięk nieśmiertelny, a starości i wdzięk i powagę nawet wtedy, kiedy się nad nią uśmiecha i uśmiechać każe, kto z dziwną jakąś intuicyą „wskrzesił postacie dawniej przeszłości;“ gdybyśmy zapytali, czy choć komedia jako taka nie jest niby poezją, czy nie jest poetą ten pisarz komedyi, który stworzył Gustawa i Anielę, Jowialskiego i Cześnika. „Gdyby spytali tak, cobym powiedział?“ powiedziałbym, że nie raz w wielkiej niby poezyi i u niby wielkich poetów zdarzają się staropolskie postacie, ale między temi (z wyjątkiem Pana Tadeusza naturalnie) mało takich, w którychby rzeczywistości, prawdy czy staropolskiej, czy ogólnie ludzkiej, czy poetycznej było tyle co w Cześniku: że w wielkiej niby poezyi i u niby wielkich poetów jest niby wdzięcznych i niby polskich dziewcząt dużo, ale tak prawdziwie i na wskroś wdzięcznych i polskich i poetycznych jak Aniela, jest niewiele: a z tego wniesłoby można, że ten pisarz komedyi, który jako taki niby nie ma prawa nazywać się poetą, na prawdę jest nim lepszym i większym od niejednego z tych, dla których tém wielkiem imieniem zbyt łatwo zaiste i zbyt hojnie szafujemy. Nie trzeba zapominać, że nie samo uczucie stanowi poetę, że ten tylko jest nim na prawdę, kto wyobraźni myśli ma tyle co i uczucia. Otóż wyobraźni i intelligencji ma Fredro więcej od Pola, więcej od Zaleskiego, więcej od Goszczyńskiego, żeby już wszystkich mniejszych nie wymieniać. A uczucia czy ma mniej od nich? Nie: on tylko pisząc komedye, zawsze na niem grać nie może. Ale kto zdolny jest posłyszeć nutę, choć muzyk nie wali w klawisze i pedału nie przyciska, ten pod komicznym akompaniamentem pozna łatwo u Fredry drgającą zawsze strunę uczucia, ten w jego Rotmistrzach i Majorach i Cześnikach odkryje zawsze to uczucie, którego szuka i pragnie. Może to złe, może w komedyi tak być nie powinno; nie wiem. Ale to pewna że w jego komedyi, humoru jest bardzo wiele, ale ironii i sarkazmu mniej nierównie niż poezyi. Zresztą poeta, czy nie, w naszej literaturze będzie on zawsze liczył się do wielkich. Zbogacił ją całą jedną gałęzią, która przed nim puszczała tak słabo i biędnie, że ledwie za coś uważaną być mogła: dał jej komedya własną, narodową krew z krwi i kość z kości, pod względem artystycznym znakomicie piękną, pod względem moralnym nie przewrotną, ani fałszywą, ale, z jednym wyjątkiem (który przypomina się tu tak często, nie żeby on wyjątek zasługiwał na surowość i prześladowanie, ale na dowód, że się nie mówi w zaślepieniu i widzi złe tak jak dobre), pod względem moralnym dobrą, prostą, zdrową. Czegóż więcej trzeba? czy to na jednego człowieka i na jedno życie nie dosyć? A w jego życiu jest więcej zasługi i chwały. I nie trzeba go pytać z kądem mu ta jędrność i siła, z kądem tak późno jeszcze w wieku tak sędziwym ten błysk ognistego oka, to drżenie głosu, w którym brzmi razem rozkaz, napomnienie i rozrzewnienie; nie pytać mistrza, czemu ma siwiznę „tak piękną i tak chwalebna.“ Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały, z ję to dłuta cios wiecznotrwały wykuł ten posąg tęgości i życia, tę „kamienną duszę, rycerską osobę“ jakich widzi się wiele „na rycerzy grobie,“ a jaką w świecie żyjących widzi się już jedną tylko. On jest

taki dzielny i jedrny, bo jego młodość kwitnęła w tym czasie „obfitym w zdarzenia i ludźmi błyszczącym, który swoje piętno wybił na zdolnościach i na charakterach. Późniejsze życie, zwłaszcza ostatnie już lata starości, dawną dzielność, dawną świetną wesołość zastąpiły zadumanie poępnem i dziś, on bardzo smutny i bardzo znużony. Czy go żałować? Zazdrościć mu raczej: bo on tym „wielkim cichym smutkiem” dowodzi że „duch nie ściemniał i serce nie zgąsło, bo bez niego nie byłby tak zupełnie, tak na wskrós pięknym i czci godnym jak jest,“ bo jego dzieła mówią tylko o wielkości jego talentu, a to o czemś ważniejszem i lepszem, o wielkości jego duszy; w tamtem kto zechce naśladować go nie może, bo talent daje Bóg, i nie daje go każdemu. Ale duszę daje wszystkim i w czci, w wierności, w miłości wszystkim nam naśladować go wolno.

Kto wie czy nie na to on tak długo między nami zostawiony, żeby nowe pokolenia wiedziały, jacy dawniej ludzie bywali, jacy być powinni, żeby w nim uczyły się znać dziadów, zgadywać starszych jeszcze, a wszystkich rozumieć, czcić i miłować. Ostatni z wielkich swojego pokolenia, przypomina wszystkich dawniejszych i patrząc na tego starego żołnierza myśli się, że tak musieli wyglądać husarze z pod Chocima, kiedy na starość zasiedli w senacie, tak

„Te pany w żupanie

U których w sercu cnót na króla stanie!

taka tam „lwia śmiałość i senatorska wspaniałość i taka jakaś patryarsza powaga.“ Jeden z tych mężów starego obyczaju, o których Rzymianin mówił, że nimi stoją jego rzeczy, i których szanował jako przechowujących ducha rodziny i miasta. Ale dosyć: „dajcie mi pokój przyjaciele moi“ bo i hołd sam kiedy nie wołany a głośny może być natrętnym. Skończyny więc a kończąc przeprosmy najpokorniej tego, o którym śmieliśmy mówić, żeśmy mówili, i to żeśmy może godnie mówić nie zdołali. Ale o czemże mieliśmy mówić, jeżeli nie o tém, co nam w żyjącej dziś literaturze najlepszego zostało?

SZKICE Z EKONOMII SPOŁECZNEJ I PEDAGOGII.

PRZEZ

Maksymiliana Kawczyńskiego.

W szkicach niniejszych pragnę zwrócić uwagę ludzi, zajmujących się piękną nauką ekonomii społecznej, na związek téj nauki z zadaniem wychowania młodzieży; zarazem wskazać pedagogom, że jeżeli w pracy nauczania i wychowania młodzieży potrzebną jest rzeczą względniec prawidła psychologii, to równie jest potrzebą mieć na uwadze zasady i wymagania ekonomii społecznej. Dotąd tylko psychologia kierowała pracą pedagogiczną: do abstrakcyjnie wytkniętego celu zdążali peda-

gogowie, i rzadko, albo nigdy do niego nie dochodzili, ponieważ za mało uwzględniali realne warunki życia; obecnie kiedy ekonomia społeczna rozwinęła się w rozległą, silnie ugruntowaną naukę, kiedy warunki ekonomiczne nadzwyczaj są ważnym znakiem siły lub słabości społeczeństwa: należy się zająć zbadaniem związku, jaki ekonomia z pedagogią mieć może, należy na korzyść wychowania wyzyskać wszystkie zdobycze ekonomii. Próbkę takiego usiłowania ośmielam się podać w niniejszej pracy, którą zaczynam od ogólnego przedstawienia dzisiejszych stosunków ekonomicznych w Europie.

I.

System protekcyjny, czy wolność handlowa?

W świeżo ogłoszonej austriackiej księdze relacji dyplomatycznych znajduje się ciekawa wiadomość, podana przez hr. *Beusta*, którą tenże z ust sławnego ekonomisty francuzkiego, *Michała Chevalier* otrzymał, że do strącenia *Thiersa* z krzesła prezydenckiego głównie się przyczynili zwolennicy wolnego handlu, których sam *Michał Chevalier* jest we Francji naczelnikiem. W Niemczech i Austrii dobiegają termina traktatów handlowych, które były niejako pierwszymi krokami ku wolności handlowej. Chodzi tam teraz o to, czy odnowić rzeczony traktaty, czy też je zmienić; sprawa ta zatem żywo porusza umysły kupców, fabrykantów i ekonomistów. Nie od rzeczy więc będzie słów kilka powiedzieć, których zadaniem wykazanie różnicy pomiędzy działaniem systemu protekcyjnego a wolności handlowej, oraz wywiedzenie genezy tej ostatniej zasady.

Twórca teorii o wolności handlowej mógł wyjść tylko z tego narodu, który największy handel prowadzi, i jest nim w istocie Anglik *Ryszard Cobden*. Zasady jego zdobyły sobie w Anglii uznanie najzupełniejsze, we Francji natomiast widzimy stronictwo protekcyjnistów w walce z handlarzami, widzimy naprzeciw *Michała Chevalier* taką znakomitość finansową, jaką jest *Thiers*, który należy niezaprzeczenie do największych mężów stanu, jakich Francya obok *Sully'ego* i *Colberta* postawić może.

Zasady całej ekonomii politycznej są nauką, która się zrodziła równocześnie w Anglii i Francji: *Adam Smith* i *Turgot*, *Stuart Mill* i *J. B. Say* są jej twórcami. Ponieważ tedy Niemcy, jak i inne narody, od nich uczyć się musieli, nic więc dziwnego, że skoro pojawiła się doktryna o wolności handlowej, głoszona przez takiego *Cobdena*, *Brighta*, *Chevaliera*, niemiecacy, austriaccacy, a nawet polscy i rosyjscy ekonomisci przyjęli ją także na wiarę powag i dzisiaj liczy ona we wszystkich krajach całą falangę zwolenników.

Lecz i zasada protekcji ma swoich obrońców tak znakomitych, że ich imiona na zawsze zapisane będą w dziejach nauki; do nich należy, jako pierwszy, *Fryderyk List*, twórca niemieckiego związku celne-

go, należy *Henryk Carrey*, ekonomista amerykański, który najgłębiej teorię tę uzasadnił, należy *Supiński*, jeden z najgłębszych na tém polu myślicieli.

W każdym kraju znaleźć można ekonomistów, uznających zasady Carreya, Supińskiego; lecz liczba ich znacznie jest mniejsza, niż liczba handlarzy. Silne poparcie i gardłowanie znajduje zasada wolnego handlu w Niemczech i Austrii w wielkich dziennikach politycznych, a zwłaszcza tych, które w najgłębszych stosunkach zostają z domami bankierskimi i handlowemi. Bankierstwo i kupiectwo z wolnego handlu największe ciągnie zyski; dzienniki przeto, upierające się za wolnością handlową, więcęj mają na oku interes patrona, aniżeli kraju.

Czego żądają zwolennicy wolnego handlu? Żądają tego, aby wszystkie kraje otwarte były dla wszelkich wyrobów, wszelkich towarów jakiegobądź kraju. Zasada ta brzmi nadzwyczaj ujmująco i może istotnie na poparcie swoje przytoczyć pewne korzyści; skutkiem wolności handlowej człowiek możny, mieszkający we Lwowie, albo Konstantynopolu, może się ubrać w sukna angielskie lub francuzkie, dama w aksamity lyońskie lub belgijskie koronki; wszystkie te wyroby są znacznie lepsze, delikatniejsze, przyjemniejsze, okazalsze, niż krajowe; ale skutkiem tój samėj wolności handlowej lud wiejski na Podgórzu galicyjskiem, lud w Górnym Szlązku pruskim umiera na tyfus głodowy.

Skutkiem wolności handlowej wygoda, elegancya ma czém zaspokoić gusta swoje; ale skutkiem tėj samėj wolności żądza strojów, błyszczczenia, wdziera się do najuboższych rodzin i zatrzuwa ich szczęście.

Skutkiem wolności handlowej kraj przybiera cywilizowane pozory; ale skutkiem tėj samėj wolności każdy kraj nieprzemysłowy krok za krokiem bez ratunku dąży do ruiny, traci siłę wewnętrzną, staje się niejako kolonią angielską. Przykładem niech nam będzie Portugalia.

Smutne te antytezy będę się starał wyjaśnić. Przychodzą do kraju nieprzemysłowego towary angielskie i francuzkie same w sobie bardzo tanie, ale w stosunku do zarobku miejscowego bardzo drogie. Jeżeli kraj nieprzemysłowy, jak niegdyś Hiszpania, ma własne kopalnie złota i srebra, oddaje wtedy Anglii, Francyi, Holandyi wykopane złoto, sam zaś na cynie i szychu poprzestać musi. Lecz nie dość na tém, jeżeli bowiem dowóz towarów obcych jest tak wielki, że zaspokajają potrzeby mieszkańców, jakież wtedy będzie tėj wygody następstwo? Oto, że przemysł krajowy zupełnie zamrze, mieszkańcy zgnusnieją, kraj zubożeje i stanie się ekonomicznie zależnym od krajów innych. *Zależność zaś ekonomiczna sprowadza niechybnie zależność polityczną.* Jest to wielka prawda ekonomiczna, którą gdyby państwa zrozumiały, nię byłoby na ziemi, prócz Anglii i Francyi, kraju, któryby hołdował wolności handlowej. Gdyby niezbyt odrębne położenie geograficzne, oraz górzysty niedostępny kształt powierzchni kraju, dawnoby Hiszpania stała się prowincją Francyi, jak to Ludwik XIV i Napoleon I zrobić zamierzali.

Jeżeli kraj nieprzemysłowy nie posiada kopalni drogich kruszców, wtedy płaci drożej jeszcze. Oddaje wtedy zboże, bydło, drzewo, skóry, len, konopie, wełnę, tak zwane surowe płody. One niebawem wracają do niego: wełna w kształcie sukna przedniego, len w kształcie cienkich płócien, drzewo w kształcie wytwornych mebli, za które więcej płacić musimy, aniżeliśmy wzięli, choć odbieramy surowego materiału maleńką tylko częśćkę, np. za sto tysięcy centnarów wełny odbieramy 500 centnarów sukna, ze zboża nic się nie wróci. Bilans handlowy zawsze wtedy okazuje przewyżkę dowozu nad wywóz, *a przewyżka taka jest liczbą wykazującą, o ile kraj rok rocznie się zadłuża*. Jeżeli się nie zadłuża jako państwo, to się zadłużają jednostki, a ostatecznie państwo zawsze poczuje i odpowie za skutek takiego bilansu. Niektórzy uczeni niemieccy chcieliby prawdę tę dysputowaniem sofistycznym zagłuszyć, ostatecznie fakt ten nie da się obalić, że właśnie te państwa są ekonomicznie najmoźniejsze, które jak Francya i Anglia, mają najkorzystniejszy bilans, inne zaś, jak Austria, której bilans handlowy jest ujemny, podlegają rujnującym wstrząśnieniom finansowym.

Jedynym warsztatem, na którym wyrabiają się płody surowe, jest ziemia; otóż wiemy, że ziemia pewien tylko zasób materiałów posiada, a jeżeli się jój tego nie wróci, co się z niej wzięło, musi się stać płonna, nieurodzajną. W Stanach-Zjednoczonych Amerykańskich najżyźniejsze niegdyś okolice w ten sposób wyjałowione zostały, że dzisiaj stoją pustkami. Ten los czeka prędzej czy później wszystkie kraje rolnicze nieprzemysłowe.

Czego teraz chce system protekcyjny? Ten system chce, aby zboże na tej samej zjedzone było ziemi, na której wyrosło, aby wszystkie surowe materiały przerabiał się na własnej ziemi i tym sposobem po jakimś czasie wracały jój to, co z niej wyciągnęły: aby pomiędzy produkującym a używającym nie było pośredników, którzy cenę towarów podwajają, nie pracy nie dodając; ażeby doskonałość wyrobów podniosła się przez konkurencyą krajową, własną, nie zagraniczną. Są to piękne żądania, na któreby każdy się zgodził, lecz cóż, kiedy tenże system żąda, aby się ubierać w sukno z Łodzi, nie z Rouen, aby pić miód krajowy, nie Veuve Cliquot, aby się wyrzec paryzkiego szyku, zamieniając go na skromną prostotę własnego wyrobu, słowem chce rzeczy takich, na które nie łatwo się zdobędą popsute dzieci XIX wieku.

Powiedziałem już, że dziwnym, chociaż już wytłumaczonym sposobem są ekonomiści we wszystkich krajach, którzy przemawiają za wolnością handlową, chociaż ona dobrą, zyskowną dla krajów przemysłowych i handlowych, ale zgubną dla krajów rolniczych. Dla Francji i Anglii wolność handlowa jest szczęściem, dobrodziejstwem, źródłem niestychanego zarobku; dla innych krajów nieszczęściem, źródłem ubóstwa, utraty sił należytych i niezależności. Nie dziwny się przeto, że Anglia i Francya w nagrodę zwycięstwa wojennego lub dyplomaty-

cznego żądała najczęściej traktatu handlowego, lecz czyż to nie powinno było otworzyć oczu mężom stanu? Traktaty handlowe z Francją i Anglią były głównymi rezultatami tych importowanych opinij, głoszonych ślepo za głosem Cobdenów i Chevalierów, którzy tylko stosunki i korzyści własnych, a nie innych krajów mieli na uwadze.

II.

Wolność handlowa a koleje żelazne.

Ciekawą byłoby rzeczą zbadać genezę zasady wolnego handlu. Pójdźmy przeto do Anglii i wyszukajmy przyczynę, dlaczego właśnie tam zrodziła się rzeczona zasada, kiedy się ona zrodziła i rozpowszechniła?

Pomiędzy rokiem 1830 a 1840 Anglia pokryła się siecią kolei żelaznych, pomiędzy 1840 a 1850 r. Francya i Belgia zrobiły to samo; wkrótce i Niemcy i Stany Zjednoczone Amerykańskie, a następnie i inne kraje europejskie przykład ten naśladować zaczęły. W tym samym czasie statki parowe w szersze zaczęły wchodzić życie. W roku 1846 przeprowadził Cobden zniesienie cła zbożowego w Anglii i to był pierwszy krok na drodze znoszenia lub zmniejszenia cęł, dla poparcia którego ekonomiści angielscy wypracowali teorią o wolności handlowej. Bez parowców i kolei żelaznych nigdyby zasada taka do szerokiej praktyki dojść nie mogła. Trudność transportu zniewoliłaby przemysłowców raczej do przenoszenia się i zakładania fabryk w obcych, pozbawionych przemysłu krajach, aniżeli do puszczenia swych towarów w daleką drogę, w której zniszczyć i zaginać mogły. Czy Łódź, Zgierz, oraz mnóstwo fabryk niemieckich w Rossyi nie są tego dowodem? *Wolność handlowa jest córką kolei żelaznych i statków parowych.*

Nie zwracają na to ekonomiści dosyć uwagi, jak wielkie złe ściągają koleje żelazne na kraje, które nie są do tego przygotowane. A jakież to kraj będzie dostatecznie przygotowanym, aby mu koleje żelazne na pożytek wyszły? Oto kraj taki, w którym drogi publiczne są doskonałe, w którym zaprząg, t. j. konie, są poprawioněj, dobrze wychodowaněj rassy, w którym drobny przemysłowiec jest dostatecznie wykształcony, aby mógł użyć i skorzystać z lepszych narzędzi, z maszyn; w którym najlichszy robotnik nie żyje z dnia na dzień, lecz rozumie, że troska o jutro, o przyszłość, jest rzeczą, która przystoi człowiekowi. Inaczěj bowiem, gdy koleje żelazne przetną kraj zaledwie dźwigać się zaczynający, nietylko że mu się dźwigać nie pozwolą, lecz zepchną go niżej i utrudnią mu to dźwiganie się. Drogi zostaną jeszcze bardziej zapuszczone, bo ludzie myślą, że byle dotrzeć do kolei, to już biada zwyciężona; drobne miasteczka, z których każde jest ogniskiem swojej okolicy lub powiatu, opustoszeją, ponieważż ruch cały zaczyna się skupiać przy wielkich stacyach kolejowych. Po naszych miasteczkach żyje tysiące ludzi, których profesyą jest tkactwo, lecz

warsztaty ich popsute i nieczynne stoją. Dlaczego? Ponieważ kolój żelazna przywozi perkale i sukna z Anglii, które są znacznie tańsze i praktyczniejsze, a nawet ładniejsze, niż wyrób krajowy, pozbawiony tym sposobem pokupu.

Prawda, że ceny zboża idą w górę, a przez to i wartość ziemi się podnosi; lecz cóż, kiedy równocześnie tkacze, garbarze, płóciennicy pozbawieni są i tego miernego zarobku, jaki dotąd zyskiwali i nie mają za co zboża kupić, które przemysłowa Anglia lepiej płaci i tyle zabiera, że krajowcy cierpią głód i giną z nędzy. *Upadek miasteczek i nędza drobnego rzemieślnika i robotnika wiejskiego, jest nieuchronnym następstwem kolei żelaznych w krajach nieoświeconych, nieprzemysłowych.*

Cena ziemi się podnosi, to prawda, ale podnosi się nad miarę wysoko; ceny jej nie naznaczają stosunki krajowe, lecz stosunki zagraniczne: cenę jej naznacza agronom niemiecki, który daje za nią więcej niż może dać krajowiec. Dlaczego? Ponieważ z niej wyciągnie więcej, ponieważ zna gospodarkę taką, jaką się prowadzi na Zachodzie, gospodarkę wysiloną, zużywającą wszystkie zasoby ziemi i korzystającą ze wszelkich stosunków ekonomicznych w okolicy. Krajowiec nie zdoła wyciągnąć z niej takich procentów, jakie wyciąga obcy; dlatego ziemia ta dla niego nie ma téj wartości, co dla obcego, dlatego ją sprzedaje chętnie i bierze więcej, niż ona w oczach jego warta. *Naturalem więc następstwem kolei żelaznych w krajach nieoświeconych i nieprzemysłowych jest przechodzenie ziemi z rąk krajowców w ręce obcych.*

Jak gospodarz wiejski, tak fabrykant i rzemieślnik krajowy, tak kupiec nasz nie wytrzyma konkurencyi z obcym, i ztąd pochodzi, że po zbudowaniu kolei żelaznych, coraz więcej napływa obcych fabrykantów i kupców do kraju. W roku ostatnim przeszło z Niemiec do Rosyi więcej niż 20 tysięcy osób.

Koleje żelazne w krajach nieprzygotowanych do tego, są otwartymi żyłami, któremi krew i siła krajowa ubiega, są narzędziami wyzyskiwania, są drogami, któremi głód i nędza wkracza.

Są atoli i dobre z kolei żelaznych skutki: do takich nie policzę wprawdzie tego, że zbytek i blichtrowe pozory cywilizacyjne się szerzą kosztem prawości i prostoty; lecz postęp rzetelny także się tą drogą zbliża, tylko niestety, aby go sobie przyswoić, potrzeba należytego przygotowania, potrzeba sił skupienia: więc czyż pożytecznie działają tedy koleje żelazne, że przynoszą nam postęp, ale razem z osłabieniem?

Przy pomocy maszyn parowych, które wszelkie materje wyrabiają szybko, tanio i dobrze, zaczęła Anglia pomnażać stokrotnie te kapitały, które już przez handel z koloniami swemi zyskała; nagromadzone kapitały żądały użycia, pobudzały do rozpoczynania przedsiębiorstw na wielką skalę, pozwalały na zakupywanie surowych materyałów w krajach najdalszych, pozwalały na dawanie kredytu wielkiego i zdobyły przemysłowi angielskiemu ogromną przewagę nad przemysłem

obcym. Tak więc, umysł Wattów, Arkwrightów, Stephensonów zrodził maszyny parowe, maszyn parowych umiejętne użycie zrodziły kapitały, kapitały osłabiły zagraniczną konkurencją, i oto Anglia, mająca węgiel i żelazo w domu, stała się panią przemysłu. Ilość wyrobów wzrosła w Anglii do tego stopnia, że jej kolonie za małym dla niej stały się targowiskiem. Wtedy rozpowszechniają się koleje żelazne, statki parowe, i otóż rodzi się zasada wolności handlowej, na którą to wędkę narody łakome wygód i zbytku, w zależne od Anglii finansowo, rade nie rade złowić się dały.

Otóż widzimy dzisiaj *Wielką Brytanią* jako panią nie królestw i kolonii, lecz wszystkich niemal pięciu części ziemi. Wszystkie kraje i narody na ziemi są w poddaństwie przemysłu i handlu angielskiego, wszystkie kraje na ziemi płacą rok rocznie miliony haraczu temu narodowi, którego bogactwa wzrosły na tej drodze do tak bajecznej wysokości, że o tym wyobrażenia nie mamy.

We *Francji* ma się rzecz podobnie. Ojczyzna Papin'a i Lenoir'a umiała użyć siły parowej i nagromadziła kapitały zdumiewające. Handel francuzki nie jest tak ogromny jak angielski, lecz za to zyskowniejszy. Jeżeli Anglik wysyła swoich ciężkich żelaznych towarów za milion, to potrzebuje do tego całej floty; Francuz swoich jedwabi i biżuterii za milion na jeden statek włoży.

Thiers, chcąc ograniczyć wolność handlową z Francją, pragnął niezawodnie, aby rozwój jego ojczyzny był naturalniejszy, pragnął podnieść rolnictwo, które niżej stoi od angielskiego; pragnął wesprzeć moralność, której największym wrogiem jest zbytek: pragnął do harmonii przywieść wszystkie gałęzie przemysłu francuzkiego, które dzisiaj częstokroć w jednostronnym idzie kierunku. Lecz przyznać trzeba, że nigdyby Francya nie była spłaciła znanych miliardów, nigdyby się nie była dźwignęła tak szybko z nieszczęść, gdyby nie wolność handlowa. Na spłacenie tych miliardów pracują tak Niemcy jak Austria, jak Stany Zjednoczone, jak i my wreszcie.

Póki w *Niemczech* trwał system protekcyjny, tak długo przemysł niemiecki wzrastał z dniem każdym i wzrósł do tego stopnia, że już zaczął wysyłać swe towary ku dalekim brzegom; ale i oni za rychło odemknęli bramę wolnemu handlowi, chociaż tylko dla pewnych artykułów handlowych, i dzisiaj tam rzeczy stoją tak, że na zjeździe ekonomistów niemieckich w Monachium, większa połowa członków oświadczyła się za systemem protekcyjnym.

W krajach takich, jak *Turecja*, *Hiszpania*, *Meksyk* najjawniej widzimy działanie wolnego handlu. Przed stu laty kraje te nawet w porównaniu z Anglią ubogimi nie były; dzisiaj stoją nad brzegiem przepaści która się bankructwem nazywa, a bankructwo finansowe pociąga za sobą i polityczne bankructwo.

Przejdźmy do *Austrii*, której przemysł z dawien dawna stynał daleko. Czechy, Morawa, Styrya stały przemysłowo wyżej, niż którakolwiek część Niemiec. Roku 1865 zawarła Austria traktat handlo-

wy z Anglią, a ten doprowadził do tego, że dzisiaj ze wszystkich wielkich fabryk rozpuszczają robotników, nawet *Sigl* zbankrutował. Niezadługo ubiega termin traktatu, a Austria będzie miała ręce swobodne.

Teraz wypada nam się przypatrzeć położeniu *Królestwa i Imperyum*. Rozsądna polityka ekonomiczna zasłoniła te kraje przed wyskakiwaniem Anglii i Niemiec, skutkiem czego przemysł krajowy rozwija się z każdym dniem widocznie. Każdemu atoli wpadnie w oczy ten fakt, o którym dobrze pamiętać trzeba, że pomysł ten chociaż rozwijający się w kraju, nie zostaje w ręku krajowców, tylko przybyszów, kolonistów. Jest to rzecz dla kraju o wiele korzystniejsza, niż wolny handel z Niemcami i Anglią; tu bowiem producent już zbliżony jest do konsumenta, już z nim na tej samej żyje ziemi, której wartość przez to się wzmacnia, płody surowe przerabiają się w kraju i w nim zużywają.

Lecz pragnieniem i dążeniem naszym być powinno, aby krajowcy stali się zarazem przemysłowcami. Przemysł tworzy kapitały, które zostają w ręku przedsiębiorcy; jeżeli atoli przedsiębiorcą jest obcy, któż nam zaręczy, że przy lada okazji kapitały te nie przeniosą się za granicę, zabierając z kraju owoc długoletniej pracy rąk tysiąca?

Jakim sposobem ludność krajową przysposobić, przygotować do przemysłowej czynności, będzie mowa w ustępach następnych.

III.

Prawdziwe bogactwo społeczne.

Nadzwyczaj ważną dla kraju jest rzeczą, aby w nim panowały zdrowe pojęcia o bogactwie krajowem.

Pojęcia te dotąd, jak nas uczy historia, wielkim ulegały zmianom. U starożytnych liczba niewolników i szerokie dzierżawy były tém złotem jabłkiem, za którym ludzkość chciwa goniła. Lecz jabłko to zawierało truciznę w sobie. Na czele zbuntowanych niewolników stanął Spartakus i wstrząsł fundamentami państwa. Dzieła Cyrusa, Aleksandra, Cezarów długo nie trwały, i kolejno Persowie, Grecy, Rzymianie stawali się niewolnikami.

Wiekі średnie mają odrębne piętno, dążenia i walki ówczesnych narodów mają jakąś cechę idealności: to im o grób Chrystusa chodziło, to o przewagę władzy świeckiej lub duchownej; lecz obok tych dążeń wybija się coraz wyraźniej zasada legitymizmu i dziedziczności, zasada prawna, a więc także do pewnego stopnia idealna.

W czasach nowszych coraz wyraźniej występują walki o złoto. Ileż to walk Anglia w ciągu ostatnich trzech wieków nie stoczyła. Teraz ich już staczać nie potrzebuje, bo zamiast fregat i zaciężnych pułków wysyła w świat ideę, uzbrojoną w argumenta, ideę o wolności

handlowej, która dokonała tego, czego floty dokonać nie były zdolne, która zamieniła w jej kolonie wszystkie nieomal krainy ziemi.

Od czasu odkrycia nieprzebranych kopalni drogich kruszców w Ameryce, od czasu wzmożenia się zbytku, złoto stało się znamięciem potęgi i szczęścia, marzeniem ludzi. U nas namiętność ta nie występuje tak wyraźnie jak w Anglii, a przedewszystkiem w Stanach Zjednoczonych Amerykańskich, gdzie pieniądz jest symbolem życia i szczęścia.

Tymczasem los przyjazny dał nam obecnie żyjącym przykład niezbity, że nie złoto jest istotnym bogactwem i potęgą narodów. Przykładem jest nam nieśmiertelna *Gallia*, z której los zdarł osłonę, aby narody mające oczy ku widzeniu dostrzegły prawdy, aby dostrzegły dlaczego to naród francuzki jest istotnie pierwszym narodem na świecie.

Dwanaście miliardów straciła Francya przez ostatnią wojnę. Strata taka przywiodłaby do ruiny wszystkie państwa na ziemi, jedną chyba Anglią wyjąwszy; tymczasem Francya dzisiaj już tę stratę powetowała. Niezadługo głos jej w koncercie państw poważnym się stanie. Podatki niestałe przyniosły jej w tym roku 120 milionów więcej niż obliczono. Miliardy stracone wracają do niej z dniem każdym, a Niemcy nie najmniejszą częśćkę do tego dodają. Jak i zaco? Oto za rękawiczki, kapelusze, jedwabie, zegarki, biżuterje, za obrazy i rzeźby, za książki wreszcie.

Powiemy więc że przemysł francuzki jest tą potęgą. Lecz przemysł jest pojęciem oderwanym, a pojęcia oderwane rękawiczek nie robią. To Francuzi sami są tą potęgą, to czterdziesto-milionowa, pracowita i inteligentna ludność Francji jest istotnym bogactwem.

Wyobraźmy sobie gromadę Irlandczyków (z usposobienia bardzo podobnych do Polaków) i Francuzów rzuconych na dwie wyspy odludne. Jedni i drudzy jednako niech będą zaopatrzeni w to, co Opatrzność wszystkim udzieliła ludziom: w czas, siłę muszkułów i płody natury i przypatrzmy się ich życiu. Obawiam się, czy Irlandczycy niezadowolą się szaląsem jakbądź dla osłony od deszczu i zimna zbudowanym, owocami i zwierzyną, którą w lecie znajdą, a resztę czasu spędzą na paleniu fajki, śpiewaniu, marzeniu i graniu w karty.

Francuzi przeciwnie, gotowi nie święcić niedzieli, jak to robią dzisiaj, pracować od świtu do zmroku, ze zwierząt, roślin i minerałów stokrotny wyciągną pożytek, użyją siły słońca, wiatru i wody; w krótkim czasie wyspę zamienią w ogród, warsztat w targowisko, puszcza się na wyprawy morskie torując, jak Fenicyanie, drogę swemu handlowi, a pracując podwójnie dla siebie i innych, dojdą do potęgi, której wpływ sięgać będzie i do Irlandczyków.

Bogactwa natury, siły i przyrody i czas, oto kapitały udzielone każdemu człowiekowi. Chodzi tylko o to, aby z nich zrobić użytek; chodzi więc o ludzi, którzy sami tylko z tego korzystać mogą; chodzi o ludzi pracowitych, bo tylko pracą człowiek zdobywa siłę; chodzi o lu-

dzi światłych, bo tylko wiedzą człowiek zwycięża naturę i zamienia ją w służebnicę swoją, tylko wiedzą siły natury do pracy zaprzadz można.

Chodzi dalej o ludzi oszczędnych, którzyby owoce pracy uszanować umieli, gromadzić z nich zapas na lata chude i nieurodzajne, które w przyrodzie prawidłową koleją następują.

Chodzi o ludzi moralnych i religijnych, bo tylko tacy dobry użytek zrobią ze swęj pracy i oszczędności.

Chodzi o ludzi, którzyby kochali i tworzyli rodzinę, bo rodzina jest jedyną zdrową i trwałą podstawą narodu i państwa.

Tacy ludzie są prawdziwem bogactwem narodowem. Kraj zamieszkały przez takich ludzi, chociażby był ogołocony ze wszystkiego, z chleba, z pieniędzy, zabudowań, w kilka lat pokryje się zielenią zbóż, ozdobi zacisznymi zaroślami, a pieniądze, te same wpłyną do niego, tak jak woda napływa w miejsca dla nięj otwarte.

Jedynem, prawdziwem bogactwem w państwie, jest człowiek, do pracy dobrze przysposobiony.

W społeczeństwie naszym zaczyna się coraz bardziej budzić pęd ku pracy, lecz tą gałęzią pracy, do której najwięcej się u nas zaczynają garnąć, jest handel. Benjamin Franklin powiedział o handlu, że to jest urząd zaszczytny i zyskowny, potrzeba kupców krajowców jest wielka, lecz nie trzeba zapominać, że handel nic nie tworzy. Bardzo złą dla kraju jest rzeczą, jeżeli w nim handel jest starszy i silniejszy niż przemysł. Handel to bowiem naprowadza ludziom wyroby nieznanne i zbytne, handel tworzy nowe potrzeby, handel nęci ku zbytowi, handel sprowadza na kraj demoralizacyą ekonomiczną, która polega na tém, że kraj tylko używa, korzysta z pracy i gustu obcego a sam nic nie tworzy, że wymagania i gusta mieszkańców przewyższają o wiele ich rzeczywiste potrzeby i własną pracę.

Handel powinien być dzieckiem przemysłu i wtedy tylko jest pożyteczny i potrzebny.

Wszystkie zajęcia ludzkie są produktywne, albo nie produktywne. Do produktywnych należy rolnictwo, wszelkie rzemiosła i wszystkie gałęzie przemysłu, nauczycielstwo i te gałęzie literatury, które pouczają. Do nie produktywnych należy handel, wszelkie urzędy i sztuki piękne. Zrozumie każdy że nie produktywne zajęcia mogą być bardzo użyteczne i są w społeczeństwie niezbędne; lecz konieczną jest rzeczą, aby zdrowy stosunek był zachowany pomiędzy zajęciami jednymi i drugimi, głównem atoli źródłem bogactwa krajowego są zajęcia produktywne. Te więc powinny zajmować najwięcej rąk i głów pracujących, te powinny doznawać najtroskliwszęj pieczy i poparcia.

Ludność zdrowa i światła, zajęta skrzętną i wytrwałą pracą produktywną jest, jak widzimy, jedynem rzetelnem bogactwem krajowem.

IV.

Działanie szkoły w społeczeństwie.

Dźwignia należy w mechanice do najpotężniejszych maszyn; wszakże Archimedes żądał tylko punktu oparcia, aby nią ziemię z jej miejsca wyrzucić. Otóż dźwignią taką w społeczeństwie jest szkoła, a mianowicie szkoła ludowa. Za pomocą szkoły można społeczeństwo z biedy i niudolności wydobyć, postawić na nogi, nauczyć pracy i moralności; lecz za pomocą szkoły można również społeczeństwo wtrącić w przepaść, zbiednić, pozbawić moralności.

Czegóż szkoły nie zrobiły w *Szwajcaryi!* Jedźmy do kantonu Zürich i szukajmy zebraka: nawet z latarnią go nie znajdziemy. Wsparły szkolnemi wiadomościami, wieśniak szwajcarski umie z małego kawałka ziemi wyciągnąć dla siebie utrzymanie. O złodziejstwach i oszustwach mało tam posłyszemy. Ludność wykształcona popiera gorliwie dobre zamiary rządu; to też szukać daleko takiego ruchu, takiej czynności, takich dróg pięknych, ogrodów i winnic, takich kanałów, portów i grobli, takiego dobytku pięknego i takich wspaniałych, wesołych, tysiącami głosów nuconych śpiewów.

Nie sądźmy, że to republikańska forma rządu sprawia takie cuda; w niedalekim bowiem kantonie Graubünden znajdziemy niudolność, umysł pełen zabobonów, niechlujność i szkoły źle uorganizowane.

Chodźmy do *Prus*: tam w zakątku, który dotyka Galicyi i Królestwa żyje ludność pokrewna, na ziemi obfitującej w takie bogactwo minerałów, że niema w całych Niemczech bogatszej nad tę okolicę. Lecz szkoły urządzone temu lat 140, kiedy Fryderyk II król pruski zabrał Szlązk Austrii, a urządzone w celu wynarodowienia mieszkańców, nie dopięły głównego celu, nie zniemczyły ludności, lecz zamieniły ją w nędzarzy, idiotów, niewolników, w bydło robocze, prawdziwych helotów. Szkoła bowiem, jeśli nie rozwija, to przygnębia; jeżeli nie kształci, to prowadzi do głupoty. A jakże prostaczek, znający tylko język swjej matki, mógł rozumieć naukę wykładaną po niemiecku? Nauczyciel Niemiec, nie widząc postępu ucznia, przypisał to jego gnuśności i wrodzonej głupocie i nuż go karać, przezywać idiotą i zwierzęciem. Zniechęcił się wnet chłopaczek do takiej szkoły i nauki i stał się tém, za co go szkoła niemiecka wzięła, to jest idiotą i zwierzęciem. A przecież jest to lud z natury pojętny, pracowity, poczciwy.

Tak więc szkoły mogą lud szczęśliwym lub nieszczęśliwym uczynić.

Powszechném jest mniemanie, że na polu szkolnictwa Prusy przodują wszystkim państwom na ziemi. Jest to powszechne złudzenie, które następne uwagi może rozwiać zdołają.

Prawda, że Prusy mają ogromną ilość szkół, chociaż tam jeszcze po kilka gmin do jednej szkoły należy, czego w kantonie Zürich nie ma; prawda że w Prusiech mało jest ludzi młodszych, nie umiejących

czytać i pisać, chociaż w Szwajcaryi nie ma może, prócz kretyńców, żadnego; ale i to jest prawdą, że prócz większej lub mniejszej biegłości w czytaniu i pisaniu, lud niemiecki nie wiele umie. Nauczył się tego, czego go uczyli, ale uczyli go tylko czytania i pisania; tymczasem biegłość w czytaniu jest dla człowieka nieoświeconego poniekąd niebezpieczną, ponieważ może go wprowadzić na pole kwestyi religijnych, i robi go sekciarzem, albo na pole kwestyi społecznych i robi go socyalistą. Znajomość pisania poprowadzi człowieka nieoświeconego do pieniactwa. Bo i cóż będzie czytał człowiek niewykształcony: do historii, geografii, ekonomii, literatury nie zrozumie; rozpraw pisać nie będzie, a listy zbyt rzadko pisać mu się zdarza. Najłatwiej wpadnie mu do ręki książka mistyczna, sennik: najłatwiej nadarzy mu się okazja napisać skargę do sądu.

Jakim sposobem stało się, że nauka czytania i pisania stała się jedynym prawie i najważniejszym przedmiotem nauki w szkołach niemieckich, a za ich przykładem w innych szkołach? Stało się sposobem bardzo naturalnym. Początek dzisiejszej szkoły ludowej niemieckiej datuje od czasów reformacji. Były i przedtem szkółki w Niemczech przy kościołach i katedrach, ale te uczyły tylko po łacinie. Dopiero Luter spowodował utworzenie szkółek, w którychby uczono czytać po niemiecku, a to dla tego, ażeby każdy mógł czytać biblię w języku ojczystym. Wszakże to znana zasada protestantyzmu. Protestantyzm spowodował utworzenie szkoły ludowej niemieckiej, protestanci duchowni mieli je w ręku aż do ostatnich czasów i mają je dzisiaj w znacznej części, ponieważ walka z Kościołem, którą prowadzi książę Bismark, nie dotyka tak silnie zboru protestanckiego, jak kościoła katolickiego. Tym się stało sposobem, że nauka czytania stanęła i stoi na pierwszym planie szkół niemieckich.

Inne państwa europejskie oślnione mrówczą pracą i stosami literatury pedagogicznej niemieckiej, przyjęły szkołę niemiecką bez krytyki, a postąpiły w tém bardzo niedobrze; co bowiem było pierwszą potrzebą dla protestantyzmu, to nie jest pierwszą potrzebą dla państwa, dla społeczeństwa, a zwłaszcza dla społeczeństwa nie protestanckiego.

Przykład niech wyjaśni i poprze to zdanie. Wszakże prawdą jest, że Francya co do rozpowszechnionej znajomości czytania nie wyrówna Niemcom; prawdą jest, że połowa rekrutów we Francyi czytać nie umie; lecz czy Francya pod względem cywilizacji stoi niżej od Niemiec? Bynajmniej. Cywilizacja to pracowitość, rzetelność, oszczędność, schludność, a czy jest na świecie naród pracowitszy, rzetelniejszy, oszczędniejszy, schludniejszy, jak francuzki? Niema, bez zaprzeczenia. Czego nie zdziały w Niemczech szkoły czytania i pisania, to zdiały we Francyi szkoły przemysłowe, wzorowe warsztaty, tradycje pracy i wynalazków, tradycje, które pobudziły Bernarda Palissy, Papiu'a, Lenoira, które nietylko nie giną we Francyi, ale się ciągle mnożą i potężnieją.

Po wojnie prusko-austriackiej, po Sadowie, rzucił ktoś słówko ulotne, że to szkoły niemieckie pobiły szkoły austriackie. Paradoks ten rozciągnięto także na rezultat wojny francuzko-niemieckiej: nauczyciel niemiecki pobił nauczyciela francuzkiego. To jest nieprawda. Szkoła niemiecka, szkoła abecadła do wojny nie sposobi; szkoła niemiecka, w której młodzież w ciasnych i ciemnych izbach, na ławach niewygodnych, traci wzrok, zdrowie płuc i garbatą się robi, ta szkoła do zwycięstwa we wojnie nie prowadzi. Prusy zwyciężyły Austryą i Francją skutkiem powszechnej służby wojskowej, skutkiem liczebnej przewagi wojska, skutkiem skrętnego przygotowania się i sumiennego wykonywania rozkazów, skutkiem lepszej broni i artylerji.

Szkoła szwajcarska, ta przygotowuje także do wojny; tam bowiem młodzież szkolna od siódmego roku życia zaczyna wprawiać się do ruchów i ćwiczeń wojskowych, najprzód z laską drewnianą, a później ze strzelbą, tak że w Szwajcaryi młodzieniec ośmastoletni, wstępujący do wojska, umie doskonale obchodzić się z bronią, strzela doskonale, maszeruje wybornie, robi ewolucye, tak że w ciągu sześciotygodniowej służby w armii, ma się tylko nauczyć służby polowej. Szwajcaryja za pomocą tego systemu może wyprowadzić w pole armią 400 tysięczną, która ją rocznie kosztuje tylko około ośmiu milionów franków, na szkołę natomiast wydaje około jedenastu milionów franków.

Łatwo zrozumieć, że utrzymywanie armii silnej i licznej, chociaż jest rzeczą niezbędną, to wszelako jest wydatkiem nieproduktywnym. Gdyby można wydatek ten ograniczyć, nie uszczuplając siły państwa, byłoby rzeczą bardzo zbawienną; miliony na tém oszczędzone mogłyby wzmocnić departament rolnictwa, komunikacyi i szkół, a byłoby to użycie bardzo produktywne. Obecnie w Austrii rozpoczął Frischhof agitacyą za zmniejszeniem armii stałych i sprawa ta nawet w Radzie państwa w Wiedniu poruszona została. Jedyny sposób skutecznego jej załatwienia widzę w systemie szwajcarskim. Dopóki armie państw europejskich rekrutowały się przez konskrypcyą, dopóty użycie tego systemu dla wielu państw było niepodobnym, niemożliwym; ale skoro tylko ogłoszono powszechną służbę wojskową, to nic nie przeszkadza użyciu szwajcarskiego sposobu, taniego, skutecznego, który szkole nic nie zaszkodzi, owszem, nowego jej doda uroku, a państwu przysposobi dzielnych i wyćwiczonych rekrutów, którzy po roku służby żołnierskiej wyrównają najdoświadczeńszym weteranom.

Lecz porzucając pole Marsa, wracam czempredziej na pole ciszy i pracy; *szkoła* bowiem, znaczy miejsce spokoju. Na podstawie naocznego sprawdzenia powziąłem to przekonanie, że najlepsze w Europie szkoły są szwajcarskie, ale i szwajcarskie nie są jeszcze dobrymi szkołami. Dlaczego? Dlatego, że i tam nauka czytania i pisania na pierwszym stoi planie, co być nie powinno. Szkoły niemieckie nie są dobre, jeżeli zaś inne kraje naśladowały w tém Niemców, czyż mogły tedy mieć szkoły lepsze? Że naśladowanie to sprowadza szkodę dla

kraju, że nie używa szkoły w najlepszym i najpotrzebniejszym dla mieszkańców kierunku, to niech wykaże ustęp następny.

V.

Ekonomia społeczna, a szkoła.

W poprzednim ustępie występowałem przeciw szkole, której głównym zadaniem jest nauka czytania i pisania, i nic dziwnego. Ktokolwiek ze mną uznaje zasadniczą ważność prac ekonomicznych dla społeczeństwa, ten się zgodzi na to, że szkoła ucząca tylko czytać i pisać, zadania swego nie spełnia.

Nie wynika ztąd, abym był nieprzyjacielem nauki czytania i pisania; owszem przyznaję, że to są wiadomości bardzo pożyteczne i pożądane, ale tylko dla człowieka, którego umysł jest ukształcony, bo inaczej czytanie i pisanie nietylko nie pożytecznym, ale szkodliwym stać się może. Chodźmy do Berlina, tam każdy robotnik nauczył się w szkole: czytania, ale niczego więcej, niczego co mu w pracy życia posłużyło, co by wskazało jak pracę tę wydoskonalić, podnieść do artyzmu; skazany tym sposobem na służbę maszyny, na niewolnika rutyny, zaczyna czuć niezadowolenie ze swego losu, niesmak do pracy; nauczył się czytać, więc czyta, chwyta za gazety, a niech się tylko pokaże gazeta, któraby uderzyła na nutę jego mniemanych pokrzywdzeń społecznych, chwyci za nią skwapliwie, a z nim razem tysiące jemu podobnych, którzy się w szkole także tylko czytać i pisać nauczyli: i otóż propaganda socjalistyczna znalazła pole swoje, na którym niezadługo wyrośnie chwast obłądki komunistycznej. To sprawiają szkoły, których głównym zadaniem nauka czytania i pisania i dlatego jestem ich nieprzyjacielem.

Czytanie i pisanie, pamiętajmy o tém, nie jest wcale właściwą nauką, tylko mechaniczną biegłością, która na ogólne wykształcenie człowieka tyle tylko ma wpływu, że go przyzwyczajają do uwagi i pilności, ale żadnej nie rozwija w nim zdolności, owszem przytłumia i psuje je poniekąd.

Pisanie jest dla rozwoju oka i ręki bardzo szkodliwym. Litery są to kształty wcale nie piękne, nie estetyczne. Weźmy np. literę *z*, lub *y*, weźmy jakąś literę i osądźmy jej kształt ze stanowiska artystycznego, a zgodzimy się, że to są kształty koślawe, krzywe, nie ładne. Oko, które innych kształtów nie zna, nie rozróżni linii pięknej od nie pięknej, nie wykształci sobie smaku, przeciwnie przyzwyczaja się do linii nie pięknych. Rzemieślnik, który się prócz czytania i pisania niczego więcej nie nauczył, smaku dobrego mieć nie może. W tém to leży przyczyna, dlaczego przemysł niemiecki nie jest artystyczny.

Czytanie dzieła podobnie. Wszakże wiemy, że fundamentem umysłu naszego są wrażenia i spostrzeżenia; z nich tworzą się wyobra-

zenia, następnie zaś pojęcia. Jakie wrażenia przedstawia działwie nauka czytania? Wrażenie krzywych, koślawych liter, widoki szeregów utworzonych wyrazów i zdań, kolumn z czernidła drukarskiego. Takie to wrażenia szkoła dzisiejsza przedstawia działwie szkolnej. Gdybyśmy mogli zajrzeć do umysłu dzisiejszej młodzieży, nie znaleźlibyśmy w nim obrazów z natury i życia, tylko całe kolumny odcisków czcionek drukarskich. Już w obec żywego słowa czytanie jest nieudolną formą nauczania. Czytanie jest tylko surrogatem żywej nauki, ale skutecznie użytém być może tylko przez umysł dojrzalszy.

Czytanie i pisanie do zajęć przemysłowych żadnego nie daje przygotowania. Mamy np. dwu rzemieślników: jeden z nich biegle czyta i pisze, ale nie rysuje; drugi biegle rysuje, ale nie czyta i nie pisze: który z nich będzie lepszym rzemieślnikiem? Pierwszy mędrkowskim partaczem, socjalistą; drugi będzie dzielnym rękodzielnikiem, nawet może skromnym artystą w swoim zawodzie.

Mógłby kto powiedzieć, że pierwszy będzie lepszym człowiekiem, drugi lepszym rzemieślnikiem; ale temu zaprzeczam: czytanie i pisanie człowieczeństwa w ludziach prostych nie budzi, tylko napełnia ich fałszywą dumą i zarozumiałością; czytanie charakteru nie kształci. Mieliśmy wieki całe, wieki pełne wielkich czynów, dzieł, charakterów, w których ani artyści, ani królowie czytać nie umieli. Mojem zdaniem drugi będzie nie tylko lepszym rzemieślnikiem, ale przez to samo lepszym obywatelem i człowiekiem. Każde bowiem rzemiosło ma swoje prawidła, swoją logikę, swój artyzm, swoje sekreta, sięgające w tajemnice przyrody, w tajemnice materiału surowego, a kto te zbadał i zrozumiał dobrze, w tym zbudziła się cząstka człowieczeństwa, tego człowieczeństwa, którego przeznaczeniem zapanować nad przyrodą.

Dlatego stawiam zasadę, że nie czytanie i pisanie powinno być najważniejszym objektem w szkole, ale nauka rysunków, i to od najniższej klasy począwszy, od szóstego roku życia.

Za pomocą téj sztuki uczeń odkryje mnóstwo prawd, mnóstwo linii pięknych w przyrodzie i rzemiosle, do których przy pomocy pisania nigdy nie dojdzie.

Za pomocą rysunków rzemieślnicy pracę swoją bardzo wydoskonalą, postawią ją na stopniu artystycznym, przemysł krajowy się wzmoże i nie tylko wytrzyma współzawodnictwo z przemysłem zagranicznym, ale zwyciężyć go może.

Mamy więc pisanie zastąpione czémś pożyteczniejszém. Poszukajmy teraz czegoś lepszego na miejsce czytania. Rysunek daje znajomość kształtów przyrody i wyrobów przemysłowych, należy teraz pomyśleć o tém, aby treść, istotę przyrody i materiał przemysłu poznać.

Czy da się to osiągnąć za pomocą czytania? Dzisiejsze czytanie napełnia głowy uczniów czczemi wyrazami, uszy głuchemi dźwiękami. *Z wyrazów nie zrodzą się wyobrażenia, pojęcia i myśli, bo one tworzą się tylko przez oglądanie rzeczy za pomocą zmysłów.* Na nic się przyda wiejskiemu uczniowi opisywanie kamienicy, jeżeli on jęj nigdy

nie widział; na nic się przyda opisywanie gór, jeżeli ze stepów nigdy nie wyszedł. Najdokładniejszy opis nie zrodzi pojęcia. Stosuje się to nie tylko do niższych stopni nauki, ale nawet do najwyższych. Tyśiące czytało w Pamiętnikach Juliusza Cezara dokładny opis ubioru i uzbrojenia rzymskiego żołnierza, dokładny opis jego machin wojennych; lecz kto z nas ma o nich wyobrażenie? Chyba ten, kto widział modele tych rzeczy zebrane w muzeum w Compiègne. Dla osób dojrzałych rysunek wielką jest pomocą, chociaż ten robi niejasne pojęcie. Osoby wykształcone zdołają utworzyć sobie wyobrażenie w rzeczy nowej przez analogią, porównanie ze znanymi już rzeczami; ale działość szkolna nie włada narzędziem analogii: ona wszystko widzieć musi o czem ma powziąć wyobrażenie.

Dlatego nie czytamy ale oglądamy. Zamiast książką psuć oczy i suszyć umysł działy, przedstawmy jej okazy, zbiory, a choćby tylko obrazy. Dlatego w każdej szkole zbiór mineralogiczny, zoologiczny, technologiczny, w wyższych szkołach zbiory historyczne (choćby w kopiach i naśladowaniach) i artystyczne znajdować się powinny. Bez takich zbiorów szkoła jest miejscem sroczego gadania, stodołą, gdzie się słoma młóci.

Żywe słowo objaśniające okaz czy to z przyrody, czy z przemysłu, niech zamiast książki pierwsze w szkole zajmie miejsce. Okaz i żywe słowo w jednej godzinie więcej rozwinię umysł chłopięcy, jak gruba książka, nad którą chłopię rok cały w pocie czoła spędziło. Żywe słowo i okazy są jedynym źródłem nauki, począwszy od lat niemowlęctwa, aż do szkoły uniwersyteckiej i wielkiej szkoły życia.

Rysunki, okazy, objaśnione żywem słowem najskuteczniej zaostrzą i wydoskonalą zmysł wzroku, który jest główną furką naszych wiadomości. Ćwiczenie i doskonalenie wzroku i innych zmysłów, jest zaś jednym z głównych celów teoretycznych, do których najlepsza szkoła zdążać powinna. Jakaż bowiem jest główna i najistotniejsza różnica pomiędzy człowiekiem wykształconym a prostakiem? Oto stopień wydoskonalenia zmysłów. Mówię, stopień wydoskonalenia zmysłów, nie zaś ich siły, doniosłości; często bowiem oko biegłe, artystyczne, potrzebuje okularów. Człowiek z największym zasobem wiadomości będzie wszelako człowiekiem surowym, jeżeli nie będzie miał wydoskonalonych zmysłów. Gdzie oko wykształcone dojrzy mnóstwo szczegółów, linii pięknych lub niepięknych w naturze lub sztuce, tam prostak niczego się nie dopatry. Prostak pochwyli uchem tylko najsilniejsze różnice głosu i rytmu, człowiek z słuchem wyćwiczonym zrozumie różnice najdelikatniejsze. Te zaś są dwa najważniejsze zmysły nasze, przez które najwięcej wrażeń gromadzimy. Głównem ćwiczeniem wzroku są rysunki, słuchu zaś muzyka. W każdej przeto szkole początkowej rysunki i śpiew na pierwszym miejscu stać powinny.

Lecz zaczynam wstępować na pole ogólnych zasad pedagogicznych, które jest zbyt obszerne, abym je mógł wciągnąć w zakres niniejszych uwag, mających wyświecić stosunek szkoły ludowej do ekonomii

politycznej. Raz jeszcze tylko krótko powtórzę, że głównym zadaniem nauki, zwłaszcza początkowej, zabierającej kilka lat czasu, powinno być ćwiczenie zmysłów za pomocą śpiewu, rysunków, naprowadzania wyobrażeń za pomocą okazów, rozwijanie pojęć na tej podstawie za pomocą żywego słowa. Temi bowiem sposobami, bez użycia książek i pisanja, więcejbyśmy rozwinęli działalność naszą umysłową, niż się to dzieje obecnie.

Pragnąłbym, aby powyższe zdania zjednały sobie uwagę rozumnych a troskliwych rodziców i myślących nauczycieli.

VI.

Do czego państwo szkołę ludową skierowałyby mogło.

W poprzednim ustępie znajdowały się uwagi, dotyczące się więcej teoretycznego zadania nauki szkolnej. Ćwiczenia zmysłów i rozwijanie pojęć miały być tym zadaniem, które w swjej ogólności dotyczy właściwie wszelkiej nauki na stopniu wyższym i niższym. W tych atoli uwagach postanowiłem sobie wykazać, do czego by najskuteczniej użyć można tak potężnego warsztatu, jakim jest szkoła. Jeżeli zważymy na to, że kościół znajduje się jeden na gmin kilka, a szkoła ludowa w każdej gminie znajdować się może; wtedy uznamy, że szkoła ludowa może być istotnie potężną dźwignią, rozległym warsztatem, którego niestety używają dotąd do wyuczenia sylabizowania.

Rozdzielmy sobie szkoły wiejskie od miasteczkowych, ponieważ pomiędzy wsią a miastem ta jest ważna różnica, że mieszkańcy miast, czyli mieszczanie trudnią się rzemiosłami, wieśniacy uprawą roli. Prawda, że u nas mieszczanie zeszedli prawie na chłopów, ale stało się to częścią skutkiem dowozu towarów zagranicznych, częścią w skutek tego, że żydzi zawładnęli handlem i rzemiosłami. Mieszczanin trudniący się uprawą roli, jest upadłym mieszczaninem; niechże go więc szkoła wydzwignie.

W szkole miasteczkowej nauka rysunków powinna być pierwszą nauką. Obok niej technologia, czyli teoretyczna znajomość rzemiosł podawaną być powinna. Potrzebną jest taka nauka, aby przed przyszłymi rzemieślnikami roztoczyć całe szerokie pole pracy rzemieślniczej, aby im pokazać lepsze narzędzia rzemieślnicze; dlatego w każdej takiej szkole powinien się znajdować zbiorek postępowych narzędzi rzemieślniczych. Nauka technologii ma podawać wiadomości o materiałach rzemieślniczych i sposobach ich przerabiania, a więc o gatunkach drzewa i ich różnych własności, o skórach i ich przerabianiu, o materiałach mularskich i garncarskich, do tego zaś potrzeba zbioru wzorowych okazów. Nauka taka popartą być powinna opowiadaniem żywotów znakomitych rzemieślników, zwłaszcza takich, którzy wynalazek jaki zrobili, jak Bernard Palissy, Arkwright, Dzebbel, Lenoir; potem i takich, którzy dźwignęli się sami na wysoki stopień użyteczności.

ści w społeczeństwie, jak Lakington, Benjamin Franklin i podobni. Do tej nauki bardzo byłyby użyteczne dla nauczycieli przewodniki dla murarzy, cieślów, kowali i t. d., wydane staraniem ks. J. T. L. w Warszawie, i tak wybornie opracowane, że zasługiwałyby na złoty medal za zasługę na polu literatury przemysłowej. Idealne zaś postaci ludzi pracujących przedstawił Samuel Smiles w dziele swém *Pomoc własna*. Jeżeli rzemiosła w kraju podnieść się mają, to potrzebną jest rzeczą, aby młodzieży wiejskiej pokazać i powiedzieć o czémś doskonalszém, niż im praktyka ojców pokazuje, aby im postawić jakieś ideały, bo nawet rzemieślnik bez ideału żyć nie powinien.

Chodźmy teraz do szkółki wiejskiej. Jakież to smutny widok przedstawiają dzieci, żywe i hoże, ślęczące nad abecadłem, które im uporem w głowę idzie, palce niechętnie kreślą koślawe litery. Lecz zacznijmy ustną naukę o gospodarstwie wiejskiém, o uprawie roli i siejbie, o chowie koni, bydła i drobiu, o pracy w sadzie około drzew owocowych, w ogrodzie około warzyw i kwiatów, naukę tę oprzyjmy na praktyce w sadzie i ogrodzie szkolnym, praktyką któraby dążyła do polepszenia dotychczasowych sposobów uprawy ziemi, a dziatwa wtedy z ochotą do nauki brać się będzie.

Wszakże główną we wszystkich państwach europejskich pracą, jest praca około roli. Dochód z roli jest główném źródłem zarobku, obfitość plonów głównym warunkiem pomyślności krajowej. Największa część ogólnej summy podatkowej na dochodzie z roli się opiera. Cóż warta w obec tych warunków życia znajomość sylabizowania? Warta nie wiele, za to znajomość uprawy ziemi i chowu bydła warta bardzo wiele. Dlatego nauka gospodarstwa wiejskiego powinna być główną nauką w szkole wiejskiej. Czyż nie trzeba się dziwić, że rządy w Europie nie użyły tak potężnego środka, jakim jest szkoła wiejska, aby sposób uprawy ziemi podnieść w całym państwie, a przez to podnieść całego państwa dochody, pomnożyć ludność i być jój pomyślniejszym uczynić.

Ludność wiejska powszechnie, nawet i w osławionych Niemczech nie jest chętną tworzeniu szkół wiejskich, dziatwa wiejska niechętnie do szkoły spieszy. Dlaczego? Poprostu dlatego, że mało widzą pożytku z takiej szkoły, która ich tylko sylabizować uczy. Czują oni całą marność tej sztuki w obec obowiązku płacenia podatków i wyżywienia się. Ale dajmy ludowi w szkole naukę, z której bezpośrednio będzie mógł korzystać, a pogodzi się z tą instytucją, uważaną dotąd przez niego za ciężar zbyteczny.

Dlatego powtarzam raz jeszcze: dla szkół wiejskich nauka gospodarstwa wiejskiego, dla szkół miejskich nauka o rzemiosłach, oparta na rysunkach, niech będzie główną nauką. Tak urządzona szkoła wynagrodzi stokrotnie koszta, które gmina i państwo na nie ponoszą, przez opłacanie zaś szkół abecadłowych państwa europejskie lokują ogromne kapitały w sposób nieproduktywny.

Lecz zapytasz mnie czytelniku: czyż więc czytanie i pisanie zupełnie usunąć trzeba? Byłbym największym tego przeciwnikiem. Pozbawić lud nauki czytania i pisania, to znaczy odciąć mu łączność z głównym prądem cywilizacji i czasu. Czytanie i pisanie nawet i w praktycznym życiu wielkie sprawia dogodności. Tylko nie stawiajmy go na pierwszym planie. Zamiast od tego zaczynać naukę, raczej kończmy ją na tém.

Zupełnie inne znaczenie będzie miało czytanie przy nauce gospodarstwa wiejskiego i nauce rzemiosł, niż ma teraz. Stawiając czytanie na pierwszym planie, robimy całe wychowanie przyszłego rolnika i rzemieślnika zwichniętym, kierujemy go bowiem na jakiegoś literata, każemy mu czytać historią, geografią, opisy nosorożców i słońców; później jeżeli nie zapomniał tej sztuki będzie czytał religijne broszury, lub socjalistyczne pisma i stanie się sekciarzem, lub komunistą. Gdy zaś główną nauką będzie rolnictwo, lub rzemiosło, sztuka czytania posłuży mu wtedy do tego, aby później czytał książki rolniczej lub rzemieślniczej treści i doskonalił się w pracy swojej. Wiadomości jego będą skupione około jednego punktu, a to więcej człowiekowi zapewnia energii i spokojności, niż płytka wielostronność. Niewątpliwie, że w latach późniejszych w czasie długich zimowych wieczorów niedzielnych, będzie w kole swojej rodziny czytał i inne pisma, lecz wtedy nie wewnętrzne rozstrojenie, lecz miłą różnorodność mu sprawią.

Jeżeli utrzymuję, że nauka rzemiosł i gospodarstwa wiejskiego naczelnymi powinny być przedmiotami naukowymi w szkołach ludowych, należy to rozumieć tak, że im najwięcej należy poświęcić czasu. Nie wspominam tutaj umyślnie o wszystkich innych naukach, które w szkole powinny znaleźć swoją świątynię, zależało mi bowiem przede wszystkim na tém, aby wykazać całą podrzędność nauki czytania i pisania, która się dzisiaj do tego stopnia rozwieliżyła po szkołach w Europie, że zakrywa nam rzetelny pogląd na zadanie szkoły, tak jak blizki parkan zakrywa częstokroć najpiękniejszą okolicę. Przewaga nauki czytania i pisania po szkołach europejskich skrzywiła zupełnie charakter szkoły i prawdę powiedziawszy, z miejsca ciszy i umysłowej rozkoszy. jaką każda nauka daje i dawać powinna, zrobiła miejsce umysłowego udręczenia. Dzisiejsza szkoła uwzględnia tylko jakieś literackie potrzeby ludu, potrzeby, których lud nie czuje i które istotnie w dalekim dla niego są polu, a nie uwzględnia innych potrzeb, wymagających poparcia. *Z wielu tych innych potrzeb wyjąłem tylko ekonomiczne*, które stokroć w życiu społecznym są ważniejsze, niż literackie. One są ważniejsze, ponieważ są bliższe, ponieważ dotyczą każdą bez wyjątku istotę w społeczeństwie, gdy tymczasem potrzeby literackie ma na sto osób zaledwie jedna. Ekonomiczne potrzeby jest to chleb powszedni, odzienie i mieszkanie; to są podatki i inne ciężary; to jest zabezpieczenie bytu dzieciom i wdowie; to jest obrona od nędzy i głodu. Jeżeli przeciwstawiamy szkołę, uwzględniającą te potrzeby szkole dzisiejszej, która prowadząc do literatury, zatrzymuje

się na abecadle, nie ma wątpliwości, któraby zwyciężyła. Szkoła dzisiejsza narzuconą jest ludowi w całej Europie; szkołę, jaka być powinna, lud sam najtroskliwszą otoczyłby opieką.

Lecz co więcej: kto dziś uwzględni ekonomiczne potrzeby ludu, ten w następnej generacji będzie miał do zaspokojenia potrzeby literackie i artystyczne nie jednej osoby na sto jak dzisiaj, lecz sto na sto.

Zdążam do konkluzji niniejszych szkiców. Staralem się w nich wykazać, że dzisiejsze stosunki ekonomiczne w Europie są anormalne. Skutkiem wynalezenia maszyn parowych i rychłego a umiejętnego ich użycia, przemysł angielski i francuzki przewyższył niesłychanie przemysł innych narodów. Skutkiem połączenia liniami kolei żelaznych wszystkich prawie krain na ziemi z Anglią i Francją, wszystkie nieomal krainy dostały się w jarzmo przemysłu zachodniego, któremu rokrocznie składa haracz ciężki, haracz, który zdejmując ostatnie odzienie z dawnych tkaczy i garbarzy i innych rzemieślników małomiejskich, wschodnie kraje europejskie powoli, ale ustawicznie wycieńcza. Nawet cła ochronne nie są dostatecznym przeciw tej słabości zabezpieczeniem. Jedynym skutecznym środkiem byłoby użycie szkoły więcej w celach ekonomicznych, aniżeli literackich. Należałoby jako główny przedmiot naukowy w szkołach wiejskich postawić naukę gospodarstwa wiejskiego, w szkołach wiejskich rysunki i naukę o rzemiosłach. Wtedyby już po latach dziesięciu poczuł kraj zbawienną działalność szkół takich.

Oto, zdaniem mojem, punkt styczności ekonomii społecznej z pedagogią.

SYNOWIE HETMAŃSCY.

O P O W I A D A N I E H I S T O R Y C Z N E .

PRZEZ

Wł. Chomętowskiego.

(Ciąg dalszy).

XI.

Stary kasztelan chełmski, Stanisław Druszkiewicz, walczył dzielnie i szczęśliwie. Ożyła w nim dawna młodzieńcza siła na widok

nieprzyjaciela. Młodzi towarzysze czerpali w oczach starca zapal i wytrwałość w boju.

Zapisane są w kronikach i pamiętnikach szczegóły napadu Tatarów w r. 1695 i obrony Lwowa przez Jabłonowskiego hetmana w. kor. i Atanazego Miączyńskiego podskarbiego nadwornego, który na rozkaz hetmana przybył w porę z oddziałem wojska, i dał dowody niepospolitego męstwa. Synowie hetmana w. kor. walczyli przy boku ojca, najstarszy z nich notuje w swym dzienniku pamiętną tę chwilę i nazywa najpiękniejszą chwilą swego życia. Znany z poprzedniego opowiadania Jan Kazimierz Wielhorski podkomorzy włodzimirski, ugodzony strzałą w głowę w tej rozprawie, skonał w kilka tygodni na rękach przyjaciół, z wielkim żalem Jana Jabłonowskiego i innych towarzyszy broni.

Bój zacięty i krwawy trwał przez dzień cały aż do późnego wieczora, liczne tatarskie hufce zapędzały się na przedmieście Lwowa, ale dzięki męstwu i przytomności wodzów odparci zostali najeźdźcy i cofnęli się z pośpiechem, korzystając z ciemności nocy. Tak więc minęła groza burzy nad Lwowem i okoliczną ziemią.

W tym czasie rozpoczął się sejm walny w Warszawie, ale zawzięta walka Sapiechów z biskupem Brzostowskim i Krcyszpinem, tamowała swobodę obrad i niweczyła najważniejsze zamiary.

Pomimo usilnych starań króla i królowej, nie mogła nastąpić zgoda między pomienionymi stronami, owszem z dniem prawie każdym nowe kłótnie i krwawe nawet starcia jątrzyły wzajemną nienawiść, której owocem było zerwanie sejmu. Hetman Jabłonowski zajęty obroną Lwowa, nie znajdował się na sejmie, ale pojechał na radę senatu, na której miano postarać się o zgodę biskupa wileńskiego z hetmanem w. lit.; atoli jak na sejmie, tak i na radzie senatu, nie było końca zatargom, to też żadna pożyteczna nie zapadła uchwała.

Kiedy hetman Jabłonowski z najmłodszym synem Stanisławem mieszka przy boku króla w Warszawie, starsi jego synowie Jan i Aleksander pozostali na Rusi, gdzie zatrzymywały ich różne rodzinne sprawy. Jan przejeżdża się od czasu do czasu do dóbr swych, mianowicie do Mościsk, gdzie urządza dom, ogród, dogląda gospodarstwa, rozsądza sprawy mieszczan i chłopów, bawi się polowaniem, rybołówstwem, w dniach zaś świątecznych przyjmuje księży i okoliczną szlachtę, lub przejeżdża się do sąsiednich folwarków z ukochaną żoną, gdzie oglądają stada koni i pasieki. Nadto odbiera częste listy z różnych stron kraju, w sprawach publicznych i rodzinnych, i pisze odpowiedzi; nakoniec nie zaniedbuje też ćwiczeń umysłowych: czyta książki i pisze wierszem żywot Pana Jezusa i historią S. Placyda.

Aleksander Jabłonowski chorąży w. kor. miał w tym czasie jeden tylko cel przed sobą, t. j. usunięcie przeszkód, które zagradzały mu drogę do otrzymania ręki wojewodzianki wołyńskiej.

Równie zakochany był brat cioteczny chorążego Jerzy Dzieduszycki w pannie Modrzejewskiej. Jan Jabłonowski dopomagał obu-

dwom w sprawach miłośnych, ale świeżo zaszyły wypadek pozbawił wszelkiej nadziei Jerzego, panna bowiem dała się wykraść dobrowolnie Aleksandrowi Łaszczowi, a ksiądz połączył stulą ich ręce na wieki. Wiemy, że pani Granowska starościna żytomirska, I-mo voto podskarbina Modrzejowska, nie chciała wydać córki swęj za Łaszczę; ale panna rozkochana w nim szalenie dopięła celu swych życzeń, przy pomocy ojczyrna, który sprzyjał jęj projektom. Wypadek ten miał miejsce w Lublinie, podczas pobytu tamże pani starościny z mężem i z panną podskarbianką. Starosta dopomógł Łaszczowi do wykradzenia panny. Rozżalona matka dowiedziawszy się o spółdziale męża w tęj sprawie, groziła mu za to rozwodem; pomimo zaś najpokorniejszych listów córki i instancyi wielu przyjaciół, nie chciała jęj długo wybaczyć tego samowolnego postępku. Jerzy Dzieduszycki musiał rad nie rad pogodzić się ze swoim losem. Starania Jana Jabłonowskiego względem wyswatańia krewnego z jedną z panien kasztelanek połanieckich nie powiodły się, więc miał mu zaproponować inny, nierównie świetniejszy jeszcze związek, kiedy nagle cios niespodziany dotknął ich całą rodzinę, przez śmierć matki Jerzego, pani wojewodziny podolskiej, Zofii Dzieduszyckiej, rodzonej siostry hetmana Jabłonowskiego.

Tymczasem starościna żytomirska wybrała się w podróż z panną Teofilą Sieniawską do Lwowa, a jako przychylna zawsze rodzinie Jabłonowskich, zawiadomiła listownie braci Jana i Aleksandra o dniu swego przyjazdu. Nie omieszkali młodzi Jabłonowscy korzystać z doniesienia starościny i stawili się w dniu oznaczonym we Lwowie. Chorąży koronny, jak każdy zakochany, marzył tylko o chwili spotkania z panną. Pomimo przeszkód ze strony brata panny, pokładał niepełną nadzieję w jęj przywiązaniu i stałości.

Ale wojewoda wołyński jako starszy wiekiem i doświadczeniem, nie radził bratu jawnie romansować z panną, chciał sam wprzód wybać umysł starościny i dowiedzieć się o intrygach wojewody bełzkiego; w razie zaś nieprzychylnych wiadomości, zalecał zakochanemu, aby się ograniczył na widzeniu z panną w kościele.

Jakkolwiek rozsądne były przedstawienia starszego brata, zakochany młodzieniec nie chciał ani słyszeć o tęp, mówiać, że woli się narazić na największy gniew wojewody bełzkiego, niż wyrzec się sposobności rozmówienia się z panną, w mieszkaniu pani starościny, która tak powolną i łaskawą okazuje się dla całego ich domu.

Starościna żytomirska mieszkała z panną Sieniawską, we Lwowie we własnej kamienicy. Pani Granowska zaprosiwszy braci Jabłonowskich, chciała pokryć te odwiedziny tajemniczą zastoną; od czasu więc przyjazdu do Lwowa nie wychodziła z domu i oczekiwała wraz z panną, w oznaczony godzinie, na przybycie zamówionych gości.

Na drugi dzień po przyjeździe starościny, około godziny 5-tęj po południu, stała już panna wojewodzianka wołyńska pod oknem przypatrząc się niby ustawionym w doniczkach krzewom i kwiatom; w rzeczy zaś samęj przysłuchiwała się pilnie, ażali nie usłyszcy tętentu koni, któ-

ry miał zwiastować przyjazd miłych gości. Starościna siedziała na sofie pomiędzy oknami. Była to już nie młoda osoba, ale kształtnej postaci i wyrazistych rysów twarzy, z żywem okiem, opromienioném rzeźną zadumą i tęsknotą.

Fatalne postanowienie jedynaczki córki wbrew jej życzeniom i woli, żywą dotknęły ją boleścią. Obecność Teofili Sieniawskiej była wielką w jej nieszczęściu pociechą, to też starościna przywiązała się do niej wkrótce jak do własnego dziecka, zajęła się gorąco jej losem i postanowiła skruszyć przeszkody ze strony brata, względem doprowadzenia do skutku upragnionego małżeństwa.

— Pamiętaj Tosiu, że nikt nie powinien wiedzieć o odwiedzinach panów Jabłonowskich, jeżeli nie chcemy wywołać gniewu wielu osób, a nadewszystko JMPana wojewody bełzkiego, który jako twój brat i opiekun, mógłby sprawiedliwie mieć do mnie urazę, że bez jego wiedzy i zezwolenia zaprosiłam pana chorążego. Zresztą nie wątpię, że rozmówisz się z JMPanem chorążym dyskretnie i przywoicie; znam twoją cnotę i uczciwe a skromne zachowanie, pewną więc jestem że będziesz się wystrzegać wszelkiej tajemnej z nim znowy; jeżeli zaś zażąda twego słowa, powiesz mu, ażeby starał się koniecznie przebłągać wojewodę, bez zezwolenia bowiem brata nie oddasz mu nigdy ręki — rzekła poważnie pani Granowska.

— Dziękuję z największą submisją za łaskawą przestrożę WMPani, nie zapomnę nigdy o winnym szacunku dla starszego brata; to też powiem dziś, co już nieraz powtarzałam mu w rozmowie i w listach, ażeby przeprosił JMPana wojewodę i uspokoił te kłótnie, bo jakkolwiek przyrzekłam panu chorążemu, że za nic w świecie nikogo innego nie zostanę żoną...

— Jakto? więc dałaś już słowo chorążemu?

— Przyrzekłam, że innego nie chcę mieć męża, ale też powiedziałam mu wyraźnie, że bez zezwolenia mojego brata nie pójdę z nim do ołtarza.

— Dobrze żeś to dodała, moja Tosiu, wszakże zaprędko przyrzekłaś już chorążemu, że za nic w świecie nikogo innego nie zostaniesz żoną.

— Cóż w tém jest tak złego?—rzekła zarumieniona panna Teofila.

— To jeno złe w tém widzę, że może nie dotrzymasz przyrzeczenia; bo któż ręczyć może za przyszłość i kto wie czy wojewoda bełzki zezwoli na to małżeństwo?

— Jeżeli brat mój nie zezwoli, wtedy i ja nie poślubię nikogo innego; dotrzymam więc przyrzeczenia panu chorążemu.

— Dobrze, ale zastanowiłaś się też nad tém Tosiu, że nie przystoi w panińskim na zawsze pozostać stanie, chyba żebyś chciała profesją obrać zakonną.

— Nie mam żadnej wokacyi do tej profesyi, ale gotowa jestem raczej zamknąć się w klasztorze a nikomu innemu nie oddam mój ręki.

Te wyrazy wymówiła panna Teofila silnym i wzruszonym głosem.

Starościna patrzyła się długo z współczuciem na zakochaną dziewczycę, łzy zakręciły się w jej oczach i zawołała z rozrzewnieniem:

— Miłość i stałość twoja, Tosiu, dla chorążego, rozbraja słuszny gniew mój ku nieposłusznej córce. Przebaczam mojej Elżbiecie szaloną jej z tym niegodziwym Łaszczem imprezę. Choć wyznaję, że wolałabym widzieć ją zamkniętą w murach klasztoru, niż żoną człowieka, którego tak srodze nienawidzę; ale widzę też, że trudna walka jest z miłością, którą ludzie słusznie ślepą i szaloną nazwali!

Skoro ostatnie wyrazy wymówiła starościna, rozległ się tętent koni pod oknami; jakoż wkrótce zatrzymało się dwóch jeźdźców przed gankiem, za nimi zaś nadjechało dwóch pachołków, którzy odebrali konie z rąk panów.

Rozwarły się za chwilę drzwi komnaty i weszli Jan i Aleksander Jabłonowscy.

Po krótkim powitaniu rzekła starościna do Jana:

— Przyznaj MPanie wojewodo, że dawna przyjaźń równie jak wypróbowana cnota, wierną być umie i stała. Przyjechałam umyślnie do Lwowa, ażeby dać dowód niekłamanego sentymentu, z którym oświadczałam się zawsze dla całej waszej rodziny.

— Najuniżeniej dziękujemy WMPani za ten nowy dowód jej łaski, jakoż nie wiem czem potrafię odplacić za tak gruntowną i rzadką przyjaźń.

— Przyjaźń przyjaźnią się płaci. Poprosiłam WMPana na poufną rozmowę, która arcypożądaną jest dla mnie, bo dotyczy się naszych wspólnych interesów.

Kiedy tak oświadczała się z wzajemną przyjaźnią Jan Jabłonowski i pani Granowska, chorąży koronny i panna Sieniawska wymienili słów parę z widocznym zakłopotaniem, w obawie, że mogą ściągnąć uwagę przytomnych osób. Wkrótce pani Granowska wyprowadziła z kłopotu młodą parę, bo wskazała im miejsce na krzesełkach pod oknem, sama zaś siadła na sofie z wojewodą wołyńskim i następującą prowadziła rozmowę:

— Dawno już pragnęłam pomówić z WMPanem, bo wiele zaszło w tym czasie wypadków, które dotyczą się nas wzajemnie, choć z różnego pochodzą źródła. Wiele ciężkich spadło na mnie kłopotów, przeto pragnęłabym zasięgnąć waszej rady.

— Wiem—odrzekł wojewoda wołyński—o srogiem zmartwieniu WMPani i gotów jestem z usługą i radą...

— Wiész już WMPanie wojewodo o fatalnej p. Łaszczu imprezie. Boleję srodze nad losem córki, ale nic już nie zmieni optakanego faktu, z tej więc strony nie potrzebuję żadnej pomocy ani rady.

— Czyż nowe jakie jeszcze spotkało WMPanią nieszczęście?

— Tak jest, nowe wprawdzie ciągle a nieprzewidziane spotykają mnie przygody od czasu mego powtórnego zamęścia.

— Domyślał się, że zaszła jakaś impreza ze strony starosty, męża WMPani; znam go dobrze: gwałtowny umysł jego pochopny jest nieraz do szalonych czynów.

— Widzę, że znasz go dobrze MPanie wojewodo. Nie mogę wprawdzie narzekać na złe serce lub obojętność starosty dla mnie, bo jak przed ślubem tak po ślubie okazuje mi afekt wielki; przecież tak dziwny jest umysł jego, że nie wahał się dopomagać Łaszczowi do tak bolesnej dla mnie akcji...

— Zapewne, że dziwny jest afekt starosty dla WMPani, skoro wziął udział w niecnój i szalonej imprezie, która tak srogiem dotknęła ją zmartwieniem.

— Tak jest, dziwny i niepojęty jest umysł mojego męża; skoro dowiedziałam się że miał udział w tej fatalnej akcji, żądałam natychmiast rozwodu i oświadczyłam mu bez ogródki, że jest złym, niegodziwym mężem, i że pod jednym dachem mieszkać z nim nie będę. Owóż przekonałam się wtedy, że starosta równie jest gwałtowny w swych sentymentach, jak w każdej innej sprawie, bo pobladł jak chusta usłyszawszy me oświadczenie; potem upadł mi do nóg i zaklinał ze łzami, ażebym nie odjeżdżała od niego i przebaczyła tak ciężką winę. Wyznał dalej, że widząc wielką inklinacyą panny ku młodemu staroście, kwoli tej inklinacyi a przyjaźni dla rodziny Łaszczów, dał słowo podchmielony w dobrej kompanii, że nikt inny jeno starosta grabowiecki poślubi JMPannę podskarbiankę Modrzejowską, a zatem musiał mu dopomódz, aby nie doznać wstydu i urągania ze strony przyjaciół.

— Słyszałem o tym szalonym postępku starosty, ale wyznaję, że długo nie chciałem dać wiary; nie sądziłem bowiem, aby więcej ważył błahe z winem wystrzelone słowo, niż godność domu i przyjaźń małżonki. Ale zgadzam się ze zdaniem WMPani, że to nieszczerne *fatum* niczem naprawione już być nie może, zaś rozwód z mężem rozstawiłby tylko więcej tak niefortunną sprawę. Jakież są więc inne kłopoty WMPani, w których rada moja może być dla niej pomocną?

— Podaj mi radę WMPanie wojewodo, jak uwolnić się od przyjaciół i nieproszonych gości, którzy jak istna szarańcza opanowali dom mojego męża?

— Trudno podać skuteczne na to lekarstwo, bo ta plaga domowa powszechną u nas jest plagą.

— Wiedziałam dawno o szumnych bankietach i zjazdach w domu starosty zytomierskiego, zawarowałam więc przed ślubem, że wesele nasze odprawi się pocichu; następnie że nie będzie nigdy spraszać wielu gości, którzy w domu jego ongi przedsejnikowe i tym podobne czynili zjazdy. Przyrzekł mi wszystko starosta i święcie dotrzymywał z początku, jakoż nie chciał przyjąć nieproszonych gości, którzy dowiedziawszy się o naszym ślubie zjechali się do Sośnicy; musiałam nawet instancyonować, aby dla honoru domu, nie czynił im tak wielkiego afrontu.

— Wiem o tém—odrzekł z uśmiechem Jabłonowski—łowczy koronny opowiadał nam o owym zjeździe w Sośnicy.

— Owóz w parę miesięcy po ślubie, zapomniał mąż mój o danėj mi obietnicy. Przyjaciele i sąsiedzi zjeżdżają się jak dawniej tłumnie, ale najgorzej że wyprawiają burdy, knują intrygi i namawiają go do niejednej imprezy, która inaczej nigdy nie przysłaby mu do głowy.

— Zapewne WMPani masz na myśli ową historiją z łowczym o żyda, którego zamknął pan starosta w piwnicy, łowczy zaś odbił go i uprowadził.

— Tak jest, i tym podobne inne historye, które ciągle obijają się o moje uszy i kłóćą pokój naszego domu.

— Jedną tylko mogę WMPani podać radę, jakkolwiek nie ręczę wcale czy JMPan starosta zgodzi się łącno na mą propozycją. Uproś WMPani męża swego, ażeby wyjechał z Sośnicy i zamieszkał we Lwowie lub osiadł w innych dalekich stronach. Inaczej nie wyrzeknie się nigdy czarta i wszelkich pokus jego, boć istny to czart i opętanie, źli przyjaciele i sąsiedzi.

— Sprawiedliwa i dobra rada, ale pewną jestem, że starosta jój nie posłucha, bo najtrudniej mu rozstać się z dawnymi znajomymi, choć Bóże zachowaj każdego od takich przyjaciół...

— Ale jakże stoi ten interes z łowczym męża WMPani: czy różnieni przyjaciele nie myślą o pojednaniu?

— Wielce byłabym rada, gdyby mąż mój zerwał przyjaźń i znajomość z panem łowczym na zawsze, ale znają się oni dobrze i oddawna kłócili się i godzili już nieraz.

— Więc JMPan starosta przebaczy ten gwałt w jego własnym popełniony domu, skoro łowczy uda się w pokorę?

— Żyd za żyda i kwita, zresztą pogodzą się w sądzie...

— Jakto?

— Mój mąż posłał w pogoń za oswobodzonym winowajcą siostrzeńca swego, który nie mogąc go dognać pojmał arendarza łowczego i przyprowadził do Sośnicy; poczem kazał go zamknąć w téjże samej piwnicy, z której niedawno uprowadzono owego żyda. Sąd teraz deliberuje nad tą sprawą, lecz wiem że jakkolwiek dekret wypadnie, mąż mój pogodzi się niedługo z łowczym, bo mówił mi to już nieraz, jako tak wielki ma ku niemu afekt, że żyć bez niego nie może.

— Widzę jako sprawiedliwie mówi pani wojewodzina bełzka, że dziwnie fortuna sprzyja łowczemu; kłóci się ciągle z całym światem, ale nikt dość długo nie chowa urazy i uchodzi mu łącno, co drugiemu poczytanoby za kryminał. Ciekawy jestem jak się skończy ta historia, bo arendarz w wielkich jest łaskach u łowczego.

— Arendarz ręczył za tamtego żyda, którego oswobodzono z aresztu. Mąż mój wścieka się dziś na łowczego, bo oprócz historyi z żydami, ma jeszcze drugą na sercu sprawę; w niej pierwszym instygatorem jest pan łowczy, potem koligaci jego. Oni to bowiem są autorami plotek i potwarzy, i oni pokłócili wojewodę bełzkiego z żoną

jego a córką JMPana marszałka W. Kor. Owoż wielki polityk i uczony JMPan Stanisław Lubomirski zapalił się silnym gniewem za krzywdę wyrządzoną domowi w osobie córki. Ale łowczy lękając się furji i słusznój zemsty tak wielkiego potentata, zwałił całą winę na mego męża, jakoby on był najpierwszym autorem kalumnii i kłótni owéj małżeńskiej. Odtąd marszałek W. Kor. wymierzył najstraszniejsze pociski gniewu przeciwko mojemu mężowi i wyzwiał go na pojedynek.

— Słyszałem o tém wyzwaniu, mówiono mi nawet że marszałek z mężem WMPani zjechali się na umówionym placu, ale za instancją przyjaciół nie przyszło do walki i nastąpiła zgoda.

— Zgoda nie nastąpiła jeszcze, ale na instancją przyjaciół odłożono pojedynek; tymczasem układają się i godzą przez mediatorów. Ztąd częste zjazdy panów Lubomirskich, Potockich i innych koligatów marszałka i pana łowczego w naszym domu, słowem prawdziwa wieża Babel jest teraz w Sośnicy.

— Wielce wdzięczny jestem WMPani za tę relacją, choć nie cieszą mię wcale te zjazdy, bo pewnie jestem że panowie koligaci nie ukrywają ku nam swego rankoru i szarpią honor naszego domu.

— Sprawiedliwy jest WMPana domysł, chciałam sama nawet ostrzedz o tém, jako koligaci wielką ku wam pałają inwidyą, mianowicie podskarbi koronny i starosta halicki.

— Wiem że Hieronim Lubomirski i Józef Potocki są najpryncypalnie nasi nieprzyjaciele, pierwszy instancjonuje do wojewody bełzkiego za panem starostą olsztyńskim o pannę wojewodziankę wołyńską, od której chce odsadzić brata mego, chorążego, drugi nie może dotąd zapomnieć sprawy o Wołoczynie.

— Tak jest, widzę WMPanie, że znasz dobrze animusz i zawziętość waszych nieprzyjaciół, to tylko dodam jeszcze, że mąż mój napróżno traktował o zgodę waszą z wojewodą bełzkim oraz z wojewodą krakowskim. Przeszkadzają koligaci do zgody, zresztą mąż mój nie ma już konfidencyi tych panów. Wiadomo też jest że wojewodzina bełzka, tak życzliwa dla całego waszego domu, dziś prześladowana przez męża, nie wiele może dopomódz. Życzyłabym udać się WMPanom pod protekcją JMPani Kątskiej wojewodziny kijowskiej, która jako zaprzyjaźniona z temi domami, wielką może wam oddać usługę.

— Prawda! zapomniałem w moim frasunku o wojewodzinie kijowskiej. Dziękuję WMPani za przypomnienie, ta zacna i rozumna pani wielce jest poważana przez wojewodę bełzkiego i nikt nad nią skutecznie nie może działać w téj sprawie.

Kiedy tak poufną toczy rozmowę Jan Jabłonowski z panią Granowską starościaną żytomirską o kilkanaście kroków od sofy, na dwóch taboretach pod oknem siedzieli młodzi zakochani. Rozmowa ich z początku była wielce nieśmiała i urywana, ale na wspomnienie doznanych przeszkód uniósł się zapałem chorąży i tak mówił do panny:

— Wyznaję WMPannie, że frasuje mnie srodze ten zły humor i dziwna fantazyja JMPana wojewody bełzkiego, który tak wielką ku

mnie i bratu mojemu okazuje inwidyą. Wiem, że pobudzają go do gniewu jawni i skryci nieprzyjaciele nasi. Ale wierzaj mi WMPanno, że fraszka są dla mnie przeszkody, które z obcej, nie z twojej pochodzą winy. Submituję się, że jestem i będę twoim wiernym i dożywo-tnim sługą, jeżeli z równą uprzejmością przyjmować będziesz me życzyliwe chęci i nie pogardzisz nadal mym afektem.

— Zdaje mi się, że dowiodłam już nieraz WMPanu jako umiem być należycie wdzięczną za jego afekt ku mnie i wypróbowaną stałość?

Słowa te wypowiedziała panna Teofila silnym i wzruszonym głosem, twarz jej smutna i blada lekkim pokryła się rumieńcem, po chwili zaś milczenia dodała:

— Wiem że wkrótce czekają mnie wymówki a może nawet pogroźki pana brata, który różne układa dla mnie projekta.

— Słyszałem o tych niegodziwych projektach!—zawołał z oburzeniem chorąży, poczem dodał— JMPan Hieronim Lubomirski prosił już pono o rękę WMPanny dla jednego z swych krewnych?

— Tak jest, pan podskarbi koronny instancyjonuje za starostą olsztyńskim do mnie i do mego brata, do którego wkrótce mają wysłać swatów...

— Mają już wysłać swatów!—z goryczą i niespokojnością powtórzył chorąży, poczem zapytał żywo:

— Powiedz mi WMPanno kogo panowie Lubomirscy mają wyprawić w tém poselstwie?

— Nie wiem i nie pytałam się nawet o to, bo nienawidzę i nie chcę znać tych niefortunnych swatów:—odpowiedziała stanowczo wojewodzianka wołyńska i z dumą podniosła głowę.

Chorąży spojrział z uwielbieniem na pannę. Kiedy zaś brat jego zabierał się do odejścia i zegnał już panią Granowską, on przysunął się do panny i rzekł półgłosem:

— Powiedz mi WMFanno na Boga! skoro przyjadą ci ichmoście, jaką im dasz odpowiedź?

— Dowiesz się wkrótce o wszystkiem panie chorąży, teraz nic nad to powiedzieć nie mogę, co już z ust moich usłyszałeś przed chwilą.

— Co za *misterium* jest w tém na Boga! ulituj się nademną WMPanno i nie dręcz mię twém milczeniem tak srodze.

— Zdaje mi się że dość powiedziałam WMPanu, jako nie powinienś powątpiewać że umiem być wdzięczną za jego afekt i stałość. Nie wiem jeszcze co odpowiem tym swatom, ale to wiem, że ani staroście olsztyńskiemu ani żadnemu z tych panów nie oddam nigdy méj ręki!

Ostatnie wyrazy wymówiła panna Teofila znaczącym i silnym głosem.

Chorąży opromieniony weselem patrzył się w zachwycie na twarz wojewodzianki, zapomniał o przytomności innych w komnacie osób

i rzuciłby się może do stóp swój bogdanki, gdyby nie brat starszy, który wziął go za rękę i powiedział, że czas już nadszedł pożegnania.

XII.

Wież Sośnica dziedziczna pani Grauowskiej, 1-mo voto podskarby Modrzejowskiej leżała w pięknej okolicy w pobliżu rzeki Sanu. W epoce tego opowiadania, w końcu XVII wieku, wznosił się obronny starożytny zamek; jednakże nie mieszkał w nim starosta z żoną, lecz w świeżo wybudowanym i wytwornym pałacu, który z jednej strony otoczony był obszernym dziedzińcem, z drugiej zaś dotykał pięknego, starannie utrzymanego ogrodu. Dziedziniec okolony był wałem i drewnianym parkanem, w środku którego była brama. Pałac był zbudowany w kwadrat, dolne pokoje zajęła służba dworska, okna w nich małe i okratowane; na piętrze były pańskie komnaty; z największym przepychem urządzone był salon z marmurową posadzką, z adamaszkowym obiciem, z bogatymi lustrami i innymi sprzętami. Na ścianach jadalnego pokoju były porozwieszane portrety familijne; malowanie na suficie wyobrażało walkę bogów Olimpu z olbrzymami. Zbrojownia umieszczona była w rogu pałacu; pomiędzy salonem a zbrojownią był pokój, w którym przyjmował starosta najserdeczniejszych przyjaciół.

Komnata ta była widocznie przeznaczona dla szczupłej liczby gości do poufnej gawędki, bo prócz czterech krzeseł i jednego okrągłego stołu, żadne inne nie zdobyły ją sprzęty; malowanie na suficie przedstawiało wilczycę karmiącą założycieli Rzymu; na ścianach porozwieszane były karabele, rogi i inne myśliwskie przybory.

W opisaną dopiero komnacie, w kilka tygodni po bytności pani Granowskiej we Lwowie, siedział starosta żytomierski w towarzystwie znanego nam Stefana starosty czerkaskiego, który przyjechał doń w celu pogodzenia go ze Stefanem Potockim łowczym koronnym. Sprawa starosty żytomirskiego z łowczym miała być wkrótce roztrząsana w sądzie. Głęboko uczuł starosta krzywdę wyrządzoną mu przez starego przyjaciela, pomimo to żałował serdecznie zażyłego stosunku z łowczym, tęsknił za jego towarzystwem, zatem gotów był do przyjęcia projektu pogodzenia, żądał tylko, aby strona przeciwna uczyniła pierwszy krok w tej mierze. Ale starosta czerkaski proponował punkta ugody, nie mając żadnego piśmiennego dowodu, jako łowczy wybrał go za medytora; więc pan Granowski postępował z nim wielce ostrożnie i oświadczył wyraźnie, że nie przystaje na żadne przedugodne punkta, dopóki nie stanie sam pan łowczy kor. lub nieda piśmienną plenipotencyi do ugody.

Tymczasem dolewał gospodarz wina gościowi, który coraz stawał się wymowniejszym i czulszym; nakoniec wypiwszy potężny kielich duszkiem uchwycił oburącz w pól Granowskiego i zawołał:

— Niech zginę, mości starosto, a nie pozwolę nigdy na to, aby dobrzy moi przyjaciele pozywali się i pieniali w sądach. Pojadę jutro

ze świtem do Lwowa i powiem łowczemu, aby skasował pozwy i zakończył tę kłótnię. Powiedz tylko słowo starosto, że zgodzisz się na medycyną dobrych i życzliwych sąsiadów?

— Mówiłem już, że zgodzę się chętnie, ale żądam pierwój deklaracji pana łowczego, jako skasuje swój pozew i przystaje na układy ze mną. Nie ja pierwszy wszcząłem burdę i nie mieszałem się nigdy do akcji pana łowczego, owszem przypląciłem w jego jadowitej mowie a raczej obmowie, za co jednak nie obrażałem się długo, przypisując to płochości jego lub zagrzanęj w kompanii głowie. Ale dziś pan łowczy dopiekl mi do żywego i nie byłbym Granowskim ani szlachcicem, gdybym zniósł pokornie krzywdę mego imienia i honoru, lub pierwszy starał się o zgodę i przyjaźń.

— Aprobuję sentencyą WMPana i podziwiam pełne wysokiego animuszu słowa. Wyznaję, że pan łowczy, choć dobry przyjaciel, zawinił srodze w tej sprawie, najgorzej zaś że ujmuje się za żydami, ze wzgardą krwi szlacheckiej, ob staje za niedowiarkami i prześladowcami Chrystusowego imienia!

— Tak jest, JMPan łowczy koronny: 1^o oswobodził żyda, którego jako niepoprawnego oszusta zamknąłem w areszcie; 2^o skoro siostrzeniec mój JMPan Skurzewski chorąży rajtarski puścił się z mego rozkazu w pogoń, a nie mogąc dognać pryncypalnego winowajcy, pojmał poręczyciela jego alias drugiego żyda i przywiódł dla uczynienia satysfakcyi, łowczy pomścił się za to na tymże moim siostrzeńcu, który siedzi dotąd pewnie zamknięty w areszcie, bo nie wraca ze Lwowa i żadnej o sobie nie daje wieści..

— Słyszałem też i ja o faworze JMPana sędziogo na stronę łowczego, ale ureczam mości starosto słowem szlachcica i przyjaciela, że przywiode go do zgody, bylebyś WMPan jako stary i życzliwy przyjaciel nie kładł zbyt trudnych warunków..

Kiedy tak rozmawiał starosta czerkaski z Granowskim, rozwarły się drzwi komnaty i ukazał się blady, wysoki mężczyzna, z podwiązaną twarzą, w okurczonym i podartym kontuszu, jak gdyby wracał z dalekiej nużącej podróży lub z wojennej wyprawy.

— Chorąży, mój siostrzeniec? — zawołał Granowski, mierząc od stóp do głów przybysza; poczem dodał:

— Co znaczy twarz podwiązana, mości chorąży, i rozdarte wyloty?

— To znaczy, miłościwy wuju i dobrodzieju, że miałem walną przeprawę we Lwowie z łowczym koronnym i jego ludźmi, którzy obskoczyli mię i atakowali jak łowcy dzikiego zwierza w kniei.

— Nowa sprawka pana łowczego! Słyszysz starosto, jak przyjaciel WMPana stara się o przyjaźń i zgodę?

Starosta czerkaski westchnął ciężko, wypróżnił do dna stojący obok kielich z winem, spuścił smutnie oczy i czekał w milczeniu na rozwiązanie dramatu.

— Opowiedz nam waszmość, czego tak długo siedziałeś we Lwowie i co dało powód łowczemu do tój nowój imprezy?—rzekł gospodarz domu zwracając się do Skurzewskiego.

— Siedziałem poniewolnie trzy dni we Lwowie, miłościwy wuju dobrodzieju, jakoż za instygowaniem łowczego zamknięty zostałem w areszcie, a Bóg wie jak posiedziałbym długo, gdyby nie doniesiono o tём JMPanu hetmanowi W. Kor., który natychmiast wypuścić mię rozkazał. Otóż pan łowczy zasadił się na mnie z ludźmi i nastawał widocznie na moje życie, bo skoro pokazałem się na ulicy, obsaczony zostałem przez zgraję tęgich chłopów, których było co najmniej dwudziestu. Nie miałem innego oręża prócz szpady, którą jednak w okrutnej alteracyi opędzałem się w prawo i w lewo, a to tak jawne *periculum* dodało mi zrzętności i siły, bo płačiau ich dzielnie: tego w brzuch, owego w twarz, trzeciego po uchu; dość że jak naznaczyłem kilku zapalczywszych z kupy, reszta rozbiegła się na wszystkie strony. Owóż unikłem szczęśliwie prawie jawnej śmierci: prócz jednej tylko szramy na twarzy i rozdartego kontusza, żadnej innej nie poniosłem krzywdy.

— Takie to są bohaterskie akcye łowczego!—zawołał Granowski spojrzawszy się na starostę czerkaskiego, poczem rzekł z oburzeniem i szyderstwem:—Wyraźnie drwi ze mnie i nietylko że zapomniał o dawnej przyjaźni, ale owszem do najszaleńszój wyzywa mię imprezy. Powiedz waszmość łowczemu, że nie lękam się jego pozwów, a jeźli tak wielkim pała afektem dla swego żyda, że gotów jest pieniać się i bić o niego, nie radzę mu aby napastował moich krewnych i przyjaciół, bo jak jestem Jan Prokop Granowski, nie ścierpię więcej żadnej obrazy i za lada okazyją, urwę łeb jego żydowi!

Wymawiając ostatnie wyrazy przechadzał się starosta żytomierski szybkimi po komnacie krokami, przyczem gwałtownie prawą wywijął ręką, kiedy pan starosta czerkaski siedział spokojnie ze zwieszoną głową na krześle, jakby namyślał się nad przykrą rolą pośrednictwa, której podjął się tak niewczesnie.

Skurzewski chorąży rajtarski wyjął tymczasem list z kieszeni i oddał wujowi mówiąc:

— Spotkałem w drodze JW. wojewodę betzkiego, który dowiedziawszy się że jadę do Sośnicy, polecił mi oddać to pismo do rąk Jegomości dobrodzieja.

— List JMPana Sieniawskiego... ciekawy jestem w jakiej pisany matery?.. Miał niedawno zamiar wojewoda w powrocie ze Lwowa zajechać do Sośnicy... czy nic nie mówił o tym projekcie?..—pytał starosta siostrzeńca rozłamując pieczęć listu.

— Wojewoda mówił bardzo mało, bo jeno usłyszałem te słowa: oddasz waszmość ten list staroście żytomierskiemu, poczem kazał zaciąć konie woźnicy; poznałem zaś z twarzy i po głosie, jako srodze był rozgniewany.

Granowski zasiadł w krześle przy stoliku i czytał głośno:

Wielmożny mości starosto żytomierski!

„Wracam ze Lwowa do Oleszyc, i nie zajadę już do Sośnicy, bo poleciłem JMPani siostrze łowczyńie koronnój, aby wyręczyła mię i zabrała JMPannę Teofilę z waszego domu. Dowiedziałem się we Lwowie od pana łowczego koronnego o wielkim afroncie, jakiego doznałem ze strony żony waszmości, która przywłaszczywszy sobie macierzyńską władzę i opiekę nad panną, siostrą moją, dopomaga do jej amorów z chorążym koronnym. Wyznaję, że zadziwiła mnie niemato ta nieprzyzwoita panny siostry akcyja, niepraktykowana dotąd w naszym domu; jakoż domyślam się nie bez przyczyny, że jejmość pani starościna ośmieliła ją do tak harděj rezolucyi. Wielki ztąd na mnie spłynął dyshonor, że zaufałem ślepo pochlebnym słowem WMPana i gwoli starěj przyjaźni pozostawiłem pannę w jego domu, przekonałem się bowiem dokumentnie, żeś nie mój ale JMPanów Jabłonowskich najosobliwszy przyjaciel. Jako więc przyjacielowi chorążego donieść muszę WMPanu, że napróżno ten kawaler okazuje tak wielki afekt dla panny, a i brat jego wojewoda wołyński rozpala w nim tę fantazyją i chce mi przyrodzoną wydrzeć *auctoritatem*: na nic nie przydadzą się im te schadzki i znowy. Nie jestem tak głupi lub niedołęzny, abym nie zdołał pokazać, że'm jedynym opiekunem i bratem; fortuna i postanowienie siostry w mojem są ręku, nikt więc prócz mnie samego nie może dysponować jěj losem.“

Przeczytawszy ostatnie słowa listu, gwałtownym wybuchnął starosta gniewem:

— Zawsze i wszędzie intryguje łowczy i on musi być pryncypalnym delatorem w każdėj sprawie. Onto chciał mię poróżnić z panami Jabłonowskimi, wyciągnął mię na słowa, nazywając się przyjacielem w poufněj rozmowie i korespondencyi, a potem wszystko powtarzał przed nimi lub rozgłaszał przed światem. Dziś widząc przyjaźń moją z Jabłonowskimi, pokłócił mię z wojewodą bełzkim i największą ku mnie zapalił w nim inwidyą.

Tak jest mości starosto, łowczy koronny jest przeniewiercą. A kto śmie jeszcze mówić mi o ugodzie z nim lub o przyjaźni, nie jest szczerzy, lecz fałszywy przyjaciel, albo raczěj *proditor* i *infamis*.

To powiedziawszy skinął starosta żytomierski na siostrzeńca i wyszedł z nim z komnaty, pozostawiwszy struchlałego starostę czerkaskiego. Długo gość nie mógł wyjść z osłupienia przerażony nagłą zmianą w humorze gospodarza, który dotąd traktował go zawsze jak najlepszego przyjaciela. Pomimo że miał głowę dobrze zabatamuconą winem, zrozumiał z ostatnich wyrazów Jana Granowskiego, że tenże pokwitował go już z przyjaźni i że nie ma po co dłużej gościć w jego domu, jakoż chwycił za czapkę i przemknął się na podwórze, poczem kazał zajechać woźnicy.

Tymczasem Jan Granowski oznajmił wieść nie wesołą żonie i pannie Teofili o złowrogim liście wojewody bełzkiego. Wiadomość

ta zasmuciła starościnę, ale najbardziej dotknęła serce panny, widząc znow świeżą wzniesioną przegrodę między nią i życzeń jęj celem.

XIII.

Adam Sieniawski mieszkał od pewnego czasu w nowęj swęj rezydencji w Oleszycach. Na dworze jego ważne zaszły odmiany. Jak wiemy z poprzedzającego opowiadania, poróżnił się z żoną, która pędziła życie samotne w domu jak w klasztorze, zwłaszcza odkąd wywiózł wojewoda z Oleszyc siostrę pannę Teofilę i umieścił pod opieką pani Granowskiej. Z początku spodziewała się wojewodzina, że zmiękczy gniew męza i przekona go o niesłuszności czynionych jęj zarzutów; więc znosiła cierpliwie, oczekując sposobnej chwili, kiedy będzie mogła usprawiedliwić się w oczach męza. Ale nie urzeczywistniła się długo jęj nadzieja.

Wojewoda częste bardzo czynił wycieczki z Oleszyc, za każdą zaś, skoro powracał do domu, stawał się coraz więcej podejrzliwym i gwałtownym; nie szczędził napomnień i wyrzutów żonie, w końcu wyznaczył jęj oddzielne w zamku komnaty i jedną tylko służebnicę, przy czém zakazał jak najsurowięj sługom i dworzanom, ażeby się nie wazyli słuchać jęj zleceń. Gwałtowne postępowanie wojewody przywiodło do rozpaczę żonę; napisała list do ojca z prośbą ażeby przysłał po nią i zabrał ją z Oleszyc. W odpowiedzi na to, Stanisław Lubomirski marszałek wielki koronny napisał z wyrzutami do wojewody, jako niesprawiedliwem wiedziony podejściem, nastaje na honor jego córki i traktuje ją niegodnie; jednocześnie przysłał po nią powóz i zabrał ją do swego domu. Skoro więc wrócił Adam Sieniawski z ostatniej podróży do Lwowa nie zastał już żony, ale odebrał dwa listy: jeden własnoręczny pani Sieniawskiej, drugi od Stanisława Lubomirskiego. To postanowienie małżonki, ale nadewszystko list jęj ojca z wielką pisany godnością, mocno poruszył wojewodę i począł wkrótce żałować surowego postępkę z małżonką. Jednocześnie druga ciężka dotknęła go boleść, z powodu wiadomych nam stosunków panny Teofili z Aleksandrem Jabłonowskim. Wiadomość o widzeniu się chorążego z panną we Lwowie bez jego zezwolenia, obraziła dumę brata i opiekuna, jedynego męzkiego reprezentanta rodu Sieniawskich. Tak żywo uczuł wojewoda to znieważenie jego rodzinnej powagi i władzy, że zapomniał wkrótce o urazie względem żony, pod wpływem nowego i gwałtownego wzruszenia.

W kilka tygodni po wyjeździe wojewodziny z Oleszyc, na kilka zaś dni przed powrotem z Sońnicy panny Teofili Sieniawskiej, przybył w gościnę do Oleszycznego zamku Hieronim Lubomirski podskarbi, stryj wojewodziny, z propozycją pośrednictwa pomiędzy męzem i żoną a zarazem z projektem ożnienia krewnego swego z panną. Projekt ów dawno już był ułożony w rodzinie Lubomirskich, wiedział też o nim Adam Sieniawski, ale po raz pierwszy dopiero nastąpiło uroczyste

oświadczenie; jakoż podskarbi przybył do Oleszyc w towarzystwie dwóch krewnych i z liczną kalwakatą dworzan.

Wojewoda bełzki przyjął uprzejmie pośrednika i swatów, po krótkiej dyspacie przystał na proponowane przez podskarbiego punkta ugody i obiecał że napisze list do żony z prośbą, ażeby wróciła do domu. Zgadzał się też chętnie na propozycją ożenienia starosty olsztyńskiego z panną Teofila, jako też przyrzekł, że użyje wszelkich starań w celu przejednania panny. Położył jednak wojewoda warunek, ażeby nie był nagłony względem przyspieszenia terminu ślubu, albowiem musi piérwój ukończyć interes posagu z łowczym koronnym, który przed upływem roku domaga się już wypłaty zapisanej w intercyzie summy. Dodał też nawiasem, że piérwszy szwagier nad wszelkie spodziewanie odmienił się względem niego po ślubie, że zatém musi poznać dobrze nowego konkurenta do ręki młodziej siostry, zaum ostatecznym zwiąże się słowem.

Tak więc po wymianie zwyczajnych komplementów i po sutym bankiecie pożegnał podskarbi koronny wojewodę i odjechał z przekonaniem, że dwie rodzinne sprawy ułożył w dniu jednym, to jest pogodził pogniwane małżeństwo i wyswatał starostę olsztyńskiego z wojewodzianką wołyńską. Tymczasem nadjechała panna Teofila w towarzystwie siostry swojej Anny Potockiej do Oleszyc. Nie będziemy opisywać smutnego powitania brata z siostrą. Wojewoda przyjął pannę z obliczem surowego sędziego, nie szczędził wyrzutów ani pogroźek, na drugi zaś dzień po jój przyjeździe przygotował się do oracyi w zamiarze wybicia z głowy panny dawnych amatorów z chorążym koronnym i nakłonienia jój do prośby panów Lubomirskich.

Wojewoda chciał sam na sam pomówić z panną, wybrał więc chwilę wieczorną; kiedy zazwyczaj udawała się starsza siostra na modlitwę, wezwał do gabinetu swego pannę Teofilę i zamknął drzwi z obawy ażeby nikt nie przeszkadzał ich roznowie. Jednakże siostra ujrzawszy się sam na sam z bratem, domyśliła się że czekają ją wyrzuty lub jakie groźne zlecenia; piérwszy to bowiem raz w życiu wezwał ją do swego pokoju z uroczystym i tajemniczym na twarzy wyrazem, z którego wcale niepomyślną wyczytała wróżbę. Komnata w której zazwyczaj pracował wojewoda była umeblowana skromnie, bo prócz biurka do pisania i kilku krzesel nie było żadnych innych sprzętów; na ścianach porozwieszane były portrety rodzinne Sieniawskich. Wojewoda oparł się jedną ręką na krawędzi biurka, na którym stała woskowa świeca, drugą wskazał miejsce siostrze na krześle.

Skoro usiadła drżąca i blada panna Teofila, wojewoda tak rozpoczął oracyą:

— Mówiłem ci już WMPanno jak wielki wyrządził mi JMPan chorąży afront. Powtarzam raz jeszcze, że nie chcę tego małżeństwa z dwóch mianowicie racy: piérwsza, że młodzi panowie Jabłonowscy nietylko nie okazują winnego mi szacunku jako opiekunowi i bratu osoby, o której rękę dobijają się z takim ferworem, ale przeciwnie szar-

pią mój honor i kłócają spokój domu; powtóre, że chorąży jest impertynent, skoro bez mojej wiedzy i zezwolenia waży się potajemnie traktować z WMPanną. Proszę więc wybić sobie te amory z głowy a zachować się odtąd skromnie i przyzwoicie, jakto twemu zacnemu i wysokiemu urodzeniu przystoi. Pamiętaj na świątobliwe dawnych naszych matron przykłady, które nietylko nie znały pokątnych a płochych dyskursów i szeptów, lecz sławiły się panięńską skromnością i przystojnym zachowaniem. Masz WMPanno siostrzo z łaski Boga wszystko, co jest przedniejszym ornamentem płci twojej, bo gładką urodę, wysokie urodzenie i zacne wychowanie; postaraj-że się dowieść, żeś godną jest tak osobliwych darów, skromnością i posłuszeństwem woli starszego brata, którego ci Pan Bóg zlecił na opiekuna.

Tu zatrzymał się wojewoda na chwilę, jakby się namyślał nad treścią dalszej przemowy; poczem podniesionym głosem kończył rzecz swą temi słowy:

— Jeżeli chcesz okazać afekt i powinne posłuszeństwo bratu, zapomnij o nieprzystojnych korespondencyach i rozmowach; zapomnij o chorążym koronnym a weź za męża zacnej kondycyi, wysokiego urodzenia kawalera, który zgłasza się do mnie przyzwoicie przez swatów: jest nim zaś mój koligat i dobry przyjaciel, JMPan starosta olsztyński...

To powiedziawszy, zatopił wojewoda wzrok badawczy w obliczu siostry. Nastąpiła chwila milczenia, bo biędna panna Teofila nie mogła wymówić słowa, pod wpływem wielkiego rozczulenia; twarz jej bładła i rumieniła się naprzemiennie, a duże czarne oczy zabiegły łzami.

Wojewoda zauważył wzruszenie siostry, więc przemówił łagodniejszym głosem:

— Czy zgadzasz się Tosiu na mą propozycyą i wysłuchasz prośby koligatów mych JMPanów Lubomirskich?

— Nigdy, panie bracie!—wyjąknęła panna Teofila.

— Jakto, nigdy?

— Tak jest: nigdy JMPana starosty olsztyńskiego nie zostanę żoną.....

— Czemu? zkąd tak wielką ku JMPanu starościu zapaliłaś się inwidyą? Rozważ dobrze WMPanno siostrzo, że propozycya naszych koligatów JMPanów Lubomirskich nie jest do pogardzenia.

— Estymuję wielce panów Lubomirskich, ale WMPanie bracie nie mogę zostać JMPana starosty żoną.

— Nie możesz WMPanno? Nie rozumiem téj tak hardéj rezolucyi. Nie możesz, bo nie chcesz i gardzisz ich propozycyą i moją radą.

— Nie mogę, WMPanie bracie!

— Wiém już!—zawołał z gniewem wojewoda i dodał po chwili: —Wiém czemu nie możesz, bo szalejesz za chorążym, który oczarował cię i popchnął do téj rezolucyi. Tak jest, widzę w tém wszystkiém jego i JMPani starościu żytomirskiej akcyą, która dopomogła WMPannie do tych przeklętych amorów.

— Nic tu nie winna JMPani żytomirska, bo przecież od tak dawna znam pana chorążego....

— Wiem dobrze że znasz go WMPanna oddawna! Żałuję że nie zakazałem wcześniej płochych dyskursów i zabaw, że nie przewidiałem tak gorących amatorów. Ale solennie oświadczam dziś WMPannie, że nic z tego jój afektu nie będzie, bo nie zezwolę na to małżeństwo. Czas to przyszły pokaże, czy wolisz wiecznie grochowy nosić wieniec, niż zapomnieć o panu chorążym i poślubić kogo innego.

— Oddaj mię raczj WMPanie do klasztoru a nie zmuszaj do innego małżeństwa!—zawołała błagalnie składając ręce panna Teofila, kiedy brat jój szybkoimi zaczął przechadzać się po pokoju krokami, poczem zatrzymał się nagle przed siostrą i rzekł:

— Zobaczymy z czasem czy szczerą masz WMPanno do klasztoru wokacyą. Teraz pojedziesz do domu siostry, która podjęła się dozoru i opieki, ale radzę ci zapomnieć o chorążym, jeśli nie chcesz bym zapomniał żeś jest siostrą moją.

To powiedziawszy rozwrzwył drzwi i wyszedł pośpieszonym krokiem nie pożegnawszy się z siostrą, która wysunęła się cicho do sypialnej komnaty, gdzie do późnej nocy, w gorącej modlitwie los swój polecała Bogu.

XIV.

Odkąd chorąży dowiedział się o wypadkach zasztych w Sośnicy i Oleszycach, w gębokim pograżony był smutku. Czuł on że wielce obraził wojewodę betzkiego, który jako opiekun siostry mógł mu zagrozić na zawsze drogę do jój ręki. Wprawdzie młodzi Jabłonowscy byli silni wpływem ojca, którego zasługi wysoko ceniono w narodzie, ale nierównie potężniejsze było w tój chwili nieprzyjazne im stronictwo.

Znane nam już szczegóły nieporozumień starosty żytomierskiego i jego żony z Sieniawskim i ze Stefanem Potockim. Najserdecznijszym obecnie przyjacielem chorążego był Prokop Jan Granowski, poczesał strapionego młodzieńca, który był częstym gościem w domu jego w Sośnicy. Pani Granowska dawna przyjaciółka rodziny Jabłonowskich, dodawała również serca chorążemu i skwapliwie zbierała wszelkie z Oleszyc nowiny, dotyczące się panny Teofili i świadczące o jój wytrwałj przyjaźni.

Ale dom w Sośnicy nagłą i niespodziewaną okrył się żałobą. Było to w połowie miesiąca grudnia, przed świętami Bożego Narodzenia odebrał chorąży koronny we Lwowie list od pani Granowskiej, z doniesieniem że mąż jój zachorował ciężko i niebezpiecznie. Pojechał czempredzj do Sośnicy, gdzie zastał przyjaciela na łożu boleści, z widocznymi oznakami na twarzy śmiertelnej niemocy. Żona starosty, zacna i pobożna matrona, zwierzyła się chorążemu z wielkiego smutku i trwogi z przyczyny, że mąż zarażony ślepém niedowiarstwem,

jakkolwiek w katolickiej wychowany religii, nie myśli o pogodzeniu się z Bogiem. Zaklinała starościna młodego przyjaciela, aby sprowadził ze Lwowa księży Jezuitów, którzy jako znani z uczoności i doświadczenia mogą przyczynić się najskuteczniej do nawrócenia jej męża. Chorąży nie tracąc ani chwili czasu, napisał list do księdza Perkiewicza, kapelana swego brata, z prośbą ażeby przyjechał niezwłocznie do Sosńnicy w towarzystwie drugiego jeszcze księdza, w celu nawrócenia lub egzorcyzmowania starosty, który widocznie opętany przez złego ducha, wypędził własnego księdza i pomimo jawnego niebezpieczeństwa, nie chce upokorzyć się przed Bogiem.

Tymczasem starosta w miarę wzrastającego cierpienia stawał się coraz przykrzejszym dla otaczających go osób, miotał na pokojowców obelgi i najniedorzeczniejsze wydawał polecenia. W towarzystwie chorążego koronnego zdawał się być mniej drażliwy i spokojniejszy, rozmawiał z nim wiele o jego ojcu, o dawnych czasach i o wiedeńskiej wyprawie; ale skoro o bliższe potracił wypadki, mianowicie gdy wspominał na dawną zażyłość z łowczym koronnym i obecną jego zdradę, zapalał się strasznym gniewem i nie znał miary w przekleństwach.

Skoro przybyli oczekiwani księży Jezuiti, udała się pani Granowska wraz z chorążym koronnym do pokoju męża, z oznajmieniem że ksiądz Perkiewicz kapelan Jabłonowskich i dawny znajomy starosty, przybył go odwiedzić. Ale na wspomnienie Jezuitów zaczął się zżymać strasznie starosta, ofuknął żonę i chorążego; kiedy zaś w dniu następnym żądali powtórnie, ażeby pozwolił wejść księżom, zawołał wysiłonym lecz mocnym głosem:

— Precz z Jezuitami! mnie nie potrzeba księdza; nieraz już śmierć miałem przed oczami, więc umrzeć mi nie nowina: nie bałem się śmierci i nie boję!

Kiedy zaś przekładała mu starościna, jak straszne jest jego bluźnierstwo, skoro Chrystus Pan pocił się przed śmiercią w Ogrójcu, czém dowiódł, że niegodzi się lekceważyć tak ważnej chwili, bluźnił pan Granowski po swojemu i w końcu wykrzyknął:

— Zawołać mi tu hajduka!

Przełknięta rozdrażnionym stanem męża, wybiegła starościna i zawołała hajduka. Został tylko chorąży koronny w komnacie chorego i był świadkiem osobliwej sceny. Skoro wszedł hajduk do pokoju, podniósł się starosta, wyprostował w siedzącej na łożu postawie i rzekł rozkazującym głosem:

— Przyprowadź mi tu natychmiast moją starą skarogniadą kobyłę.

— Gdzie, czy do pokoju mam wprowadzić JWPanie?

— Gdzie? wszak słyszysz co mówię: przyprowadź mi ją tu natychmiast!

Przerażony hajduk surowym głosem pana, wybiegł szybko z komnaty i wprowadził wkrótce do pokoju żadaną klacz skarogniadą, z wielkim zgorszeniem księży, którzy przez dwa dni naprzóżno czekali

w przyległej komnacie na chwilę skruchy i upamiętania złożonego chorobą grzesznika.

Dziwna wprawdzie przedstawiła się scena. Starosta wyciągnął ręce do klaczy, dał znak hajdukowi ażeby przyprowadził ją bliżej do łóżka i rzekł wzruszonym głosem do chorążego:

— To zwierzę, mości chorąży, najlepszym jest moim przyjacielem; na téj klaczy całą wiedeńską odbyłem wyprawę: nie zawiodła mnie nigdy w podróży i w bitwach. Jeśli mam umrzeć, niech nie umrę przynajmniej bez pożegnania.

To mówiąc zaczął głaskać głowę zwierzęcia, które zarżało w téj chwili, jakby wywzajemniając się oznaką przywiązania ku swemu panu.

Rzenie to dziwne sprawiło wrażenie na umyśle chorego; twarz jego blada pokryła się nagle gorączkowym rumieńcem, zadrżał cały jakby zimnym przeniknionym dreszczem i rzekł:

— To zwierzę żegna mię, mości chorąży: prognostyk to jest nieochybny bliżkiej śmierci.

Następnie pieścił się jeszcze z ulubioną klaczą, która stała jak wryta przy łożu chorego, od czasu zaś do czasu smutnie ruszała głową.

Prawie półgodziny trwało to dziwne pożegnanie. Skoro napięścił się już dowoli i kazał wyprowadzić zwierzę z komnaty, starosta był głęboko wzruszony i łzy miał w oczach.

Rzecz szczególna, że od téj chwili uspokoił się chory, nie wyrzekał i nie lżył już nikogo: był milczący i zamyślony. Przed wieczorem pożegnał się z nim chorąży, przyrzekłszy że powróci niezadługo, księża zaś oczekiwali do przyszłego rana. Owóż nie zawiodła ich nadzieja, bo w dniu następnym sam starosta zażądał duchowej pomocy i rozkazał wpuścić księży Jezuitów.

Skoro ukazali się we drzwiach komnaty, poznał starosta natychmiast księdza Perkiewicza; powitał go i poprosił skinieniem ręki, ażeby usiadł na krześle obok łoża: towarzysz jego zajął miejsce w drugim rogu komnaty pod oknem. Granowski nachylił się do księdza Perkiewicza i rzekł:

— Nim zacznę mą spowiedź, muszę cię przeprosić Ojcze za to, że tak długo trzymałem was za drzwiami. Jakoż wyznaję, że uczyniłem to nie z osobistego rankoru, ale z inwidy, którą mam dla całego waszego zakonu.

— Zkądże to WMPanie starosto *societas* nasza zapaliła tak niezastężoną i zapalczywą inwidyą?

— Wieleby było o tém do mówienia, Ojcze, jeślibym chciał wylizować wszystkie przyczyny; ta jednak jest najpryncypalniejsza, że znam wielu zamieszkańców świata *alias* intrygantów, którzy z waszego wyszli zgromadzenia.....

— Nie wiem o jakich intrygantach WMPanie starosto chcesz mówić, nie przeczę jednak że mogłeś znać złych i fałszywych kapła-

nów, bo przecież *in collegio Christi Judas repertus est* ¹⁾. Wszędzie są źli i dobrzy, ale niegodzi się dlatego pogardzać duchownymi, którzy są namiestnikami Pańskimi na ziemi.

— Wierzę, że nie godzi się, Ojcze, ale trudno zapomnieć urazy, zwłaszcza że nieraz księźa Jezuiti dopieklili mi do żywego; najwięcej zaś JMksiądz Radłowski, gdy na przedostatniem kazaniu wywodził wszystkie śmiertelne grzechy, za które wiecznym groził potępieniem: w końcu zaś mnie dotknął samego, beształ i groził publicznie.... Jakżeż, Ojcze, mogłem zapomnieć tak święzą i wielką obelgę?

— Nie wiem nic o tém kazaniu księźa Radłowskiego, a chociażbym nawet słyszał, możebym nie był jeszcze kompetentnym sędzią do zadekretowania w téj sprawie. Muszę jednak z powołania kapłańskiego ostrzedz WMPana, ażebyś na bok wszelką odrzucił urazę i zapomniał o téj obeldze, jeżeli chcesz stanąć przed trybunałem pokuty.

— Owóż najtrudniej, Ojcze, zapomnieć o tém, bo JMksiądz Radłowski ciągle przed oczami mi stoi i słyszę jak lży mię publicznie, w obec tłumu szlachty i zgromadzonego w kościele ludu....

— Musisz koniecznie WMPanie starosto, darować z całego serca tę urazę i wyrzec się téj inwidy do zgromadzenia, bo to jest najpryncypalniejsza pokusa, którą czart przeklęty chce ułować duszę WMPana.

— Jestem wielkim grzesznikiem, Ojcze, żałuję za wszystkie grzechy, za które pono nie na jedno zasłużyłem piekło; ale téj obelgi zapomnieć nie mogę....

— A ja mówię WMOści, że taka skrucha nietylko na nic się nie przyda, ale jako niezupełna, narusza święty Sakrament pokuty i nowym grzechem obarcza sumienie.

Skoro wypowiedział tę sentencją ksiądz Perkiewicz, starosta zadumał się głęboko, westchnął kilka razy i rzekł:

— Jeżeli tak jest, zapominam téj obelgi dla miłości Boga, z którym chcę się pojednać, Ojcze wielebny. Przepuszczam wszystkim nieprzyjaciołom, urazy, tak, jak pragnę ażeby Bóg przebaczył moje.

Po tém wyznaniu zamknął się starosta z księdzem Perkiewiczem i spowiadał długo. Drugi ksiądz Jezuita wyszedł na ten czas do przyległej komnaty, gdzie odmawiał za penitenta pacierze.

Po dokonanej nabożnie spowiedzi, rozesłał starosta posłańców do księźa Radłowskiego i Stefana Potockiego łowczego koronnego, ażeby przybywali jak najprędzej dla pojednania się z nim chrześciańskiego: ksiądz przyjechał w dniu następnym, lecz łowczego nie zastał postaniec w domu.

Na dwa dni przed zgonem Granowskiego, zdążył go jeszcze pożegnać po raz ostatni młody przyjaciel, chorąży koronny, i znalazł nadspodziewanie wielką w nim zmianę. Starosta do ostatniej chwili nie tracił przytomności, mówił wolno i pocichu, ale okazywał spokój i wielką moc ducha.

¹⁾ Pomiędzy uczniami Chrystusa znalazł się Judasz.

— Dobrze że przybyłeś dziś, WMpanie chorąży, bo nie wiem czy jutro zastałbyś mnie w domu...

— Jakto?

— Nie rozumiesz mię mości chorąży? Owóż powiem WMpanu wyraźnie, nie zastałbyś mnie może w domu, a to z téj osobliwie racyi, że nie wiem czy dożyję do jutra.

— Nie myśl o tém WMpanie starosto. Maj, nasz medyk, nie trzyma tak źle o zdrowiu Waszmości, bo mówił mi, że jawne widzi dziś polepszenie. Będziemy jeszcze pić wesoło za zdrowie WMpana, naszego serdecznego przyjaciela.

— Wypijecie na moim pogrzebie!—odrzekł smutnie zwieszając głowę starosta—ale na Boga, nie zapominajcie téż o duszy i pomódlcie się za mnie szczerze... Wielkim byłem bezbożnikiem i bluźniercą, mości chorąży; wiecie o tém pono wszyscy, którzy mnie znacie, a Waszmość lepijé od innych, boś słyszał jako bluźniłem w dniu onegdajszym. Sprawa w tém iście była owego czarta, który się usadził na zgubę duszy mojej, ale Bóg Wszehmocny zmiłował się nademną i skrucha zakłatała do serca. Cud to był widoczny, mości chorąży, bo kiedy przyprowadzono mi starą kobyłę, która w wiedeńskiej jeszcze służyła potrzebie; skoro jeno zwierzę to zarżało żałośnie, a potem smutnie nad mojem łóżem ruszało głową, pomyślałem zaraz jako mi rozstać się z tym już światem nieochybnie przychodzi: więc taki żal serdeczny ścisnął serce, że omal nad nędzą moją krwawemi nie rozplakałem się łzami. Módlcie się za mnie, mości chorąży, módlcie się i przeproście pana łowczego, bo Bóg jest świadkiem jako mu z serca wszelką przepuszczam urazę, ale pono nie przyjedzie już na czas.

To powiedziawszy zamilkł nagle starosta, jakby pod wpływem wysilenia, bo oddech jego był przyspieszony i pierś podnosiła się gwałtownie.

Chorąży patrzył smutnie na twarz chorego, po chwili zaś milczenia rzekł:

— Pan łowczy przyjedzie pewnie wkrótce, ponieważ wczoraj oczekiwano go w domu z powrotem z Olszyc, z kąd miał przywieźć żonę i jej siostrę pannę wojewodziankę wotyńską.

— Więc panna wojewodzianka wotyńska zamieszka teraz w domu pana łowczego?—zapytał cichym głosem starosta.

— Słyszałem, że taka jest dyspozycya pana wojewody bełzkiego.

Znów nastąpiła chwila milczenia. Chory wodził ręką po czole, jakby chciał coś przypomnieć sobie, poczem podniósł od poduszki głowę, wyciągnął rękę ku stronie biurka i rzekł:

— W tém biurku, w drugiej szufladzie od góry znajdziesz, mości chorąży, skrypt zapieczętowany, który jest nader ważny dla ciebie. Nie pokazywałem go dotąd WMpanu, bo nie była potemu pora, ale skoro uspokoi się nieco wojewoda bełzki, a twardo iść będą konkury, oddasz ten list do rąk jego: jest tam lekarstwo, które może zaradzi w twój potrzebie.

Choraży wyjął list zakopertowany z wskazanej mu szuflady.

Na tém zakończyła się rozmowa, bo wkrótce silna gorączka opadowała umysł chorego, i na trzeci dzień rano oddał ducha Bogu.

XV.

W dniu 8 maja wieczorem, z okoliczności imienin hetmana Jabłonowskiego, tłumy gości zapełniały komnaty jego domu we Lwowie. Oprócz rodziny gospodarza znajdowało się mnóstwo osób: zwracały między innymi uwagę dwie młode wdowy, których białe czoła promieniły się niedawno szczęściem. Jedną z nich była Wielhorska podkomorzyna włodzimierska, drugą, Denhoffowa z Dąbskich łowczyzna litewska. Opisaliśmy uroczystości wesela, zamroczonego tak prędko żałobą z powodu napadu Tatarów. W dniu tym, jak wiemy, straciła męża pani Wielhorska w pamiętnéj potyczce z Tatarami na przedmieściu Lwowa. W kilkanaście miesięcy później, śmierć niespodziewana rozłączyła drugą młodą parę.

Dwie wdowy w czarnych sukniach, wiodły w rogu komnaty poważną cichą rozmowę, kiedy w około nich rozlegały się śmiechy, pomieszane z odgłosem hucznej muzyki, w przyległym przygrywającej salonie. Tu rozmawiali w różnobarwnych narodowych strojach panowie, poważni wiekiem i godnością; tam w długich aksamitnych sukniach panie, z utrefionemi sztucznie włosami przechadzały się i wiodły poufne rozmowy, lub odpowiadały z uśmiechem na zapytania dworaków, słynnych z dowcipu i wesołego humoru: tam znów dziarska młodzież w ochoczym popisywała się tańcu. Ale jakże opisać to pełne życia i ruchu towarzystwo, w którym tak wiele różnorodnych mieszało się żywiołów, w którym poufne szepty, głośne rozmowy i śmiechy, zagłuszone muzyką i taniami, w jedném gwarzącém zlewały się echu. W komnacie, gdzie dwie młode siedziały wdowy, znajdował się hetman Jabłonowski otoczony gronem sędziwych mężów, pomiędzy którymi byli znajomi nam z poprzedniego opowiadania kasztelanowie: Krzysztof Skarbek i Stanisław Druszkiewicz. Panowie ci siedzieli przy kieliszkach napełnionych winem i rozmawiali o dworze króla, o słabém jego zdrowiu i o przewidywaném w bliżkiej przyszłości bezkrólewiu.

Hetman wynurzał swe obawy względem losu kraju, mówił długo o różnych nieprzyjaznych stronnictwach, zagrażających zamieszaniami i burzą; następnie wyliczał wielką ilość kandydatów, którzy prawdopodobnie popierani będą przez zagraniczne dwory, w czasie bezkrólewia, z krzywdą panującego domu. Stary kasztelan Druszkiewicz, wielki wielbiciel cnót króla Jana, z którego imieniem łączyły się najmiłsze jego życia wspomnienia, nie mógł pogodzić się z myślą, ażeby tron polski odziedziczył cudzoziemiec, kiedy oswobodziciel Wiednia pozostawia synów, spadkobierców jego nazwiska i sławy. Tymczasem wykladał dalej hetman, że wątpliwą jest sprawa następstwa Sobieskich, z powodu wielu bardzo wewnętrznych i postronnych przeszkód, jako to za-

targów w łonie królewskiej rodziny, następnie domowych i zagranicznych intryg. Nie mógł spokojnie dosłuchać tych uwag Druszkiewicz i zawołał z oburzeniem:

— Biada nam, biada, miłościwy panie hetmanie, jeżeli pogardzimy krwią własnego naszego króla i posadzimy na tronie nie Piasta, lecz Niemca; bo stary jestem i siła doświadczyłem w życiu, więc wiem, że polskie drzewo na polskim najlepiej zaszczenia się gruncie, rzadko zaś zamorskie przywiezione tu rośliny pożywne wydają owoce.

Przytomny téj rozmowie Krzysztof Skarbek, zaprotestował mówiąc, że Władysław Jagiełło był Litwinem, a przecież nauczył się obyczajów polskich i słusznie dobrym zwany jest królem. Ale stary kasztelan chełmski odpowiedział mu prędko:

— Tak jest, Jagiełło był Litwinem i poganinem; lecz przez chrzest święty odrodził się: wielka to łaska Pańska, dziwny cud stał się nad nim i nad jego krajem, mocą téj łaski odrodził się poganin i polską natchnął go Bóg duszą! Ale Niemiec zawsze będzie Niemcem: nie on naszych, lecz my jego musielibyśmy uczyć się sztuk i zwyczajów. Uchowaj nas Boże od téj plagi!

Następnie zwracając się do hetmana Jabłonowskiego dodał:

— Powiedzcie zresztą miłościwi panowie, czemu dziś cudzych mamy szukać bogów, kiedy mamy zacnych potomków naszego ukochanego króla?

Hetman zdawał się namyślać przez chwilę, poczem odrzekł poważnie i zwolna:

— Ważne to jest zadanie i nikt z żyjących nie jest tak wielkim prorokiem, ażeby dziś już rozstrzygnął i wywrożył, kto po śmierci króla Jana III tron jego odziedziczy. Jeżeli mam wyznać sentymenta moje szczerze, powiem Wmpanom, że z przyjaźni dla króla i całego jego najjaśniejszego domu, pragnę gorąco, ażeby najstarszy z królewiczów odziedziczył ojcowskie berło. Wszakże wiadome są wszystkim niefortunne kłótnie królowej Jejmości z królewiczem Jakóbem. Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale ta niezgoda w królewskim domu złą dla niego rokuje przyszłość.

— Wiem o tych sporach matki z synem—odrzekł kasztelan chełmski—ależ nie wątpię, że nastąpi niedługo pożądana chwila, kiedy syn uczi i przebłaga matkę, ona téż łatwo dawne przebaczy urazy.

— Daj Boże, byś mości panie chełmski w szczęśliwą godzinę tak pomyślną wyrzekł wróżbę, bo co do mnie, nie widzę prędkiego i pożądanego tych zatargów końca.

— Jeżeli królewicz Jakób nie pogodzi się z matką—odpowiedział kasztelan chełmski—sam winę przypisze sobie, skoro jeden z młodszych braci otrzyma ojcowskie berło. Królewicz Aleksander, tak dobrze jak Jakób może zasiąść na tronie.

— Nie przeczę—odparł hetman—nietylko królewicz Aleksander, lecz każdy z członków rodziny, mianowicie Maksymilian elektor bawarski może być kandydatem do korony.

Na wspomnienie elektora Maksymiliana zachmurzyło się czoło kasztelana chełmskiego, który nie mógł ukryć niezadowolenia i rzekł z przekąsem:

— Wiem że elektor bawarski może być kandydatem do korony, ale nie spodziewam się, ażeby ktokolwiek z wiernych sług króla popierał, z krzywdą jego synów, sprawę elektora Maksymiliana.

— I owszem—odrzekł hetman—każdy z wiernych sług naszego miłościwego króla, może łatwo skłonić się na stronę jego zięcia, który ma niepospolite *merita*, głośne imię i wielkie zachowanie u postronnych monarchów. Nieprzewidziane są zresztą, powtarzam, losy wolnej elekcji, w której każdy szlachcic, tak dobrze jak syn i zięć króla lub zagraniczny książę, może ubiegać się o koronę.

— Wiem i o tém miłościwy panie, ale powtarzam téż, że nie radbym widział Niemca na tronie naszym, choćby tym Niemcem miał być zięć miłościwie panującego nam króla. Jeżeli Piast nie ma być obrany królem, niechże już lepiej będzie nim Francuz!

— Co słyszę!—zawołał Krzysztof Skarbek. JMpan kasztelan chełmski chce wskrzesić pamięć króla Henryka i zamyśla o wyniesieniu na tron jakiegoś francuzkiego księcia. Może znów dwór Wersalski nowe knuje intrygi ze szkodą wolnej elekcji i naszych starożytnych swobód?

To powiedziawszy utkwił kasztelan halicki wzrok badawczy w twarzy Druszkiewicza, który zmieszał się nieco i odrzekł po chwili:

— Nie wiem ani słyszałem o żadnych intrygach; mówię to tylko, co własne dyktuje mi przekonanie: o ile mnie się dotyczy, nie podpisę się nigdy na Niemca!

Hetman zakończył rozprawę o przyszłej elekcji temi słowy:

— Nie łapmy ryb przed niewodem. Przyjdzie czas, w którym każdy musi wypowiedzieć swe zdanie i oświadczyć się za tym lub owym kandydatem. Niech każdy tylko działa według sumienia, Bóg sam rozstrzygnie nasze wota! Tymczasem módlmy się aby Bóg pokrzepił siły naszego miłościwego pana i dozwolił mu doczekać spokojniejszych czasów. Wypijmy zdrowie króla, miłościwi panowie bracia!

To powiedziawszy powstał hetman, za jego przykładem powstałi inni i wychylili sążniste puhary, wołając: *Vivat rex noster Joannes tertius!*

Kiedy tak rozmawiają o sprawie publicznej poważni wiekiem mężowie, w sąsiedniej komnacie zabawia się ochoczo młodzież przy dźwięku hucznej muzyki. W gronie młodych mężatek odznaczała się wdziękami pani Łaszczowa, z domu Modrzejowska. W kole panien znajdowała się Maryanna Zamoyska, która lubo liczyła rok dopiero czternasty, zwracała oczy wszystkich dziwnie ujmującą powierzchownością i bystrym myślącym wyrazem oczów. Matka jęj, podskarbina koronna, wdowa, pomimo nieco podeszłego już wieku, rzadką jeszcze jaśniała urodą, a chociaż dużo przeboleła w swém życiu, dotąd cierpienia te, na pięknych jęj rysach nie pozostawiły śladu. Panna Maryanna

siedziała obok matki, z którą rozmawiał tego wieczora często Jerzy Dzieduszycki, starosta żydaczewski.

Znamy z poprzedniego opowiadania nieszczęśliwą historią miłości młodego starosty. Skoro Jerzy doznał zawodu ze strony panny Modrzejewskiej, krewni chcieli go swatać z jedną z panien Borkowskich kasztelanek połanieckich. Ale on nie zgadzał się na projekt małżeństwa, które zresztą nie mogło przyjść do skutku, bo opiekunowie panny przyrzekli jej rękę komu innemu.

Hetman Jabłonowski i syn jego najstarszy, którzy kierowali wszystkimi rodzinnymi sprawami, uradzili, że najpożądańszém dla Jerzego byłoby małżeństwo z panną Maryanną Zamoyską, gdyby to zgadzało się z wolą jej matki. Co się dotyczy Jerzego, odkąd dowiedział się o tajemnym ślubie swój bohdanki, wykradzonej przez Aleksandra Łaszczę, starał się zapomnieć o niej i marzył nawet o rychłej zmianie kawalerskiego stanu. Ale wybór w owych czasach nie był rzeczą łatwą dla młodzieńca. Musiał on mieć na względzie stosunki rodzinne panny, bez porady bowiem i zezwolenia starszych członków rodziny, nie wypadało tworzyć projektów małżeństwa. Pierwszy raz tego wieczora ujrzął Jerzy nadobną pannę podskarbiankę. Widok jej wdzięków i skromnej powierzchowności dobre na nim uczynił wrażenie. Ale wspomnienie pierwszej miłości nie zastężyło zupełnie w sercu młodzieńca, obecność pani Łaszczowej zaniepokoiła na chwilę jego wrażliwy umysł. Wprawdzie skoro Jerzy spotykał się z nią teraz w rodzinnych i przyjacielskich domach, stronił od niej i przysięgał w duszy, że nie podniesie oczów na kobietę, która wzgardziła jego uczuciem i wbrew woli matki poprzysięgła innemu wiare. Ale pomimo najsilniejszego postanowienia, pogardzony i odepchnięty Jerzy, nie mógł otrząsnąć się z czarującego wpływu, którym go urzekały oczy dawniej bohdanki. Podczas wieczornej zabawy w domu hetmana Jabłonowskiego, wyraz twarzy Jerzego Dzieduszyckiego zdradzał wewnętrzną walkę. Pani Łaszczowa zauważyła jego pomieszanie, więc z widocznym upodobaniem i ciekawością starała się go wybadać i zawiązywała z nim rozmowę; ale Jerzy odpowiadał jej w kilku słowach z wrokiem utkwionym w ziemię, poczem jakby usiłował tym sposobem odzegnać pokusę, oddalał się szybko i puszczał w taniec z pannami.

Kiedy odpoczęła znużona młodzież po kilkugodzinnych tanach i gwarne ucichła muzyka, nim podano na stół wieczerę, zabawiali się goście wesołą, ożywioną rozinową. Jerzy Dzieduszycki zajął miejsce pomiędzy panią Zamoyską i jej córką. Pani Łaszczowa usiadła obok podskarbiny, mając po drugiej ręce Aleksandra Jabłonowskiego. Jerzy rozmawiał z panią Zamoyską i spoglądał często na pannę Maryannę, choć trudno odgadnąć, jak wielce w tej chwili umysł jego mógł być nią zajęty, bo możemy zaręczyć, że nie spuszczał jednocześnie z uwagi pani Łaszczowej i słyszał dobrze całą treść jej rozmowy z Aleksandrem Jabłonowskim.

Młoda ta pani, z igrającym wiecznie uśmiechem na twarzy, strzelała w okrąg czarnymi płomiennymi oczami, kiedy wiodła ze swym sąsiadem następującą rozmowę:

— Zapewne masz już WMPanie chorąży dokładną wiadomość o wypadkach i zmianach, które zaszły w oleszyckim dworze?

— Wiem tylko o tém—odparł zagadniony—że JMPani Sieniawska pogodziła się z mężem i wróciła do domu.

— To już jest dawna wiadomość, ale świeżą i daleko ważniejszą mam ztamtąd relacją, która dotyczy się przyszłego postanowienia siostry JMPana wojewody bełzkiego.

— Relacja dotycząca się postanowienia panny Teofilii?—powtórzył niespokojnym głosem chorąży.

Pani Łaszczowa spojrzała ciekawie na młodzieńca, poczem zesznurowała uśmiechem usta i półgłosem rzekła:

— Tak jest, oddawna toczą się układy panów Lubomirskich z panem Adamem Sieniawskim o rękę jego siostry...

— Wiem, wiem o tém!—zawołał porywczochorąży—ale oświadczam WMPani, że projekta te spełzły na niczém, bo panna odmówiła panu Franciszkowi Lubomirskiemu staroście olsztyńskiemu, pomimo instancyi wojewody i licznych przyjaciół.

— Jak widzę—mówiła dalej z uśmiechem pani Łaszczowa—masz WMPan tylko dawne relacje i nie wiesz nic o tém, że jest inny, nowy konkurent do ręki panny Teofilii: JMPan starosta spizki.

— Starosta spizki?

— Tak jest, on może będzie szczęśliwszym od innych konkurentem, bo mówią wszyscy, że dawna od lat dziecinnych wiąże ich przyjaźń.

To powiedziała pani Łaszczowa z westchnieniem udanego współczucia, ale jednocześnie zmierzyla ciekawym, nietościwym wzrokiem chorążego, który nie mógł ukryć oburzenia i zawołał:

— Nie, to być nigdy nie może! Mam pewne relacje z oleszyckiego dworu, więc protestuję stanowczo przeciw tym nowym wyinwentowanym konkutom do ręki wojewodzianki. Nikt prócz WMPani nie wspomniął mi o staroście spizkim, którego noga nie postąpiła dotąd na oleszyckim dworze, ani w Brzeżanach, w domu wojewody.

Rozgniewała panią Łaszczową porywczochorążego, zadającego jęj kłamstwo, ale umiała ukryć gniew swój i rzekła z wielkim napozór spokojem:

— Wierz mi lub nie wierz mości panie chorąży, ale powiadam, że źle poinformowany jesteś i oświecić cię muszę. Wprawdzie starosta nie jeździł do Oleszyc ani do Brzeżan, bo i nie zastałby tam teraz panny, która mieszka w domu siostry, łowczyny koronnój; ale ureczam WMPana, że pan Hieronim Lubomirski żywo już negocjuje w jego sprawie; zresztą zna starosta spizki pannę Teofilę i panna zna go nawzajem; widywali oni się często w domu marszałka, ojca starosty. Konkluduję zatem, że skoro panna Teofila wróci do domu brata, mło-

dy zaś i urodziwy konkurent przyjedzie do niej w licznej asystencji przyjaciół i swatów, łącno dawna odnowi się znajomość i przyjaźń.

Choraży wysłuchawszy tej relacji pani Łaszczowej, rzekł wzruszonym głosem:

— A ja tylko konkluduję z opowiadania WMPani, że panowie Lubomirscy nie zrażeni pierwszą odmową panny Teofili, nowe na jej rękę układają projekta; lecz wątpię, czy lepiej ta druga powiedzie się impreza.

— I ja też za nic więcej nie ręczę, jak tylko za gorącą intencją starosty spizkiego, która przy pomocy tak potężnych przyjaciół, może mu łatwo otworzyć drogę do łaski panny. Powtarzam zresztą, co słyszałam z ust wiarogodnych osób; chciałam zaś ostrzedz WMPana, wiedząc, jak wielkim pałasz afektem dla panny.

Zamilkła na chwilę pani Łaszczowa, nie spuszczać wzroku z młodzieńca, który stał smutnie zamyślony i zakłopotany; po czém powstała z krzesła i na zakończenie rozmowy dodała:

— Radziłabym WMPanu wybadać intencje wojewody bełzkiego i jego siostry, ażebyś nie żałował po czasie, doświadczony gorzkiego zawodu.

To powiedziawszy, miała już odejść pani Łaszczowa, kiedy choraży rzekł z gorzkim uśmiechem:—Dziękuję za przyjacielską radę WMPani.

Poczem rozeszli się w różne strony, albowiem zaproszono w tej chwili do wieczerzy, zatem ruszyli się z miejsc swych wszyscy panowie i panie.

Jerzy Dzieduszycki, który słyszał rzeczoną rozmowę i widział jak choraży pobrał i zmienił się na twarzy, pochwycił go za rękę, wyprowadził na stronę i rzekł:

— Nie frasuj się panie bracie, i nie wierz pani Łaszczowej. Słyszałem jak rozmawiała z tobą i widziałem fałsz w jej oczach. Ta białołtowa wabiła mię długo dziwnym urokiem, ale ona sama w tej chwili odczarowała mię zupełnie, bo dostrzegłem złośliwość w uśmiechu, w oczach i w każdym jej słowie.

— Bardzo być może, że sprawiedliwie mówisz, panie bracie. Nie wierzę też, ażeby pani Łaszczowa w przyjacielskiej opowiadała mi intencji historią tych nowych swatów. Wszakże wiem, że panowie Lubomirscy pragnęliby gorąco odbehtać odemnie pannę. Obawiam się ich intryg: jakkolwiek pewny jestem wypróbowanej cnoty i stałego afektu panny Teofili, nieboga uledz w końcu może przed natarczywością brata i przyjaciół, zwłaszcza że już oddawna ani ja od niej, ani ona odemnie żadnej nie miała relacji. Widzę teraz, że nie mam do stracenia ani jednej chwili czasu i muszę przesłać panu Sieniawskiemu tajemnicze pismo, które nieboszczyk pan Granowski oddał mi przed śmiercią.

— O jakim to piśmie mówisz, panie bracie?

— Zapomniałem, że nie mówiłem ci dotąd o przedśmiertnym zleceniu starosty żytomierskiego. Owoż rzecz tak się ma, panie bracie,

że nieboszczyk, na kilka chwil przed skonem, okazał mi list zapieczetowany, zatem polecił oddać do własnych rąk pana Sieniawskiego, skoro tenże ochłonie z pierwszego gniewu i skłonniejszym będzie do zgody. Ten list ma być najskuteczniejszym lekarstwem przeciwko intrygom złych ludzi i osobistych naszych nieprzyjaciół. Oczekiwałem dotąd na sposobniejszą porę, w której mógłbym sam wręczyć ów list wojewodzie. Ale dziś nie chcę już odwlekać dłużej, naradzę się z panem ojcem i błagać go będę, ażeby wymyślił jaki sposób oddania listu, który jak się domyślam ze słów umierającego starosty, musi ważne zawierać odkrycie, lub może jaką instancją za mną do JMPana Sieniawskiego.

Jerzy wysłuchał z uwagą opowiadania krewnego i rzekł:

— Dobrze czynisz bracie, że nie odkładasz sprawy twych założeń, bo jak każdej fortuny, tak i przyjaźni białogłowskiej niestateczne jest koło.

Te ostatnie wyrazy wymówił Jerzy donośnym głosem, spojrzawszy ukradkiem na panią Łaszczową, kiedy panowie i panie tłumnie posuwali się ku stolowej komnacie, gdzie suta oczekiwała wieczerza.

XVI.

W kilka dni po opisaną zabawie, hetman Jabłonowski przychylił się do prośby młodszego syna i zgodził się na wystanie księdza Perkiewicza do domu wojewody betzkiego. Postanowiono nadto na radzie familijnej, że Jan Jabłonowski pojedzie jednocześnie do Zamościa i prosić będzie o rękę panny Maryanny dla ciotecznego brata Jerzego Dzie duszyckiego. W wigilią dnia przeznaczonego do wyjazdu, rozmawiał długo hetman z księdzem Perkiewiczem. Jan i Aleksander Jabłonowscy przytomni byli tej rozmowie. Hetman rozwodził się szeroko o stosunkach i koligacjach możnych domów, o potrzebie i znaczeniu tych koligacyj, tak w zakresie spraw domowych jako też publicznych; następnie mówił o projektowanych małżeństwach i rzecz swą kończył temi słowy:

— Wiész już Ojcze, jak okazała się łaskawą dla nas pani podskarbina Zamoyska, owoż wypada, nie tracąc czasu, oświadczyć się jój od Jerzego o rękę panny Maryanny. W tym interesie wyjeżdża jutro do Zamościa wojewoda wołyński, życzeniem jest mojem, ażebyś towarzyszył mu Ojcze w tej podróży.

— Zawsze i w każdej sprawie gotów jestem na usługi pana i dobrodzieja mego.

— Dziękuję Ojcze Janie za tak stałą i wypróbowaną przyjaźń dla mnie i dla mego domu. Ale oprócz negocyacji w Zamościu, mam inne nierównie ważniejsze zlecenie, bo dotyczy się losu młodszego mego syna chorążego. Skoro wojewoda wołyński wyruszy z Zamościa w dalszą podróż do starostwa swego, do Swiecia, zawrócisz WMI'ana i odwiedzisz panią Kątską wojewodzinę kijowską, w Drozdowicach, ztamtąd

zaś jeżeli okaże się potrzeba, udasz się na dwór wojewody bełzkiego, do Oleszyc lub Brzeżan.

— Słyszałem, że JMPan wojewoda bełzki mieszka obecnie z żoną w Oleszycach.

— Jeśli tak jest, udasz się Ojcie Janie do Oleszyc, ale wybadasz pierwój wojewodzinę kijowską, czy warto układać się teraz z JMPanem Sieniawskim; bo sprzykrzyły mi się już te konkury i nie chciałbym negocjować napróżno.

— O ile wnoszę z opowieści wiarogodnych osób—odpowiedział poważnie ksiądz Perkiewicz—teraz najsposobniejsza do negocjacji jest pora, bo łowczy koronny pokłócił się z wojewodą o posag, nadto dyskredytowany jest również brat łowczego ksiądz Teodor, a wiadomo że oni najwięcej przeszkadzali do ugody.

— Wiem o tém i spodziewam się, że nie tak twardo pójdą dziś układy. Ale znam kapryśny umysł JMPana Sieniawskiego i obawiam się intryg panów Lubomirskich, mianowicie podskarbiego; więc zalecam ci Ojcie jak najmocniej, ażebyś wziął przedewszystkiém dokładną informacją od wojewodziny kijowskiej, bo ta zacna matrona jest wielką przyjaciółką naszą. Dowiesz się od téj pani najprzód, czy JMPan Sieniawski jest łaskawszy na mnie i moich synów, powtóre, czy można działać przez jego żonę i czy ona nie odmówi dziś swój protekcji.

— Najakuratniej wypełnię wszystkie rozkazy WMPana dobrodzieja i o całej sprawie najrzetelniejszą zdam relacją—rzekł schylając głowę ksiądz Perkiewicz.

— Wiedz Ojcie Janie, że mam ci oddać jeszcze dokument, który starosta żytomierski wręczył przed śmiercią chorążemu, zaręczając, że takowy może być najskuteczniejszém lekarstwem na upór wojewody bełzkiego. Nie znamy treści dokumentu, albowiem jest zapieczętowany; nikt zaś nie śmie rozłamać pieczęci, gdyż starosta polecił oddać go w całości do rąk wojewody.

— Mówił mi już o tym liście chorąży, ale czyż nikt nie domyśla się dotąd co on zawierać może?

— Trudno zaprawdę domyślać się treści, nie wątpię jednak, że musi ważne tam być zeznanie, bo niepodobna posądzać o żart lub o kłamstwo umiérającego starostę. Proszę cię Ojcie, ażebyś oddał ten list panu Sieniawskiemu, skoro naradzisz się wprzód z jego żoną i otrzymasz od téj damy aprobacją. Oto są główne punkta negocjacji, zresztą znajdziesz WMPan wszystko w instrukcyi, którą napiszę w dniu jutrzejszym.

Skoro zakończył temi słowy hetman rozmowę z księdzem Perkiewiczem, Jan Jabłonowski zbliżył się do nich i rzekł poważnie:

— W materyi konkurów pana brata, muszę poddać pod sąd łagomości dobrodzieja i JMksiędza Jana jedną ważną okoliczność, z okazji listu wojewodzianki wołyńskiej, która donosi chorążemu o nowój intrydze łowczego.

— Co? sekretne listy od wojewodzianki i nowe intrygi łowczego! — zawołał z oburzeniem hetman.

— Tak jest, dowiedziawszy się o projekcie nowój podróży do Zamościa, łowczy wynwentował bajkę, jakobyśmy prosili o rękę panny Zamoyskiej dla chorążego. Widzę z listu panny Teofili że rozżalona jest srodze, bo wyrzuca panu bratu niestałość i żąda, ażeby usprawiedliwił się i oczyścić z uczynionego mu zadania, co w następujących wyraża terminach:

To powiedziawszy zbliżył się z listem do świecy i czytał:

„Jakkolwiek wierną dotąd byłam, mości chorąży, i nie szwankowałam w daném słowie, nie jestem przecie tak szalona, bym z równie uprzejmą oświadczała się chęcią, skoro słyszę o zalotach i konkurach do innych panien. Proszę więc WMPana, ażebyś mi doniósł jaknajprędzej, co znaczą rozgłaszane wieści, jakobyś starał się o rękę podskarbianki Zamoyskiej i że w tej intencji JMPan wojewoda wołyński wybiera się do Zamościa.

Nocuję dziś w Dźwinigrodzie i oczekuję odpowiedzi. Milczenie WMPana uważać będę jako potwierdzenie tej niefortunnej dla mnie wieści.”

Przeczytawszy wskazał na chorążego, który stał z głową zwieszoną, w smutnej i zadumanej postawie, poczem rzekł:

— Brat oddał mi przed wieczorem list panny i zwierzył mi się jako postanowił bez odwołki jechać na całą noc do Dźwinogrodu, aby oczyścić się z uczynionego mu zadania. Zganiłem jego intencją i wystawiłem niebezpieczeństwo jawne podobnej imprezy, więc zgodził się na to, że odda rzeczoną sprawę pod sąd jegomości dobrodzieja, od którego z powolnością synowską oczekiwać będzie wyroku.

— Protestuję przeciwko tej chorążego intencji! — rzekł uroczystym głosem hetman. Dobrze, iż przestrzegłeś brata i nie dozwoliłeś mu dokonać tak szalonej akcji. Nikt nie zaprzeczy, że sprawiedliwym zapalał się pan Sieniawski gniewem, za sekretne rozmowy i listy, jako też schadzki z panną, które wyprawiał chorąży z jawnym poniżeniem jego opiekuńczej władzy.

Na upomnienie ojca, odrzekł obwiniony z pokorą:

— Z przeproszeniem jegomości dobrodzieja, przełożyć mu się ośmielę, jako nie z próżnej ciekawości, lecz gwoli ulżenia srogiemu żalowi, dla uniewinnienia się z niesprawiedliwego zarzutu i dowiedzenia fałszu, chciałem wyjechać na spotkanie panny Teofili. Ośmielam się też reprezentować jegomości dobrodziejowi z winną synowską submisją, jako nie miewałem nigdy potajemnych schadzek z panną, bo widywałem się z nią zawsze w przytomności dam znacznych, jako to JMPani wojewodziny betzkiej, lub starościny żytomierskiej, lub nakoniec siostry pani łowczyny koronnej.

— Wiem o tém wszystkim, ale napróżno reprezentujesz mi swe racje, boś zawinił przeciw opiekunowi i bratu, skoro bez jego wiedzy i zezwolenia odwiedzałeś pannę i dyskurowałeś z nią długie godziny

i wieczory. A cóż mu powiesz na swą obronę, w materyi onych tajemnych listów z wojewodzianką, któremi obałamuciłeś jój głowę? Jeżeli chcesz, abym instancyonował za tobą do JMPana Sieniawskiego, proszę, abys nie prowadził więcej tych politycznych korespondencyj, lecz oddał całą sprawę pod dyspozycyą moję. JMks. Jan pojedzie umyślnie z tą negocyacyą i wytłumaczy cię z zarzutu łowczego. Jeżeli wszystko ułoży się po myśli, pojedzie na zakończenie traktatów brat twój starszy z panem Antonim Stamirowskim, a może i poczciwy nasz przyjaciel, kasztelan chełmski, dopomoże w tej sprawie. Wszakże być może, że JMPan Sieniawski twardym okaże się w układach, pomimo instancyi przyjaciół, i że nawet ów list sekretny nie przełamie jego uporu. Dochodzą nas zewsząd wieści, że podbechtany jest teraz przez panów Lubomirskich i nastaje mocno na pannę, ażeby nie odrzucała propozycyi koligatów. Jeżeli już takie jest fatum i nie dojdzie nasza ugoda, powiem krótko waszmości: nie przystoi tobie synowi memu, dobijac się gwałtem o rękę panny, z krzywdą honoru imienia i domu: nie goń dłużej wiatru w polu, jesteś młody, a świat szeroki: szukaj gdzieindziej żony!

Tą energiczną odezwą zakończył hetman rozmowę tego wieczora z księdzem Perkiewiczem i z synami.

Chorąży wyszedł mocno zakłopotany z pokoju ojca. Skoro udał się do sypialnej komnaty, przechadzał się długo z założonemi na pierśiach rękami, rozmyślając o fatalnym liście, który odebrał od panny, o niestusznym czynionych mu zarzutach, nakoniec o surowém napomnieniu ojca. Chęć usprawiedliwienia się i obawa utwierdzenia zarzutu milczeniem, nakazywały mu niezwłocznie porozumić się z panną; jakoż idąc za popędem serca, chwycił nieraz za czapkę, z zamiarem wyruszenia lotem ptaka do Dźwinigrodu. Ale po chwili, skoro zabrzmiało groźne napomnienie ojca, tracił znów odwagę i rzucał się na sofę z rozpaczliwym wyrazem na twarzy. Kilka godzin walczył tak młodzian, miotany naprzemian żądzą odwiedzenia panny i obawą skutków ojcowskiego gniewu, aż w końcu znużony długiem czuwaniem, zdrzemał nierozebrany na sofie. Ale sen chorążego był niespokojny i przerywany. Skoro zaświtał w oknach brzask dzienny, ocknął się młodzian i usiadł na sofie, wodząc na około obłądnym wzrokiem, jakby usiłował zebrać bezwładne wrażenia. I stanął przed jego oczami obraz wypadków dnia wczorajszego, mianowicie listów z wymówkami panny i z żądaniem niezwłocznej odpowiedzi. Nagle, z pośpiechem błyskawicy powziął postanowienie wyjazdu. Zarzucił na ramiona płaszcz podróżny, pobiegł szybko do stajni i kazał okulbaczyć konia. Hajduk zdumiał się spostrzegłszy chorążego, znużonego bezsennością, z gorączkowym rumieńcem na twarzy; nie przypuszczał, ażeby pan jego młody wyjeżdżał tak rano i tak nagle, nie wydawszy w dniu wczorajszym żadnego rozporządzenia; wniósł więc, że może nie dosłyszał dobrze rozkazu i zapytał:

— Czy dla JWPana mam okulbaczyć konia?

— Czyż nie słyszałeś? wszak mówiłem, ażebyś natychmiast okulbaczył mi konia.

Zmierzył jeszcze raz hajduk ciekawym wzrokiem swego pana, poczem poskoczył do stajni i w kilka minut wyprowadził piękną klaczbę bułaną, na której zawsze jeździł chorąży.

Skoro tenże dosiadł konia, rzekł do hajduka:

— Słuchaj Macieju! nie waz się mówić nikomu o moim wyjeździe. Niechaj cię Bóg zachowa, abyś miał słowo przebąknąć jegomości dobrodziejowi, lub panu bratu, lub któremukolwiek z ich dworzan.

— A jak zobaczę, że nie ma JWPana w domu i bułanej klaczy w stajni, co mam odpowiedzieć JWPanie?—rzekł przezorny dworak.

— Nie mów nic łotrze!—zawołał rozgniewany chorąży, ale po chwili namysłu dodał:

— Jeśli cię zapytają panowie, powiedz im że wyjechałem na przechadzkę gościńcem ku Artasowskięj Woli.

To powiedziawszy, dał bodźca koniowi i jak strzała puścił się za miasto.

Hajduk stał pewien czas nieporuszony na miejscu i patrzył się za odjeżdżającym, po chwili zaś namysłu zakonkludował stanowczo, że pan jego młody został prawdopodobnie oczarowany przez jakąś nieczystą siłę; więc przeżegnał się i mruczał pod nosem idąc do stajni: „niezwyczajna to jest przechadzka o tak rannęj porze.”

XVII.

Relacya księdza Perkiewicza z podróży do Zamościa.

W dniu następnym po konferencyi z JMPanem hetmanem w. kor. wybieraliśmy się z wojewodą wołyńskim w drogę do Zamościa. Owóż o godzinie dziesiątej rano odebrałem z rąk JMPana hetmana instrukcyę, potem poszedłem z wojewodą do Obserwantów, u których brał tenże błogosławieństwo. Po wysłuchaniu mszy świętej wrócił wojewoda do domu, przed którym stały już zaprzężone konie. JMPani wojewodzina czekała na nas w jadalnej izbie, gdzie posilliliśmy się wybornie i pożegnali jéjmość i małego Stasia; ale według zwyczaju nie mógł mąż rozstać się z żoną bez długich szeptów i srogiego żalu: więcej niż pół godziny trwało to pożegnanie, aż w końcu wyrwał się z uścisków białogłowskich i poszedł do ojca, któremu upadł do nóg i prosił o błogosławieństwo. Było więc już dobrze południe, kiedy zakończyły się owe ceremonie i wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy na nocleg do Mościsk, po drodze chciał wstąpić wojewoda do domu p. Antoniego Stamirowskiego, więc zawróciliśmy do wioski, położonéj w dolinie nad rzeczką; ale jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzelśmy przed nami sadzącego na koniu JMPana chorążego kor. z czapką zasuniętą na czoło. Chorąży nie poznawał nas, lub udawał że nie poznaje, bo już mijał kola-

skę naszą i nie zatrzymałby się był wcale, gdyby nie głos wojewody: zkąd i dokąd tak prędko bieżysz, panie bracie?

Choraży nie mógł zrazu zatrzymać rozpedzonego konia, ale skoro zastanowiła się kolaska, nawrócił się ku nam, poprawił czapkę na głowie i rzekł:

— To ty panie bracie z JMKsiędzem Perkwiczem?... Spodziewałem się że zastanę was jeszcze we Lwowie.

— Nie odpowiadasz panie bracie dokąd tak wcześniej wyruszyłeś z domu nie opowiedziawszy się panu ojcu i nie pożegnawszy się ze mną? — zapytał znów wojewoda brata, który zakłopotany widocznie, odpowiedział:

— Wyjeżdżałem... w bardzo pilnym interesie, ale długoby było o tém mówić, więc lepiej za powrotem do domu opowiem panu bratu.

— Ale ja nie wrócę tak prędko do domu, a radbym się dowiedzieć o tym interesie pana brata, może mógłbym mu w czém dopomóc. Jedź oto z nami do dworku podstolego, który czeka na nas z obiadem, tam pomówimy o naszych sprawach; potem my na nocleg do Mościsk, a ty wyruszysz do Lwowa, gdzie pokłonisz się odemnie jęgomości dobrodziejowi i mojej żonie.

Nie podobał się ten projekt chorażemu, więc odpowiedział, że obawia się, aby pan ojciec nie dowiedział się o jego niespodzianym wyjeździe, i dlatego chce jak najspieszniej powrócić do Lwowa. Na ten argument chorażego odrzekł wojewoda:

— Właśnie téż o tém chcę z tobą pomówić koniecznie, bo i nie wątpię, że pan ojciec dowiedział się już o sekretnym wyjeździe i zapyta pewnie pana brata, co znaczy to *misterium*.

— Dobrze więc, jedźmy panie bracie do dworu podstolego — odpowiedział choraży i ruszył naprzód konno, a za nim potoczyła się kolasa.

Pan Stamirowski podstoli wybiegł na nasze spotkanie i wprowadził do jadalnej izby z osobliwemi komplementami i oświadczeniami przyjaźni.

Choraży był poturbowany haniebnie, pobladł srodze na twarzy z bezsenności i utrudzenia, zakurzony przytém od stóp do głowy, reprezentował figurę jednego z onych rycerzy, którzy ongi dla szukania dziwnych przygód i dziwniejszych jeszcze amorów włóczyli się po świecie. Owóż jeszcze przed obiadem wziął wojewoda brata na stronę, rozmawiał z nim długo i żwawo, z wielkiém smacem nieukontentowaniem chorażego, który był zafrasowany okrutnie. Gospodarz rad nam był niezmiernie, tylko się trapił złym humorem chorażego, który jadł i pił mało z początku obiadu; dopiero pod koniec uczyty zażgrany prośbą i cudowną ochotą podstolego, spijał kolejne zdrowia wraz z innymi. Jako wyrozumiałem z rozmowy przy stole, JMPan Stamirowski rad był gościom z podwójnej racyi: 1-mo, iż jest pan zacny, gościnnie i stateczny panów Jabłonowskich przyjaciel; 2-do, że obiecał nasz wojewoda wołyński instancyonować za nim do koligatki swęj panny Chodo-

rowskiej, o której rękę stara się podstoli. *Tandem* przy wielkiej ochocie gospodarza, każdy rad nie rad musiał dać gardło i pić z sążnistego kielicha. W końcu, po wielu wiwatach i uciésznych dyskursach przypomniał wojewoda, choć dobrze podchmieloną miał głowę, że zabawiliśmy się zbyt długo, więc pożegnał podstolego i brata, zatém w dalszą ruszyliśmy drogę.

Stanęliśmy w Mościskach późno już w nocy. Opowiadał mi w drodze wojewoda o szaleństwach pana chorążego, który przyznał się jako równo ze świtem pobiegł na spotkanie panny, ale napróżno podjął tak wielką fatywę, bo nie zastał jej już w Dzwiniogrodzie. Zalecił więc wojewoda bratu, ażeby udał się w pokorę i przyznał się do winy ojcu, który dowiedział się już lub dowie niezawodnie, jako tenże wyjechał na spotkanie panny, chociaż mu zakazano surowo, nietylko widywać się, lecz nawet korrespondować bez dozwolenia starszych.

Cały dzień następny przesiedzieliśmy w Mościskach, bo wojewoda zabawiony był od rana do wieczora różnemi sądownemi i gospodarскими interesami: jakoż z rana rozsądzał mieszczkańskie sprawy, potém rachował się z ekonomami, po obiedzie zaś oglądał robotę malarza i ugodził się z architektem panem Gournonvillem, który restauruje pałac i zakłada ogród. *Tandem* we środę 18 maja, zdecydował się wojewoda wyruszyć ze mną do Zamościa, ale przed wyjazdem naszło go mnóstwo ludzi różnej kondycyi, ze szlachty, mieszczan i chłopów, z których każdy reprezentował mu swe prośby i racye. Skoro spostrzegł się wojewoda, że rozsądzanie spraw onych wiele zabrałoby mu czasu, deklarował wszystkim najsolenniej, jako przyjedzie wkrótce do Mościsk z powrotem, dla wyrozumienia ich skarg i słusznych żądań, teraz zaś musi bez zwłoki w dalszą udać się drogę. I miał racją wojewoda, że odłożył do późniejszego czasu odpowiedź na podane mu supliki, ponieważ i sam Salomon nie rozsądziłby prędko tak licznych i zawitych spraw i kłótni. Ale bo téż JMPan wojewoda wołyński, chociaż tak młody jeszcze latami, ma już wielkie poważanie u ludzi, mianowicie u drobnej szlachty i pospólstwa, któremu nie odmawia nigdy rady i pomocy. Owóż i teraz jak pszczoły do ula, zbiegli się do niego ludzie z różnemi protestacyami. Szlachta manifestowała się przeciw chłopom o bezprawia i uciśnienie krwi szlacheckiej; chłopci skarżyli się na arendarzów i ekonomów, mieszczanie jedni na drugich: słowem cały świat szalbierstw i głupstw ludzkich reprezentowany był w tych protestacyach i skargach.

Tandem wyruszyliśmy do Zamościa w asystencyi porucznika Fiałkowskiego i towarzysza Leśnikowskiego oraz kilku rajtarów na koniach.

W dniu następnym około południa, skoro dojeżdżaliśmy do Zamościa, wysłał wojewoda z komplementami porucznika do pani podskarbiny i towarzysza do brata jej wojewody pomorskiego, który naonczas gościł w domu siostry. Czekaliśmy przez całą godzinę w gospodzie, nim posłowie wrócili z zamku z zaproszeniem i karetą wojewody po-

morskiego. Przesiadł się mój wojewoda do karety, ja zaś ruszyłem za nim w kolasie w towarzystwie porucznika, zatém zajechaliśmy szumnie z trzaskiem bicza przed zamek.

JMPan Gniński wojewoda pomorski wybiegł na nasze spotkanie i z zwyczajnemi komplementami powitał i wprowadził po wschodach do obszernéj komnaty, gdzie czekała podskarbina z córką Maryanną. Pani Zamoyska powitała nas *gratiosissime*, jako matrona wielce rozumna i łaskawa; potém dyskurowaliśmy szeroko, mój wojewoda z podskarbiną, ja zaś z wojewodą pomorskim, uczciwym i pobożnym panem, choć brak mu tego dowcipu, który jest pryncypalnym ornamentem jego siostry.

Tandem rozmawialiśmy do obiadu *de publicis et de privatis*, jako to o przyszłym sejmie, o zdrowiu króla, o kłótniach familii i t. d. Pani podskarbina rozpowiadała o sporach wojewodziny malborskiej z grafem Denhoffem, synem jéj męża, który zajeżdża jéj dobra i chce gwałtem odebrać pannę, zowiąc się jéj opiekunem, na mocy testamentu swego stryja. Wojewoda pomorski rozmawiał ze mną wiele o zdrowiu króla, którego pocieszają i zabawiają jak zawsze, Ojciec Vota i żyd Wesołowski. Ten ostatni dziwnie ruchliwy i wygadany, jako żyd zwyczajnie, wszystko przepatrzy i usłyszy, poczem pełną torbę nowin znosi królowi, który rozwesela się czasami wśród ciężkich kłopotów publicznych i familijnych zgryzot. Opowiadał mi téż wojewoda o tragicznym końcu sejmiku chełmskiego, na którym pokłócili się srodze starosta chełmski ze starostą krasnostawskim. Ta zaś była onéj wojny pryncypalna racya, że każdy z nich innego chciał obrać pisarzem, zatém przyszło do łajania i pogroźek; daléj porwali się panowie do szabli i niesłychany powstał tumult, bo z jednéj i z drugiéj strony przyjaciele i studzy stanęli w obronie honoru swych pryncypałów, więc bili się zapalczywie i długo, aż w końcu utrudzeni i poturbowani srodze rejterowali się do domów. Ale starosta krasnostawski, pamiętny doznanego afrontu, zaprzysiągł się na zgubę starosty chełmskiego i jego adherentów.

Po wielu dyskursach zasiadliśmy wszyscy do stołu. Mój wojewoda był błogostawiony między niewiastami, bo siedział pomiędzy panią Zamoyską i jéj córką; mnie wypadło miejsce pomiędzy panną Maryanną i tutejszym kapelanem księdzem Krukowieckim; wojewoda siedział obok siostry, naprzeciwko księdza Krukowieckiego. Pani Zamoyska podejmowała nas *solennissime*, bo potraw wielki był dostatek, wino stare, wyborne i cukry pośrodku stołu ustawione wspaniale. Nie zliczę wszystkich potraw i przysmaków, atoli najpryncypalniejsze były: rosół węgierski z sarny i zająca, potrawa z kapłona z kiełbasami sarniemi, cąber z daniela na zimno, pasztet angielski, tort migdałowy etc. Dyskurowaliśmy o tém i o owém przy obiedzie, jak zwyczajnie z białogłowami. Panna Maryanna, dowcipna i rozumna jak rzadko, zwłaszcza w tak młodych latach, rozmawiała zenną w różnych materyach, o naukach i sztukach, w końcu o magii i dziwnych onéj fortelach,

które widziała reprezentowane nieraz przez zagranicznych mistrzów. Zatem pytała mi się, ażali prawdą jest, co utrzymują niektórzy, jako-by w onych sztukach, mianowicie w reprezentowaniu duchów, była akcja samego czarta, który ma moc nadprzyrodzoną działania cudów. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem podskarbiance, że jakkolwiek czart przeklęty ma wielką moc nad złymi ludźmi, atoli ureczam za to, że nie płać figlów, które ślepotą ludzka zowie cudami, a które są zwyczajnymi conceptami czyli naturalnymi inwencyami nauki zwanéj magią. Owóz wyłożyłem następnie JMpannie różne sposoby magii, o których czytałem dużo w uczonych traktatach, mianowicie opowiedziałem o rozmaitych fortelach używanych w magii, zwanéj *optica*, jako to: o reprezentowaniu historii bitew i innych ciekawych obrazów, które za pomocą sztucznie wpuszczonego światła odbijają się w ciemnym pokoju, na białéj tablicy. Widząc, że podskarbianka słuchała mię ciekawie, opowiadałem jéj dalej, jako byłem w Niemczech na jednéj reprezentacyi, która nabawiła wielkiego strachu spektatorów, z okazji ukazania się czarta *alias* onegoż cieniu. Skoro magik stanął wśród sceny i zapowiedział reprezentacyą, zadrżeli wszyscy obecni, pot wystąpił na ich czoła; lecz wiedzione ciekawością oczy zwróciły się na białą papierową tablicę. Jakoż ukazał się wkrótce cień onego zapowiedzianego czarta, z okropną twarzą, z rogami na głowie, w wilczej skórze, z wilczym ogonem i z ogromnemi pazurami. Straszliwy tumult powstał pomiędzy Niemcami, szczególnie potrożyły się białogłowy, uciekały z przeraźliwym wrzaskiem; innych drżały członki jak w napadzie gwałtownéj febry: nic nie pomogły moje protestacye, że ów czart jest ono oszustem, który ukrywa się za sceną, a którego cień na białéj odbija się tablicy; nikt nie uważał na moje słowa, a że strach ma wielkie oczy, więc każdy gotów był przysiędz, że naturalnego widział czarta.

Podskarbianka zaciekawiona opowiadaniem, zapytywała mię następnie o czarach i innych maleficyach, jakoteż o wroźbach i o onych czarnoksiężskich laseczkach, któremi oszuści zdumionemu ich figlami pospólstwu przyszłość przepowiadają.

Zaprotestowałem najsolenniéj przeciwko wszelkim wieszczbom i czarom, mianowicie przeciw mocy dyabelskiéj czynienia cudów i ukazywania się w postaci cielesnéj. Owóz skoro wywiódłem ten argument, obecny przy stoie ks. Jakób Krukowiecki nie dał mi dalej mówić, wołając na całe gardło:

— Przewrotne to są maksymy Ojczc Janie i w podejrzaných *alias* heretyckich znajdują się księgach. Słyszałem wprawdzie już nieraz takowe zdania, ale z ust onych świeckich filozofów, którzy *scientia verae Theologiae destituti* ¹⁾, rozgłaszają z wielkiém zgorzeniem pobożnych uszów, że nie ma dyabłów na świecie, że czary nie są ich sprawą, lecz szczerą inwencyą ludzką, i t. p. Ale nie mogę wyjść z podziwu,

¹⁾ Pozbawieni wiedzy teologicznój.

skoro slysze z ust JMksiedza Jezuity, szanownego i uczonego kaplana, tak zarliwą protestacją przeciw wielkim traktatom naszych najmędrzych teologów, jakotéz przeciw téj sentencji: nieprzyjaciel wasz dyabeł jako lew ryczący krąży i czycha na swą zdobycz.

— Nie protestuję ja wcale Ojcie Jakóbie—odrzkłem—przeciw tym słowom Piotra ś., jakotéz przeciw zdaniom Ojców Kościoła o wielkiej potencji czarta, który jako nigdy nienasycone *monstrum* z osobliwym apetytem łowi dusze ludzkie i gotów jest pozrzeć świat cały. Protestuję jeno przeciw kłamliwym wieściom o naturze czarta, i że straszy ludzi wzięwszy na się cielesną postać; protestuję nadto, przeciwko wszelkim wieszczbom i tym podobnym inwencyom ludzkim, pomnąc słowa mędrca Pańskiego: *Cavendum a somniis, auguriis et mendaciis* ¹⁾.

To powiedziawszy chciałem już zakończyć dysputę z ks. Krukowieckim, więc odwróciłem się do panny i w innéj materji rozpocząłem dyskurs, ale Ojciec Jakób nie kontentował się moją odpowiedzią i tak mówił daléj:

— Nie znasz widzę jegomość natury czarta, który ciało bierze na się z powietrza i grubych waporów ziemskich; jak zaś jest zły, tak również dowcipny i chyży, bo przebiega w jednéj chwili świat cały, po którym włóczy się już od kilku tysięcy lat: więc ma wielką eksperyencyą do oszukiwania ludzi i łowienia dusz przez swe zdradzieckie i czarnoksięzkie sztuki. Wieszczby i gusa, o których mówi mędrzec Pański, nie są przeto inwencyą ludzką, lecz czysto dyabelską.

Uważałem, że nie skończyłbym do wieczora téj teologicznej dysputy z księdzem Krukowieckim, więc udałem, jakoby wcale nie dosłyszał ostatniéj jego protestacyi. Tymczasem dopomogła mi do zakończenia rozmowy z księdzem pani podskarbina Zamoyska, zapytując o dalszy cel mojej podróży. Odpowiedziałem, jako mam ważne polecenie od JMPana hetmana do Drozdowic i Oleszyc, że zatém pożegnana się z wojewodą wołyńskim w Zamościu, skoro tenże wyruszy w dalszą podróż do Świecia. Następnie rozmawiałem wiele z tą damą o panu Sieniawskim i o całej jego rodzinie. Powiedziała mi podskarbina, że wojewoda bełzki żyje teraz w najlepszej przyjaźni z żoną, ale że wielka jest dyfidencya między nim a panami Potockimi, szczególniej łowczym koronnym, który dopomina się gwałtem wypłacenia mu w gotowiznie posagu, wojewoda zaś chce ziemskimi spłacić go majątnościami; powtarzała nam przytém pani Zamoyska różne rozmowy JMPana Sieniawskiego z żoną i szwagrem. Wiadomość o kłótniach wojewody bełzkiego ze szwagrem, dobrą jest wróżbą dla naszój to jest dla pana chorążego sprawy, bo łowczy koronny przeszkadzał najhianiebniej do zgody.

Pod koniec obiadu gawędziliśmy żwawo i wesoło o różnych ludzkich intrygach i akcyach; była tóż mowa i o wnuku JMPana hetma-

¹⁾ Strzeżcie się zawierzać snom, wieszczbom i oszustwom.

na W. kor., Stanisławie Leszczyńskim staroście odolanowskim, który jest wielce rozumnym i obyczajnym kawalerem; powrócił niedawno z Rzymu i prezentował się na królewskim dworze.

Tandem po skończeniu obiadu, podskarbina rozmawiała konfidencyjnie i długo na stronie z JMPanem Jabłonowskim, ten zaś był sens ich dyskursów, że wojewoda prosił o rękę panny Maryanny dla brata ciotecznego, na co odpowiedziała mu pani z wielkimi komplementami, jako nic nie ma przeciwko temu projektowi, bo estymuje tak zącą koligacją i wysokie *merita* JMPana Jerzego, ale prosi ażeby zaczekał, bowiem panna jest jeszcze zbyt młoda.

Ostatek dnia spędziliśmy na rozmaitej zabawie; przed wieczera przygrywali nam muzykanci na chórze, potem podskarbina z wojewodą wołyńskim, ja zaś z JMPanem Gnińskim, graliśmy w karty.

Nazajutrz rano oglądaliśmy skarbiec, zbrojownię i aptekę, o której sama podskarbina osobiwie ma staranie. Około południa pożegnaliśmy panią Zamoyską, jej córkę i brata, poczem wyruszyliśmy w podróż; ja z poleceniami pana hetmana do Drozdowic, zaś wojewoda wołyński na Warszawę do Świecia.

XVIII.

Relacja księdza Perkiewicza z podróży do Drozdowic i Oleszyc.

Jechałem do Drozdowic na Mościska wraz z Leśnikowskim towarzyszem, który zabawiał mnie w drodze różnemi dyskursami o wojsku, o husarskiej chorągwi i towarzyszach, przyczem wywodził, jako ci pokrzywdzeni są srodze, odkąd nie mają głosu w wojennej radzie ani też wolnej elekcji poruczników; nadto reprezentował mi jak wielkie jest nieukontentowanie w wojsku, z powodu niewypłacanego żołdu: w końcu konkludował z owych racyj, że wojsko pójdzie pewnie do związku i słusznej zapłaty gwałtem dopominać się będzie. Ale mój towarzysz husarskiej chorągwi zapijał często w trakcie tych dyskursów, nie wiem czy z frasunku czy też dla odwilżenia gardła, owóz równo z wieczorem upił się już haniebnie i przywozłem go prawie w półumarłego na noleg do Tomaszowa.

Nazajutrz reprezentowałem towarzyszowi, jak fatalny wczoraj spotkał go *casus*. Odpowiedział mi, jako utraśnięny okrutnie konną jazdą z Mościsk do Zamościa, dostał parcia w boku, które wypędza się jeno trunkiem, więc zażył tego lekarstwa i skutkowało wybornie. Prosiłem go, aby nie bardzo kosztował tych leków w Drozdowicach i Oleszycach, bo obawiałem się, aby mi nie wyprawił burdy, jak to trafia się zwyczajnie przy zagrzanej trunkiem i obałamuconej głowie. Atoli skoro przyjechaliśmy do Mościsk, przekonałem się, że towarzysz nie nie zważa na moją przestrożę, bo uraczył się tam powtórnie, a co gorzej, hałasował okrutnie i pobił hajduka i rajtara. Widząc tak szaloną Leśnikowskiego akcyą, podziękowałem mu za jego usługi i nie

chciałem z nim jechać do Drozdowic. Ale haniebnie uparty towarzysz, powiedział że nie może odstąpić mię w tęj podróży, wywodząc racya z polecenia hetmana, który kazał mu asystować mi wszędzie. Napróżno protestowałem, przekładając, że asystencya jego nie na wiele przydać mi się może; nadto, że obawiam się nowęj i równie szalonej jakięj imprezy, skoro ochoczą do trunku obałamuci głowę. Odpowiadał na wszystkie przełożenia moje, że zachowa się odtąd uczciwie i skromnie, zatem błagał i napięrał się najusilnięj, ażebym dozwolił towarzyszyć mu w podróży. Przemozony takowemi prośbami, przystałem w końcu, i powtórnie wyruszyłem z nim w drogę.

Na drugi dzień po wyjeździe z Mościsk, stanąłem w Drozdowicach przed wieczorem. Tam pozdrowiłem najprzód panią wojewodzinę kijowską. Opowiedziałem w krótkich słowach o celu mojęj podróży i negocyacyi, jakotęż oddałem list od JMPana Marcina Kątskiego, sławnego generała artyleryi, któregó rozum i męstwo podziwiał pod Wiedniem cały świat chrześciański. Wojewoda powitał mnie *cum summa bonitate* i wypytywał się najprzód o zdrowie pana hetmana, potęm dyskurowaliśmy obszernie o sprawie publicznej i o złęm zdrowiu króla J. M. Zacny senator i generał opowiadał mi między innemi o osobliwęj imprezie pana łowczego koronnego, który podczas pobytu w Warszawie, molestował długo króla, aby mu dał komendę nad wojskiem, z którem chciał wyruszyć do Wołoch w intencyi posadzenia na gospodarstwie królewicza Jakóba. Król J. M. roześmiał się z szalonej intencyi łowczego i powiedział: „Widzę, że nie skorzystałeś waszmość z przykładu imiennika twego, który ongi za króla Zygmunta III przypłacił podobnie szaloną imprezę okrutną klęską i życiem, pod Sasowym Rogiem. Ztąd podwójna dla waszmości nauka: 1^o że oręż dobyty nie w porę, samobójczęm staje się narzędziem; 2^o że jedna zdrowa i mądra rada nieraz więcj przydatną jest krajowi, niż tysiące rąk zbrojnych żelazem bez steru i bez głowy.”

Tandem po długich dyskursach z wojewodą, udałem się powtórnie do JMPani wojewodziny, która przeczytała uważnie list JMPana hetmana wielkiego kor. i dała mi odpowiedź czyli informacyą względem traktatów w Oleszycach, w której ten punkt był główny, ażebym najpierw rozmówił się z panią Sieniawską, i nie wdawał się poprzednio w kofidencyonalne dyskursy z jęj mężęm, z dwóch mianowicie racyi: 1^o że wojewoda beżki jest *hostis capitalissimus Jesuitarum* 1) 2^o że trzeba z nim układać się powoli i ostrożnie, jakoż zagadniony niespodzianie, mógłby wybuchnąć gniewem i zaprotestować przeciwko wszelkim układow. Nadto, co do pierwszego punktu, tak jejmość wywodziła swe racye: Jesteś waszmość, Ojczę Janie Jezuitą, wiesz więc zapewne jako *societas* wasza, obok żarliwych przyjaciół liczy wielu zawziętych wrogów. Nie wąpię tęż że pamiętasz Ojczę, długie procesa s. p. ojca wojewody beżkiego z wami, w których apelowaliście do Rzymu i tam

1) Wrogiem największym Jezuitów.

przegrali sprawę; ale ztąd pochodzi inwidya syna, który nie dopuszcza żadnego *ex societate Jesu* na kapelana do swojej żony.

— Wiem o tém wszystkiém—odpowiedziałem—choć nie rozumiem dlaczego wojewoda bełzki gniewa się na zgromadzenie nasze, które jawnie upominało się o swe prawa do legowanego testamentem majątku; nadto, nie ma już racji do gniewu, skoro ojciec jego wygrał sprawę, on zaś odziedziczył po nim rzeczzone dobra.

— Jakiekolwiek mogą być racje niechęci ku wam wojewody bełzkiego—rzekła JMPani Kątska—radzę Ojczu Janie, ażebyś postępował ostrożnie i wymiarkował pierwój, jaki jest umysł Jegomości, nim przystąpisz do reprezentowania mu próby JMPana Jabłonowskiego.

— Usłucham z winną *missivą* rady WMPani wojewodziny, jakoż przyjechawszy do Oleszyc, udam się natychmiast z prośbą o instancją do JMPani Sieniawskiej, proszę jeno WMPani o listowną rekomendacją i protekcją.

— Jeżeli chcesz koniecznie, napiszę list Ojczu Janie, choć imię tak poważnego kapłana jest dostateczną rekomendacją dla pani Sieniawskiej, która estymuje wysoko stan duchowny i nie zważając na męzowską inwidyę, jest osobiwą protektorką Ojców Jezuitów.

Temi słowy zakończyła ta wielka dama kofidencyonalną zemną rozmowę, poczem na sutym znajdowałem się bankiecie, na który zjechało się mnóstwo gości do Drozdowic, więc aż do późnej nocy zabawialiśmy się w gry różne i nieprzegadane dyskursa.

Nazajutrz rano wyjechałem poinformowany dokładnie do Oleszyc.

Skoro o godzinie poobiedniej stanąłem przed oleszyckim zamkiem, wyprawilem natychmiast towarzysza Leśnikowskiego z listami hetmana W. K. i komplementami do JMpani wojewody bełzkiego, sam zaś udałem się do JMpani Sieniawskiej z instancyonalnemi listami za chorążym od brata jego i od wojewodziny kijowskiej. Znałem wojewodzinę bełzką jeszcze panną w domu jej ojca, oraz widywałem często we Lwowie jako też w Żółkwi i Olesku, na dworze króla JM. Owóż pani ta powitała mię wielce łaskawie, wzięła z rąk moich listy i wyznaczyła audyencyą wieczorem. Tymczasem rozkazała jednemu z dworzan, ażeby mię odprowadził do gościnnój komnaty. Pokłoniwszy się tedy Jejmości, udałem się za przewodnikiem na drugie piętro, gdzie przez wązki i ciemny korytarz dostałem się do przeznaczonego mi pokoju. W końcu korytarza po jednej i drugiej stronie były gościnne komnaty, dowiedziałem się też od dworzanina, że w sąsiedniej izbie gościł młody starosta spiski, niegdyś mój *discipulus* z kolegium lwowskiego, ale wielki nieuk i bałamut, którego ojciec wysyłał na peregrynacją do obcych krajów, lecz powrócił do domu z dziwniejszemi jeszcze fantazyami.

Skoro nadeszła godzina wyznaczona na audyencyą, udałem się do pokoju JMpani Sieniawskiej. Wspaniała ta i urodziwa dama, w głębokiej pogrążona medytacyi, siedziała przed stołem, na którym dwie woskowe palify się świeciły; kiedy mię spostrzegła, podniosła głowę,

uśmiechnęła się łaskawie i wskazała miejsce obok siebie na krześle, potem w ten sens rozpoczęła rozmowę:

— Odczytałam uważnie listy z prośbą za panem chorążym, jakkolwiek zbyteczne są te instancje do mnie, bo jak zawsze tak i dziś jestem wierną przyjaciółką domu Jabłonowskich; nie omieszkałam też pracować nad przywróceniem dawnego afektu w umyśle męża dla rodziny JMPana hetmana w. k. I dziś więc starałam się wyrozumieć, jak przyjmie mąż mój nową propozycyą zgody. Wszakże nie mogę ukrywać przed tobą Ojcze, że za ponysłny obrót konkurów wcale nie ręcę, mianowicie z dwóch racyi: najprzód, że mąż mój zarzuca zawsze chorążemu, jakoby nie szanował jego opiekuńczej władzy; powtóre, że krewni moi, panowie Lubomirscy, rozmaite na rękę panny Teofili podsuwają projekta.

— Słyszeliśmy o tём, miłościwa pani, ale mówiono nam również, że panna Teofila nie przyjęła propozycyi panów Lubomirskich, oświadczając JMPanu wojewodzie, że za nic w świecie nie odda ręki p. Franciszkowi Lubomirskiemu.

— Tak jest, zaprotestowała Tosia najsolenniiej przeciw projektowanemu małżeństwu z p. starostą olsztyńskim, ale z tём wszystkiem nie ma końca swatom, bo przyjechał do Oleszyc nowy konkurent, starosta spiski, z instancyonalnemi listami mojego stryja, podskarbiego wielkiego korounego.

— Więc prawdą jest, co słyszeliśmy we Lwowie, że starosta spiski stara się o rękę wojewodzianki?—rzekłem poturbowany tą wiadomością, i dodałem po chwili: widzę że JMPan podskarbi, stryj WMPani chce gwałtem odsadzić chorążego od panny?

— W istocie—odparła pani Siemawska—stryj mój podsunął nowego konkurenta, za zezwoleniem mojego ojca; ja tylko jedna nie biorę udziału w układach, więc nie dowierzają mi i konferują między sobą sekretnie. Wiedzą najprzód: że jestem przyjaciółką panów Jabłonowskich i królowej Jejmości, pragnącej serdecznie widzieć skoligacone dwa znaczne domy, w osobach chorążego i wojewodzianki. Nadto ukrywali długo negocyacyą przedemną dlatego, że kocham Tosię jak rodzinną siostrę, zatem obawiali się, abym nie wygadała się przed nią zawczasie i nie przypominała jój danego chorążemu słowa.

Odebrawszy z ust zacnej damy tak wyraźny i nowy dowód jój szczerzego i stałego afektu dla domu JMPanów Jabłonowskich, oświadczyłem, że również hetman w. kor. jakoteż syn jego najstarszy, wojewoda wołyński, uważają ją jako najlepszą i jedyną protektorkę; zaczęm wspominałem o niezmiennem przywiązaniu chorążego do panny Teofili i zapytałem, co było istotnym powodem suspicyi i niesprawiedliwego zarzutu, jakoby p. Aleksander Jabłonowski starał się o łaskę panny podskarbianki Zamoyskiej.

— Autorem wieści o tych swatach jest łowczy koronny...—odpowiedziała pani wojewodzina, i po chwili dodała—domyślałam się odrazu fałszu tego zadania i starałam się uspokoić paunę, ale napróżno,

bo Tosia dotąd jest zasmucona srodze i powątpiewa czasami o stałości chorążego.

— Sądzę, że uspokoję obawy panny, skoro zaręcę kapłańskim słowem, jako cała negocyacya w Zamościu dotyczy się swatów p. Jerzedo Dzieduszyckiego i że nikt nie miał nawet *in mente* żenić p. Aleksandra Jabłonowskiego z panną Zamoyską. Ale wracając do głównego punktu terażniejszej negocyacyi, upraszam miłościwą panią o doradzenie sposobu, według którego mam konferować z JMPanem wojewodą, jej mężem?

— Odebrawszy listy z rąk waszych, Ojczy Janie, udałam się natychmiast do komnaty męża. Znając gwałtowność jego animuszu, przygotowałam się do groźnego wybuchu gniewu lub wymówek, zatem przełożyłam mu ostrożnie cel przyjazdu WMości do Oleszyc i wspomniałam o tajemnym liście, który ś. p. starosta żytomirski oddał chorążemu przed skonem. Zaledwie zakończyłam tę krótką przedmowę, okrzyknął się mąż mój w gniewie: próżna fatyga ks. Perkiewicza i próżne są panów Jabłonowskich instancye; nie wydam siostry za chorążego, jeżeli zaś panna trwać ciągle będzie w dawnym uporze, oddam ją do klasztoru! Nie zraziłam się atoli tą odpowiedzią, lecz czekałam cierpliwie, aż pierwsza przeminie burza; poczem reprezentowałam mu poważnie, jak niedyskretnie postąpi, jeśli odmówi wam, Ojczy Janie, audyencyi lub nie odpowie przyzwoicie na list hetmana w. kor. Następnie starałam się zaostrzyć ciekawość Jegomości tajemnicą listu, który konający starosta żytomierski wręczył chorążemu. Otóż wysłuchawszy spokojnie mych racyi, medytował dość długo i w końcu powiedział: „dobrze, rozmówię się z księdzem i wysłucham jego legacyi: powiedz mu, niech przyjdzie do mnie i przyniesie ten list sekretny ś. p. starosty.”

Ten był sens dyskursu JMPani Sieniawskiej z mężem, według jej własnego opowiadania. Przestrzegając mnie zatem ta zacna dama, abym mówił z wojewodą ostrożnie, nie obrażając nikogo, mianowicie podskarbiego; jakoteż abym nie wspominał nic o swatach panów Lubomirskich, co mogłoby sprawić nieukontentowanie Jegomości i pogorszyć interes chorążego.

Tandem tak poinformowany, udałem się na audyencyą do p. wojewody bełzkiego, który oczekiwał już na mnie w swój kancelaryi, odpowiedział grzecznie na mój komplement, poczem posadził mię obok siebie i prawł w ten sens poważnie:

— Przeczytałem z miłą chęcią list JMPana hetmana w. kor., na który jutro zrana wygotuję odpowiedź. Słyszałem od żony mojej o celu legacyi WMPana, jakoteż o instancyonalnych listach pani wojewodziny kijowskiej i pana wojewody wołyńskiego za bratem. Owóż nie chcąc długo dyskutować w tej materyi, powiem WMksiężu Janie krótko i szczerze. estymuję wielce przyjaźń zacnych domów i koligacyą z JPanami Jabłonowskimi, ale nie podoba mi się zmienny humor chorążego, od którego nie jeden spotkał mię już afront; zresztą mam inne jeszcze ważne przyczyny, dla których nie mogę zgodzić się na to małżeństwo.

Usłyszawszy tak przykrą i decydującą odpowiedź z ust JMpana Sieniawskiego, zmieszałem się okrutnie i zapomniałem, jak to mówią, języka w gębie. Tak więc przez kilka minut trwało milczenie, aż ochłonąłem z niemiłego wrażenia, i pierwszy zagadnąłem:

— Przepraszam najpokorniej, że osmieleg się miłościwemu panu, reprezentować rzeczywisty cel méj legacyi...

— Nie fatyguj się próżno WMksiężu Janie, i nie reprezentuj mi celu, który znam wybornie—wtrącił cierpko wojewoda, ale i tym nie zrażony argumentem, postanowiłem dokończyć rzecz rozpoczętą, więc tak mówiłem dalej:

— Istotnym celem méj legacyi jest przebłaganie gniewu miłościwego pana, w imieniu chorążego, który żałuje srodze za dawne błędy i błaga z pokorą o przebaczenie; jakoż ze skruszoném sercem wyznaje grzechy, które WMpan zaliczyć raczysz na karb krwi jego gorącej, młodej i niedoświadczonej głowy.

— Nie mów mi WMpan o skrusze chorążego, bo znam się dobrze na tych farbowanych lisach i nie wierzę żadnym obietnicom. Zawiodłem się już srodze na jednym szwagrze, za którym brat jego, ks. Teodor, wnosił instancją, ale drugi raz nie dam wyprowadzić się w pole. Odpowiem więc krótko, że nie wydam siostry za chorążego, jakoż dowiodł nieraz, że za nic waży moję *auctoritatem*, ale wybiorę takiego dla niéj męża, który z winną powolnością i submisją starać się będzie o jéj rękę.

Powiedziawszy to, wstał wojewoda bełzki z krzesła i zaczął przechadzać się po komnacie wielkimi krokami, jak gdyby chciał okazać, że dał mi już *ultimatum* i nie myśli rozprawiać dłużej w téj materji. Rozwazałem tedy, czy mam ostatniego chwycić się sposobu i pokazać mu ów list sekretny, czy téż inne jeszcze mam reprezentować racye. Owóż namyśliwszy się dobrze, nowego użyłem fortelu, mianowicie, przypuściłem szturm ze strony koligacyi JMpana chorążego; wypowiedziałem zatém jak królowa Jejmość gorąco pragnie związku dwóch wielkich domów, reprezentowanych w synie i córce dwóch sławnych hetmanów, towarzyszków i przyjaciół króla JM, z których jeden połączył się już z nią związkiem krwi przez małżeństwo JMpana wojewody wołyńskiego.

Wysłuchał wojewoda bełzki méj oracyi, ale trwał ciągle w pierwszój rezolucyi, bo niebawem odpowiedział:

— Mówiłem już Ojczy, że estymuję koligacyą z domem panów Jabłonowskich, tak dla wysokich osobistych merytów hetmana w. kor., jakotéż z powodu pokrewieństwa z królową Jejmością; ale nie zmienię zatém postanowienia względem małżeństwa siostry, na którą inne wcale układam projekta.

Orzymawszy drugą tak niefortunną odpowiedź, wyraziłem žal wielki z powodu zawiedzionych nadziei p. hetmana wielkiego dobrodzieja mego, poczem wyjąłem list z kieszeni i wręczając wojewodzie, rzekłem:

— Teraz pozostaje mi tylko spełnić ostatecznie polecenie i oddać WMPanowi wojewodzie list, który ś. p. starosta żytomierski powierzył chorążemu.

Skoro JMPan Sieniawski rozłamał pieczęć listu i rzucił nań ciekawym okiem, zauważył nagłą zmianę w jego obliczu. Odwrócił zdziwiony kartę, spojrzął na podpis, poblaskł, zawołał drżącym głosem: „Tak, to jest list ś. p. ojca mojego, pisany pod Lubowlą, zapewne na parę dni przed skonek.”

To powiedziawszy, usiadł wojewoda na krześle, jakby nagle gwałtownie osłabiony wzruszeniem, głowę wsparł na dłoni i rzekł łagodnie:

— Siadaj Ojczy i posłuchaj tego tajemniczego listu—potem czytał dobitnym głosem:

„Ostatnia moja wola czyli suplement do testamentu.

„Chociaż wybierając się na wojnę, napisałem i pozostawiłem w domu testament, w którym poleciłem duszę moją Wszchemogącemu Bogu, wszystkim Świętym i Aniołom Stróżom, jako też uczyniłem dyspozycją majątku, którego dziedzicem nazaczyłem jedynego syna Adama, włożywszy nań obowiązek opieki i wyposażenia siostr młodszych Anny i Teofili; atoli ciężką obecnie dotknięty niemocą, czując zbliżającą się godzinę śmierci, piszę ten *additament* i składam w ręce JMPana Granowskiego starosty żytomierskiego, rotmistrza ussarskiej chorągwi, przytomnego temu aktowi. Znana jest światu całemu przyjaźń łącząca mnie z domem JMPana Jabłonowskiego hetmana wielkiego kor., który jak zawsze tak i w tej potrzebie najszczerze i wielokrotnie dawał mi dowody swego afektu. Owóż pragnę gorąco, ażeby przyjaźń nasza nie skończyła się z tym doczesnym życiem, lecz aby też i po śmierci jawne onej pozostały dokumenta. Ta więc ostatnia jest moja wola, którą pod błogosławieństwem zalecam synowi, ażeby starał się zawżdy o zachowanie ścisłej przyjaźni z domem JMPana Stanisława Jabłonowskiego i o utwierdzenie tego związku, przez wydanie jednej z siostr, a córek moich, Anny lub Teofili za jednego z synów tegoż JMPana Jabłonowskiego hetmana, o ile to zgadzać się będzie z wolą Wszchemogącego Boga i nie zajdą jakie nieprzewidziane przeszkody. Składając akt ten w ręce JMPana Granowskiego, obliguję go najmocniej aby za powrotem do kraju, oddał memu synowi.”

Przeczytawszy ostatecznie słowa listu, zdawał się wojewoda medytować głęboko, patrząc pilnie na podpis ojcowskiej ręki, poczem rzekł zwolna podnosząc głowę:

— Autentyczność dokumentu nie podlega żadnej wątpliwości, a przecież ta akcja starosty żytomierskiego dziwną jest dla mnie zagadką... Czemu bowiem nie oddał sam ostatecznie ojca mojego woli? Czemu dopiero przed skonek powierzył ten dokument chorążemu? Dziwne to jest *mysterium* i nie zbadane, skoro pieczęć śmierci zamknęła już jedyne-mu powiernikowi usta...

To powiedziawszy zwiesił JMPan Sieniawski głowę i wpatrywał się znów w ojcowskie pismo, jakby odczytywał powtórnie.

Postanowiłem skorzystać z téj nagłej zmiany humoru jegomości i rzekłem do niego w ten sens:

— Trudno dziś zapewne odgadnąć ś. p. starosty racją, dla której zatrzymał u siebie dokument ostatniej woli ś. p. ojca miłościwego pana i sam nie oddał do rąk jego, skoro z wyprawy wiedeńskiej powrócił do kraju. Wszakże supponuję, że różne być mogą téj akcyi przyczyny, mianowicie: że ś. p. starosta nie zawsze równie szczerym był przyjacielem i świeć Panie nad jego duszą, nie zawsze nieboszczyk prostą lubił postępować drogą; więc dopiero przed skonem poruszyło go sumienie i oddał ten list chorążemu w chrześciańskiej intencji dopomożenia mu do przeblągania urazy miłościwego pana....

— Opóźnił się z tą przysługą ś. p. starosta—odrzekł na mój argument pan Sieniawski poważnie i dodał:

— Tak jest, Ojczy Janie, świętą jest dla mnie wola ojca i dobroczyńcy jego i wyznam szczerze, że chociaż nie zasłużył chorąży na łaskę i aprobacyą, może odpuściłbym mu wszelkie winy i zgodził się na małżeństwo, gdyby innych nie było dziś przeszkód, dla których nie mogę mu oddać Tosi.....

Wyrozumiałem że nastąpiła przyjazna pora do traktowania o zgodę, więc nie zwlekając zagadnąłem:

— Przeszkody, o których miłościwy pan wspomnieć raczył, może jeszcze usunąć się dadzą; tymczasem ręczę za to, że JMPan chorąży gotów jest poczekać jak najdłużej, skoro mieć będzie nadzieję, że afekt jego dla panny przyjaznej doczeka się rezolucyi.

Wojewoda na to odpowiedział:

— Przeszkody, Ojczy Janie, do tego małżeństwa są znaczne i bardzo znaczne, bo dałem już podskarbiemu wielkiemu kor. słowo.

Tu nagle zatrzymał się JMPan Sieniawski, ale i z tych słów kilku mogłem domyślić się łącno, że przeszkadza panu chorążemu protegowany przez panów Lubomirskich konkurent. Nie uważałem stosownej chwili do dalszej protestacyi, jakoż postanowiłem odłożyć układy nasze do późniejszego czasu; teraz zaś namyślałem się nad ostatnią sentencyą, chcąc zakończyć dysputę politycznie i grzecznie.

Wojewoda wyprowadził mię z kłopotu mówiąc:

— Powiedziałem już, jako wygotuję jutro list z odpowiedzią na łaskawe pismo JMPana hetmana wielkiego kor. Proszę zaś Ojczy Janie, opowiedz ustnie o woli ś. p. ojca, czyli o supplementie do testamentu, w którym zaleca tenże ś. p. ojciec mój i dobrodziej, ażebym starał się o utwierdzenie dawniej przyjaźni, łączącój dom nasz z domem JMPana hetmana wielkiego kor. Owoż oświadczyć również WMOjczy Janie, jako pamiętną mi zawsze była taż przyjaźń i z miłą chęcią gotówbym nowe złożyć dowody niekłamane go afektu. Ale co dotyczy się żądania pana chorążego, nie mogę żadnej czynić obietnicy, będąc komu innemu danym związany słowem, dopóki interesowana strona nie zrzecze się dobrowolnie wszelkich pretensyj.

To powiedziawszy skinął ręką wojewoda na znak ostatecznej decyzji, bo czém poprowadził mnie do jadalnej komnaty, gdzie zastawiona czekała już wieczerza. *Notandum*: idąc ze mną do stołu, opowiadał mi pan Sieniawski o wielkiej kłótni z łowczym koronnym, który hardo domaga się w gotowiźnie posagu i grozi, że pozajeżdża jego dobra. Ten argument łowczego z osobliwym gniewem powtórzył wojewoda i tak rzecz swą zakończył:

— Odpowiedziałem panu szwagrowi, że nie ulegnę się tych pogroźek, bo i ja zajechać mu potrafię... więc niech lepiej uda się w pokorę i przyjaznej czeka rezolucyi.

Tandem zasiedliśmy do uczyty, na której był obecny i pan starosta spiski. Gospodarz rozochocił się przy wieczerzy, bo rozprawił wiele i wesoło. Uważałem nadto, że młody starosta gorąco konkuruje o pannę, bo patrzył na nią ciągle, jak gdyby ją chciał oczarować oczami; przytém akomodował się okrutnie wojewodzie, śmiał się z conceptów i podziwiał każdą jego sentencyą. Ale panna Teofila była smutna, nie odzywała się wcale i unikała wzroku kawalera. Wojewodzina widocznie niezadowolona była z konkurów JMPana starosty i jawną okazywała mu dyfidencyą. Po wieczerzy skinęła jejmość na mnie i zażądała relacyi dyskursu z mężem. Opowiedziałem pokrótce treść listu i główny sens rozmowy mojej z panem wojewodą. Potém dyskurowałem na stronie z panną Teofila i reprezentowałem fałsz onęj kalumnii, jakoby JMPan chorąży stroił koperczaki do panny Zamoyskiej. Tymczasem starosta spiski zabawił się z panem Leśnikowskim, którego upodobał sobie wielce, bo pił z nim przez całą wieczerzę; potém dyskurował z nim *familiarissime*. *Notandum* i to jeszcze, że JMPan wojewoda żywą tego wieczora wiódł rozmowę z żoną, jak zaś domyślam się w materyi konkurów chorążego i koligatów panów Lubomirskich; zresztą niezaszło nic godnego uwagi, ja zaś jak mogłem najwcześniej pożegnałem gospodarstwo i pannę, i udałem się na spoczynek, haniebnie bowiem wstrząśniony byłem podróżą, utrudzony ukłonami i komplementami.

Kiedy wszedłem do przeznaczonęj mi komnaty i zabierałem się do spania, usłyszałem szelest za drzwiami w mieszkaniu JMPana starosty spiskiego. Przyłożyłem ucho do drzwi, atoli poznałem głos towarzysza p. Leśnikowskiego dyskurującego ze starostą w materyi mojej negocyacyi i konkurów chorążego, o ile zaś mogłem usłyszeć, ten był sens ich rozmowy, że nowy ten konkurent chciał wybadać wszystkie sekreta domu panów Jabłonowskich, więc zadawał tysięczne pytania Leśnikowskiemu, mianowicie co do stosunków z wojewodą betzkim, poczem taką uczynił propozycyą:

— Chcesz Wmość zostać moim przyjacielem i otrzymać sowitą nagrodę, donoś mi o wszystkiém cokolwiek usłyszysz o konkurach chorążego, jako téż o pannie, o której jak najczęstsze masz mi zdawać raporta.

— Gotów jestem służyć wiernie miłościwemu panu, ale chciałbym wprzód wiedziéć, dokąd mam przysyłać raporta?— zapytał Leśnikowski, na co starosta odrzekł:

— Pisz waszmość do Rzeszowa, pod adresem JMPana podskarbiego wielkiego kor. Ale skoro wyrozumiesz, że nie dopomogą mi już wcale swaty i starania krewnych i przyjaciół, wtedy stawisz się osobiście przedemną, a ja dam inną instrukcją, bo bądź co bądź muszę otrzymać pannę.

— Wykonam wiernie rozkazy miłościwego pana, ale upraszam o informację, jak mam postąpić w razie, jeżeli wojsko wypowie posłuszeństwo hetmanom i ustanowi związek?

— I w takim razie stawisz się waszmość po odebraniu nowój instrukcyi, bo wtenczas właśnie usługa i pomoc waszmości najpotrzebniejszą mi będzie...

Długo potem rozmawiali pocichu, ale kontynuacyi dyskursu dośłyszeć już nie mogłem, prócz tych słów tylko starosty spiskiego:

— Widzę że jesteś waszmość zręczny i chętny do posługi, pamiętaj więc abyś mnie nie zawiódł, mianowicie jeżeli do projektowanej przyjdzie imprezy...

Owóz z podsłuchanej rozmowy konkludowałem: 1-mo, że pan starosta spiski wielkim zapalił się apetytem do panny, 2-do, że pan Leśnikowski jest człekiem bez czci i bez wiary, zdrajcą domu panów Jabłonowskich, od których odebrał liczne dobrodziejstw dokumenta.

Taki był rezultat obserwacyi i dyskursów moich w Oleszycach. Nazajutrz wybierałem się w podróż z powrotem do Lwowa. *Notandum*, że JMPani Sieniawska powiedziała mi przy pożegnaniu, że interes domu panów Jabłonowskich nie źle się dziś układa, zatem kazała pocieszyć chorążego i zalecić mu ażeby nie tracił serca, lecz fortunnego oczekiwał końca.

XIX.

Kiedy ksiądz Perkwicz negocyował w interesie chorążego w Oleszycach, wojewoda wołyński gościł w Warszawie, z kąd częste robił wycieczki do Willanowa, gdzie odwiedzał chorego króla i królową, która wielce okazywała się przychylną dla całego domu Jabłonowskich. Smutny był widok dworu królewskiego. Zdrowie Jana III pogorszało się z dniem każdym widocznie, czuł on zbliżający się kres żywota, nie mając téj jedynej pociechy, którą wlewa w serce umierającego widok rodzinnego szczęścia: trapiła go myśl o przyszłym wątpliwym losie żony i dzieci.

Jan Jabłonowski podczas pobytu w Warszawie, badał usposobienia i zamiary osób otaczających stopnie królewskiego tronu, ale przekonał się o wielkiej obojętności dla króla i całej jego rodziny. Niepospolite zastugi bohatera, jednego z najdzielniejszych obrońców chrześcijaństwa, zacierały się prędko w zmiennych sercach i umysłach ludzi, którzy z upodobaniem w słońcu nawet dostrzegają plamy. Czyniono liczne monarsze zarzuty, częstokroć z najfałszywszego pochodzące źródła lub nie zastugujące na uwagę; odgrzebywano nakoniec drobne szczegóły

z domowych stosunków króla, które rzuciły cień na jego osobistość. Ale w obecnej chwili oczy wszystkich zwrócone były na dwie osoby odgrywające główne role na widowni publicznej, to jest na królewicza Jakóba i księdza Melchiora Polignac'a, posła francuzkiego. Jak jeden tak drugi przygotowywali się w ciszy do mającego się rozwinąć dramatu, w epoce bezkrólewia. Książę Polignac oczekiwał spokojnie nadejścia chwili, w której miał wystąpić z kandydaturą księcia francuzkiego, korzystając z niesnasek w rodzinie króla polskiego. Nie rachował on na sympatyę narodu dla synów Sobieskiego, znał zaś wpływ potężny nieprzyjaciół domu królewskiego; więc uprzedzając wolę i rozkazy swego monarchy, rozpoczął już z nimi potajemne układy.

Królewicz Jakób otoczył się gronem przyjaciół, na których pomoc najwięcej rachował, przemyślał o nagromadzeniu skarbów i obliczał zawczasie spuściznę ojcowską.

W ostatnich dniach miesiąca maja, około godziny 5 po południu siedział pogrążony w zamyślach królewicz, w jednej z komnat pałacu Ujazdowskiego, oczekując na przybycie poufanych gości, którzy odwiedzali go zazwyczaj o tej porze. Królewicz był małego wzrostu, twarzy ściągłej o drobnych rysach, niebieskich oczach, szerokich ustach, zwartych częstokroć szyderczym uśmiechem. Niewieści wyraz jego oblicza nie świadczył wcale o rycerskich przymiotach, których jednak dał niezaprzeczone dowody w młodzieńczym wieku, walcząc przy boku ojca pod Wiedniem.

Skoro wszedł do komnaty Stefan Potocki łowczy koronny, jeden z najwierniejszych dotąd przyjaciół królewicza, tenże pozdrowił go temi słowy:

— Już od dwóch godzin oczekuję z niecierpliwością na WMPana. Chcę pomówić konfidencyjnie w ważnej bardzo materji; więc obawiam się ażeby kto obcy nie przerwał naszej rozmowy, zwłaszcza że spodziewam się wkrótce przyjazdu kilku znacznych osób. Siadaj waszmość i powiedz mi najprzód czy byłeś dziś zrana w Willaunowie i czy widziałeś się z królem jegomością?

— Spotkałem JKMość w ogrodzie, gdzie przechadzał się oparty na ramieniu księdza Voty z jedną i królowej jejmości z drugiej strony. Spojrzał się tylko na mnie JKMość i pozdrowił mnie łaskawie, ale nie rozmawiał ze mną, bo widocznie osłabiony był okrutnie.

— Zapewne wielką dostrzegłeś zmianę w obliczu króla jegomości od czasu ostatniej audyencji?

— W istocie nie mogłem patrzeć bez łez i srogiego żalu na twarz JKMości, której śmiertelna bladeść i zapadłe w głąb oczy, nie długi pono wróżą już koniec....

— Tak jest, widzę z bólem mości łowczy, że z każdym dniem pogorsza się zdrowie ojca dobrodzieja mego. Wczoraj mówiłem o tém z żydem Jonaszem, który mi wyznał, że choroba jest ciężka i nie do wyleczenia, a choć kresu życia naznaczyć nie może, nie ma żadnej nadziei ażeby *status* ten potrwał długo. Toż samo utrzymuje mój medyk Wal-

deven, że organizm JKMości ojca mojego jest zrujnowany i że lada chwila grozi śmierć nieochybna. Owóż skoro tak smutny i opłakany nadchodzi moment, nie ma dla mnie mości łowczy żadnej konsolacji, bo gdybym odziedziczył nawet koronę, nie nagrodi ona nie powetowanej nigdy straty ojca i dobrodziejstwa mojego. Ale z drugiej strony przychodzi refleksya, że w tak ważnej chwili zbliżającego się bezkrólewia, nie godzi się opuszczać rąk folgując zbyt nie żalowi, zwłaszcza synowi królewskiemu, który jako jeden z pierwszych obywateli Rzeczypospolitej, najwięcej o zdrowie i całość kraju troszczyć się powinien.

— Nie powątpiewałem nigdy o wysokim animuszu W. Królewiczowskiej Mości, przekonany więc jestem, że WKMość w szczególnej mić będziesz pieczy sprawę osieroconej Rzeczypospolitej i nie zawiedziesz ufności życzliwych poddanych króla jegomości, którzy całą nadzieję pokładają w synie.

— Bądź pewien mości łowczy, że nie zawiodę zaufania przyjaciół, ale żądam nawzajem pomocy od osób, które mienią się być wiernymi sługami mojego ojca i domu. Wiész, że pryncypalna dziś siła leży w fortunie i pieniądzach. Myślę więc o zabezpieczeniu losu mego i przyjaciół, przez objęcie skarbów i pieniędzy, które się znajdują w królewskim zamku w Warszawie, w Żółkwi oraz w innych miejscowościach. W razie nieszczęśliwego *fatum* śmierci ojcowskiej, zajmę natychmiast zamek warszawski, jako najstarszy syn i opiekun młodszych braci. Ale jednocześnie, najwierniejszy z mych przyjaciół uda się z plenipotencją do Żółkwi, gdzie obejmie w moim imieniu wszystkie klejnoty i pieniądze. Nakazują mi tę przezorność następujące racye: nienawiść ku mnie królowej jejmości, któraby gotowa z krzywdą moją podzielić skarby i pieniądze pomiędzy siebie i młodszych synów; dalej intrygi nieprzyjaciół naszego domu królewskiego, którzy już za życia króla różne inwentują pretensye, zatem chcieliby zapewne położyć areszt na jego majątkach: ale głównie zabezpieczyć się muszę ze strony matki, która tak jawnie preferuje młodszych królewiczów. Owóż zamierzyłem WMPanu dać moję plenipotencją do Żółkwi, jeżeli zechcesz wyświadczyć mi tę usługę..

— Gotów jestem zawsze służyć W. K. M., ale zdaje mi się, że przygotować się wypada na mogące zajść przeszkody ze strony nieprzyjaciół W. K. M.

— Projekt mój jest tajemnicą dla wszystkich, nikt zatem prawdopodobnie przeskadzać nam nie będzie. Skoro pokażesz waszmość plenipotencją, opatrzoną moją pieczęcią i podpisem, spodziewam się, że wpuszczą cię do zamku. Następnie, życzeniem jest moim mości łowczy, aby jeden z poważnych dygnitarzy był świadkiem twój akcji i dopomógł w razie potrzeby. Rachowałem na wojewodę bełzkiego, ale dowiedziawszy się o kłótniach pomiędzy nim a waszmością, z racyi pono posagu, powątpiewam, czy mogę od niego spodziewać się tej usługi?

— Sądzę, że familijne nasze spory nie powinny stawać na przeszkodzie do wyświadczenia usługi W. K. M.; zresztą mam nadzieję, że pogodzę się wkrótce za staraniem przyjaciół z bratem mojej żony. Ale winienem ostrzedz W. K. M., że używając do rzeczonoego interesu woje-

wodę bełzkiego, trzeba zażyć koniecznie fortelu, z obawy, ażeby zawczasie nie wydał naszego sekretu.

— Więc sądzisz WMPanie Łowczy, że JMPan Sieniawski nie zasługuje na zaufanie i może zdradzić naszą sprawę?

— Nie, lecz może wygadać się przed żoną lub przed panami Lubomirskimi, więc radzę W. K. M. zawezwać go do Żółtkwi, nie wyjawiając przed nim dalszych naszych i sekretnych planów, o których dowie się dopiero, skoro już stanie na miejscu.

— Dziękuję za przyjacielską radę WMPanu—odrzekł z namysłem królewicz — ale zdaje mi się, że bezpieczniej w takim razie nie rachować wcale na wojewodę bełzkiego, lecz wezwać do pomocy kogo innego.

— Owszem, ośmielę się zaprotestować przeciw zdaniu W. K. M. Zważywszy, że wojewoda zawsze oświadczał się dotąd z przyjaźnemi sentymentami dla W. K. M., nastrecza się sposobność wypróbowania jego intencji i pozyskania dla naszej sprawy. Taką zaś na to podaje radę; udając się z plenipotencją W. K. M. do Żółtkwi, napiszę list do JMPana Sieniawskiego z wezwaniem, ażeby dążył natychmiast za mną, nie reprezentując mu żadnych racyi, lecz tylko oświadczając, że odda wielką usługę W. K. M. i na dozonną zasłuży wdzięczność. Jeżeli wojewoda bełzki stawi się na żądanie w Żółtkwi, to będzie dowodem życzliwości jego dla sprawy W. K. M.; jeżeli nie zechce przyjechać do Żółtkwi, znak to będzie odmiennego sentymentu lub nieprzyjaznych intencji. Ale i w takim razie poradzimy sobie bez jego pomocy.

— Niech i tak będzie, mości panie Łowczy; ale nie mówiliśmy jeszcze o jednej najpryncypalniejszej przeszkodzie, która nas spotkać może ze strony JMPana hetmana, jeżeli ten zechce trzymać stronę królowej jejmości. Owóż myślę wysłać do niego z listem i komplementem JMPana Marcina Chomętowskiego, polecę sprawę moją protekcji hetmana i zarazem poproszę, aby nietylko nie przeszkadzał WMPanu, lecz aby oddał mu na mocy swej władzy komendę w Żółtkwi.

— Słuszna jest przezorność Waszjej Królewiczowskiej Mości i najlepszy wybór w osobie wojewody bractawskiego, na którego wierną i gorliwą usługę najwięcej W. K. M. rachować możesz.

— W istocie, pan wojewoda bractawski jest najwierniejszym z moich przyjaciół: gdybym mógł takich naliczyć wielu, uważałbym sprawę moją już za wygraną.

— Spodziewam się, że W. K. M. i mnie zaliczać raczy do rzędu sług swoich wiernych. Zdaje mi się, że dowiodłem niektamanego afektu w niejednej już okazji; teraz zaś cieszę się, że nastrecza mi się sposobność złożenia nowego dokumentu. Jeżeli projekt nasz ułoży się po myśli i hetman odda mi komendę nad wojskiem, żadna nie zmusi mię siła do opuszczenia Żółtkwi, zanim wręcę W. K. M. klucze od zamku i skarbcza i powitam go tamże, jako prawego dziedzica majątków i następcę tronu.

— Stój, WMPanie łowczy! Nie nazywaj mię tak skwapliwie następcą ojcowskiego tronu. Prawda, że pragną mię wynieść niektórzy ośobiści przyjaciele, a nawet Cesarz Jegomość przyrzeka mi swą protekcyą; ale wielką i trudną mam jeszcze do przebycia drogę, mości panie łowczy—rzekł z uniesieniem królewicz Jakób.

— Jesteś W. K. M. najpierwszym kandydatem do korony, nie wątpię zaś, że nietylko na pomoc niektórych przyjaciół i protekcyą Cesarza Jegomości, ale i na przyjazne sentymenta całego narodu śmiało W. K. M. rachować możesz.

— Nie! WMPanie łowczy, nie łudzę się nadzieją.... Nie znasz widzę WMPan różnych i zmiennych przygód tego burzliwego morza, które wolną zowie się elekcyą. Wprawdzie synowie króla Zygmunta III zgodną wolą narodu wybierani byli na tron Piastów, ale od czasów elekcyi ostatniego z Wazów liczne i ważne nastąpiły zmiany. Michał Korybut Wiśniowiecki, ślepym trafem, w skutku kłótni różnych interesów i fakcyi, obrany został królem. Dziś, baczniej niż kiedykolwiek czuwają nad nami sąsiednie i dalsze dwory, zainteresowane w sprawie kandydata do polskiego tronu. Dziś więcej może niż dawniej naliczymy partyi, a każda na żołdzie innego pana, któremu wierniej służy niż własnej ojczyźnie. Powiesz waszmość może, że zasługi mojego ojca żyją dotąd w pamięci narodu; ale nie łudzę się równie tą myślą. Czyż szczupła garstka ludzi wdzięcznych i pamiętnych dobrodziejstw, zdoła mię wynieść na tron Rzeczypospolitej? Wiem, że głównym fundamentem powodzenia mojego może być protekcyja Cesarza Jegomości, aleć najwięcej znaczą pieniądze, bez których żadne protekcyje i starania nic nie pomogą. Przewiduję, że silni i możni wystąpią na przyszłą elekcyą współzawodnicy, których pokonać tylko można argumentem złota. Tak jest, WMPanie łowczy, przyszłość rodu Sobieskich, a może i przyszłość całego kraju zależy na tém, aby zabezpieczyć skarby mojego ojca przeciw chytrym zamachom złośliwych ludzi, którzyby radzi osłabić mój wpływ i znaczenie, przez wydarcie mi ojcowskiej fortuny...

Rozmowę królewicza Jakóba z powiernikiem Stefanem Potockim, przerwał w tój chwili głos dworzanina, który oznajmił przybycie nowego gościa, Jana Jabłonowskiego wojewody wołyńskiego. Łowczy usłyszawszy wymienione nazwisko wojewody, pożegnał natychmiast królewicza, który mu wyznaczył drugą audyencyą w dniu następnym, w celu ostatecznego porozumienia się w interesie zamierzonej plenipotencyi. Jabłonowski spotkał się w progu komnaty z łowczym, powitał go obojętnym skinieniem głowy, potém skłonił się królewiczowi, z którym, po odejściu łowczego, związał następującą rozmowę:

— Jutro wyjeżdżam do Świecia, przyszedłem więc pożegnać Waszą Królewiczowską Mość, ale zarazem chciałbym pomówić w nader ważnym interesie, dotyczącym się osoby W. K. M. i całego domu najmilszociwiej panującego nam króla.

— Wdzięczen jestem WMPanu za pamięć o mnie. Pożądaną mi jest zawsze przyjazna rada, ale najpożądanszą w obecnej chwili.

— W interesie najprzód ogólnym domu Jego Królewskiej Mości muszę ważne W. K. M. zakomunikować doniesienie. J. M. Pan Stamirowski podstoli halicki, zeniący się za instancją królowej Jójmości i moją z panną podkomorzanką Chodorowską, przywiózł bardzo ważną relacją z deputackich sejmików, na których badał z polecenia mego umysł szlachty.

Jabłonowski mówił wolno i zatrzymał się w tém miejscu, jakby namyślał się nad sposobem udzielenia synowi królewskiemu niemitéj wiadomości; ale zniecierpliwiony i zaniepokojony królewicz zawołał:

— Domyślam się, że niechętni ku nam ludzie, występują znów z pretensjami do króla.

— Wistocie, nieprzyjaciele Waszój Królewiczowskiej Mości przewidując skon blizki najmiłościwszego króla, najdziwaczniejsze wytaczają pretensye, jako to: za niewykupienie klejnotów Rzeczypospolitój, za niewypłacone hyberny, utratę Podola, sprzedawanie urzędów i starostw i t. p., z czego żądają złożenia rachunków, przyczém deklarują, że dobra J. K. M. powinny być na skarb zabrane; przyznają zaś tylko ruchomości żonie i synom.

— Słyszałem o tych pretensyach, ale nie sądziłem, aby złość i niewdzięczność do tego mogła dojść stopnia—zawołał z najwyższém oburzeniem królewicz, i dodał porywczo:

— Jakto? więc na wypadek skonu J. K. M. nie myślą nic nam pozostawić, prócz ruchomości, jak gdyby król J. M. wstępując na tron, wyzwał się z prawa przekazania dzieciom fortuny, która jego niezaprzeczoną jest własnością? Wyliczają pretensye za niewykupienie klejnotów Rzeczypospolitój, lub za sprzedawanie urzędów i starostw; ale niech przypomną sobie *quo pretio* obierają królów i ile im za to płacą; niech porachują ogromne summy, które Król J. M. rozdawał corocznie na upominki i rozmaite largicje ubogiej szlachcie, na które dziesięć tysięcy złotych wychodziło miesięcznie. Gdyby mój ojciec, jak mówią, zbierał tylko do skarbu swego pieniądze, pewnie z samój chocimskiej i wiedeńskiej wiktoryi większa wptynęłaby summa, niż dziś w całym skarbie posiada. Ale każdy sprawiedliwy sędzia to przyzna, że król J. M. mój ojciec, więcej łożył niż zbierał, bo czyż nie jego kosztem wystawione są okopy Ś. Trójcy i liczne fortece, o które, jako o skaliste wybrzeża, rozbijały się pogańskie powodzie? czyż nakoniec nie z własnej kieszeni wydawał król pieniądze, na utrzymywanie szpiegów w Turczach, w Krymie i u podejrzanych sąsiadów?

— Sprawiedliwe są racye Waszój Królewiczowskiej Mości. Nie powątpiewam téż na chwilę, że pomimo niesfornych krzyków i protestacyj, nie pokrzywdzi naród króla swego w dzieciach, jako téż, że cnota i uczciwość weźmie górę nad złością i głupstwem. Dawna to i doświadczona jest u nas wada, że cenzurujemy ostro królów i starszych, którzy za wszystkie i wszystkich muszą odpowiadać winy. Ale zgrzeszyłbym przeciw królowi Jegomości i całej jego familii, gdybym nie ostrzegł Waszą Królewiczowską Mość i nie doniósł o konjuracyach szlachty na sejmikach.

Nie mogę też nie przedstawić grożącego niebezpieczeństwa, w razie nieporozumienia lub niezgody w rodzinie króla Jegomości.

To powiedziawszy, spojrzął się przenikliwym wzrokiem wojewoda na królewicza, jak gdyby chciał wyczytać z jego oblicza wywołane temi słowy wrażenie. Królewicz zmieszał się widocznie i rzekł wzruszonym głosem:

— Widzę, że chcesz WMPan mówić o nieporozumieniach pomiędzy mną a królową Jójmością, ale uprzedzam WMPana, że nie czuję się w niczem winnym tej niełaski matki mojej, zatem nie mam żadnego sposobu do pokonania jej gniewu.

— Owóż przybywam właśnie do W. Kr. Mci., z propozycją od JMPani kanclerzyny Wielopolskiej, która, jako rodzona siostra królowej Jójmości, przewidując klęskę zagrażającą najjaśniejszemu domowi, oświadcza się z chęcią pośredniczenia pomiędzy Waszą Królewiczowską Mością i matką.

— Przyjmuję chętnie propozycją pani kanclerzyny, której wdzięcznym odpłacę afektem, jeżeli za jej staraniem wróci mi królowa Jójmość macierzyńską łaskę; ale chciałbym wiedzieć najprzód, jakie mają być punkta ugody, bo powtarzam raz jeszcze, że nie domyślałem się wcale, za co ściągnąłem gniew mojej matki?

— JMPani kanclerzyna proponuje W. Kr. M., ażeby raczył z nią udać się jutro do Willanowa, gdzie następnie W. K. M. przeprosi królową Jójmość, która przyrzekła już siostrze, jako widząc synowską uległość i pokorę, puści w niepamięć dawne przewinienia i wszelkiej wyrzecz się urazy.

— Ależ na Boga! za co, za jakie mam przeproszać przewinienia, skoro świadczę się całym światem, że zawždy względem królowej Jójmości zachowałem się z winną submisją i z takim szacunkiem, jaki należy się od syna—zawołał królewicz z nietajonym gniewem i niewczesną porywczością.

Odpowiedź tak cierpka i gwałtowna jaknajgorsze sprawiła wrażenie na umyśle Jabłonowskiego, podniósł się natychmiast z krzesła i rzekł uroczystym głosem:

— Obowiązkiem moim było donieść Waszej Królewiczowskiej Mości o machinacyach złośliwych ludzi, oraz zakomunikować propozycją pośrednictwa JMPani kanclerzyny; nie moją zresztą jest rzeczą mieszać się do nieporozumień Waszej Królewiczowskiej Mości z królową Jójmością, przepraszam nawet, że podjąłem się poselstwa w tak delikatnej materii.

Zmiarkował się królewicz, że niewłaściwie uniósł się gniewem, więc powstał z krzesła i rzekł łagodniejszym lecz stanowczym głosem:

— Nie przepraszaj mnie WMPan, winien nawet jestem wdzięczność za interesowanie się mym losem, tak WMPanu jako i ciotce księżnie kanclerzynie. Ale oświadczam zarazem, że nie wiedząc za co mam przeproszać królową Jójmość, na ten punkt żadną miarą zgodzić się nie mogę.

— Odpowiedź Waszój Królewiczowskiej Mości zaniosę JMPani kanclerzynie, którą dziś jeszcze spotkam zapewne w Willanowie.

To powiedziawszy, żegnał się wojewoda wołyński i zabierał do odeszcia, ale królewicz zatrzymał go za rękę, mówiąc:

— Rachuję na przyjaźń WMPana i spodziewam się, że w razie osierocenia mego domu i Rzeczypospolitej nie odmówisz mi opieki i pomocy.

Ostatnie wyrazy wymawiał królewicz Jakób wzruszonym głosem; Jabłonowski odpowiedział mu z ukłonem:

— Nie zapomnę nigdy o obowiązkach względem króla JMości i całej jego rodziny, więc gotów będę zawsze służyć jój i dopomagać; ale osobliwie Waszój Królewiczowskiej Mości, jako najstarszemu synowi mego najmiłościwszego Pana, radbym szczeremu afektu najmocniejsze złożyć dowody...

Nieoznaczona, polityczna odpowiedź Jana Jabłonowskiego, nie zadowolniła królewicza; pożegnał go uprzejmie, ale z wyrazem odczarowania na twarzy.

XX.

Jan Jabłonowski krótko bawił w Willanowie, nie widział się z królem, który w dniu tym był mocno cierpiący; pożegnał więc tylko królowę i siostrę jój kanclerzynę, zatem oznajmił o niepomyślnym rezultacie rozmowy z królewiczem Jakóbem. Wróciwszy do Warszawy odwiedził jeszcze tego wieczora posła francuzkiego, księdza Melchiora Polignac'a, opata beauportskiego.

Jabłonowski, wychowaniec dworu wersalskiego, lubił towarzystwo posła, odznaczającego się nauką, dowcipem i wytworném obejściem; korespondował z nim często i odwiedzał go niemal codziennie w czasie pobytu w Warszawie. Listy Polignac'a, pisane z Warszawy do Lwowa, zawierały nieraz ważne polityczne wiadomości, przeplatane łacińskimi wierszami. Ksiądz Polignac udarowany był bystrym i przenikliwym umysłem, oceniał trafnie wady naszego rządu i społeczeństwa, jakoteż znał charakter osoby, które przeważną grały w nióm rolę. Ale młody i niedoświadczony dyplomata otoczony trudnemi okolicznościami w epoce bezkrólewia i elekcji, nie miał siły do pokonania przeszkód, z którymi walczyć mu wypadało, dla przeprowadzenia obioru księcia francuzkiego. Powziął on myśl wyniesienia na tron Franciszka Ludwika de Bourbon, księcia do Conti, w chwili kiedy król Ludwik XIV, jak widzimy z przesłanej ambasadorowi instrukcji, zalecał przedewszystkiem, aby popierał zamiary królowej polskiej, gdyby chciała obrać jednego z synów swoich, wyjąwszy najstarszego lub zięcia, elektora bawarskiego. Później dopiero, w skutku przedstawień Polignaka, zgodził się Ludwik XIV na popieranie elekcji księcia de Conti. Młody dyplomata niewątpliwie już za życia króla Jana, ułożył plan ów, trudny do wykonania, który jednak w razie powodzenia, miał mu zapewnić sławę

i wdzięczność jego monarchy. Przyznać należy, że z jednej strony ksiądz Melchior Polignac zrećcznie wziął się do dzieła, starając się, wszelkimi siłami, o przyjaźń i zaskarwienie względów najwięcej wpływowych panów i dygnitarzy; ale z drugiej strony popełnił błąd wielki, szafując od początku hojnie obietnicami, do których urzeczywistnienia nie znalazł odpowiednich środków. Przewidując bliski skon króla Jana, starał się posłać francuzki wyrozumieć wcześniej dążności różnych stronnictw, z którymi wkrótce miał ważne toczyć układy. Wiedział on dobrze, że Lubomirscy są nieprzychylni dla królowej i dla całej panującej rodziny; nie wątpił też, że Sapiehowie, chciwi znaczenia i władzy, nie staną również po stronie Maryi Kazimiry; ale powątpiewał posłać o stanowisku, jakie zajmie w przyszłych wypadkach dom Jabłonowskich, mianowicie hetman W. kor. i syn jego najstarszy, którzy związkami krwi i przyjaźni połączyli się z rodziną króla Jana. Wpływ Jabłonowskich w owej epoce potężny był w Koronie; nie dziw więc, że posłać francuzki próbował niejednokrotnie wybadać zamiary i plany hetmana W. kor. za pośrednictwem syna, z którym bliższe łączyły go stosunki.

Ksiądz Polignac zajęty był przeglądaniem depešy i listów zagranicznych, kiedy znać mu dano o przyjeździe wojewody wołyńskiego. Zerwał się natychmiast z krzesła, uporządkował rozrzucone papiery, poczem wyszedł do przedpokoju na spotkanie wojewody i serdecznym pozdrowił go uściśnieniem dłoni.

— Powracam w tej chwili z Willanowa—rzekł pierwszy Jabłonowski—gdzie chciałem pożegnać chorego króla, ale Jego Królewska Mość miał silną dziś gorączkę, więc nikogo nie przyjmował. Widziałem się tylko z królową Jejmością i rozmawiałem o waszmość panu długo i szeroko, jako o przyjacielu, którego Najjaśniejsza Pani na pierwszym stawii miejscu w rzędzie życzliwych osób, gotowych pospieszyć z radą i pomocą, w razie przewidywanego, mającego wkrótce nastąpić skonu małżonka.

— Cieszę się, że królowa Jejmość zalicza mnie do rządu swych przyjaciół. Starałem się usilnie, od czasu mego przyjazdu do Polski, o przyjaźń i zaufanie króla Jegomości Jana i królowej jego małżonki, albowiem i mój Najmiłościwszy Pan, wielki Ludwik XIV, polecił mi najmocniej, ażebym w czynnościach moich, przedewszystkiem miał na względzie interes Rzeczypospolitej polskiej i dobry stosunek z Jego Królewską Mością i całą jego rodziną. Ale w smutnej i niefortunnnej dla tego kraju przybyłem epoce. Rzeczpospolita wasza wyniszczona bezużytecznymi wojnami, rozerwana niezgodą i swawolą nieprzyjaznych stronnictw, przedstawia smutny obraz skołatanego burzą okrętu, bez żagli i steru, gdy król wasz, schorzały na ciele i na duszy, nie ma już sił do zwalczenia przeszkód i podniesienia zachwianej powagi rządu. Owóż wyznam waszmość panu szczerze, że za życia dziś panującego monarchy nie można myśleć o zaprowadzeniu w Polsce lepszego rządu i że lepiej byłoby dla kraju i dla samego króla, ażeby prędzej zamknął powieki. Po skonie króla Jegomości, w czasie następującej elekcyi,

przekonasz się waszmość pan, że nie pozostanę obojętnym świadkiem; lecz postępować będę zgodnie z interesami Rzeczypospolitej i z wolą mojego monarchy, przyczem nie zapomnę o obowiązkach względem królowej polskiej, jakoteż nie odmówię jej pomocy, o ile żądania jej zgadzać się będą z istotnym dobrem tego kraju.

— Zapewne WMPan mieć będziesz nie zadługo obszerne pole do oddania usługi swemu królowi i okazania sentymentów jego dla Rzeczypospolitej, bo według zdania medyków zdrowie naszego króla Jegomości pogorsza się z dniem każdym i niewątpliwie nastąpi kres jego żywota. Nie przeczę też, że słabe zdrowie naszego Najmitościwszego Pana przyczynia się do zamieszania i klęsk kraju, ale zwracam uwagę WMPana, że nikt dziś przewidzieć nie może, jaki będzie *status* tej Rzeczypospolitej po śmierci króla. Któż dziś zaręczy, że nie zwałą się na nas większe jeszcze klęski i burze?

— Zgadzaam się z WMPanem, że nieprzewidziane są dziś losy przyszłego *interregnum*, oraz że spodziewać się można silnych wstrząśnień i niejednej burzy; atoli nieraz z piorunami i burzą deszcz urodzajny odwilży ziemię, poczem ożywiające słońce pocieszy serce rolnika. Owóż jedyna nadzieja waszej Rzeczypospolitej złożona jest teraz w bezkrólewiu i w elekcji przyszłego króla.

— Elekcya króla—powtórzył Jan Jabłonowski—to wielkie naszych wolności morze, po którym okręt Rzeczypospolitej, miotany wiatrem i burzą, nieraz o groźne potracą skały... Wielkie są wprawdzie nadzieje w elekcji przyszłego króla, ależ obowiązkiem naszym jest czuwać baczenie, ażeby wybraniec narodu nie zawiódł położonych w nim nadziei.

— Znam imiona kandydatów, których popierać będą różne zagraniczne dwory—odpowiedział poseł—ale wyznam WMPanu, że mój Najjaśniejszy Król Jegomość francuzki, szczerdzić nie będzie żadnych ofiar, dla wyniesienia na tron polski tego z kandydatów, który okaże się najspodobniejszym do uszczęśliwienia waszego kraju. Spodziewam się, że wszyscy Polacy przekonają się wkrótce, jak wielkie korzyści spłynąć na ich kraj mogą, przez połączenie się z widokami niezwyciężonego Ludwika XIV i z potężną Francją.

— Wiemy—odparł Jabłonowski—że widoki Jego Królewskiej Mości Ludwika XIV przeciwne są polityce Rakuskiego dworu, który dziś niezawodnie nie wielu pomiędzy nami naliczy wiernych przyjaciół; atoli co WMPan powiesz o kandydaturze królewicza Jakóba?

Zagadniony niespodziewanie poseł, spuścił oczy, jak gdyby złapany na gorącym uczynku; lecz rzekł po chwili namysłu:

— O ile wiem, mój Najmitościwszy Pan, Ludwik Wielki, nie jest przeciwny wyniesieniu na tron jednego z synów króla Jana.

Wyraz „jednego“ wymówił poseł z naciskiem. Jabłonowski postanowił skorzystać z okoliczności, zatem w nadziei otrzymania dokładniejszego wyzuania, zagadnął powtórnie:

— Królewicz Jakób znajdzie wielu stronników w narodzie. Wszyscy przyjaciele króla Jegomości, staną niezawodnie w jego szeregach. Ale powątpiewam, czy król Jegomość francuzki zgodzi się na wyniesienie na tron króla Piasta, w osobie najstarszego syna Jana III?

Książd Polignac spojrział badawczo na wojewodę wołyńskiego, poczem rzekł wolnym lecz stanowczym głosem:

— Jakkolwiek nie odebrałem żadnej w tój mierze instrukcyi, atoli wyznać muszę, że nie sędzę, aby dogadzała widokom mego monarchy kandydatura księcia, połączonego tak blizkiem pokrewieństwem z Cesarzem. Ręczę tylko, że J. K. Mość Ludwik Wielki gotów jest dopomagać jednemu z młodszych królewiczów, co niezawodnie zgadzać się będzie z życzeniem królowej polskiej, która najmniej okazuje afektu dla najstarszego syna...

— Protestuję przeciw ostatniemu argumentowi WMPana. Królowa Marya Kazimira jest wprawdzie damą wyniosłego i hardego umysłu, chciwą panowania i władzy; wiem téż, że ubolewa nad krnąbrnością najstarszego syna, którego chciałyby uczynić posłusznym swój woli, nie idzie jednak za tém, aby sprzeciwiała się elekcyi królewicza Jakóba...

— Widzę, że nie wiesz WMPan, jak wielkie są niesnaski i spory pomiędzy matką i synem. Wiadomość o kłótniach w domu królewskim czerpię z najpewniejszego źródła. Nie przeczę, że może nastąpić zmiana w sentymentach królowej Jejmości, ale dziś przepaść pomiędzy synem a matką jest ogromna, na co niezaprzeczone mógłbym przytoczyć dokumenta.

— A ja oznajmiam WMPanu, że królowa Jejmość skłania się do zgody, która nastąpiłaby niezawodnie, gdyby nie upór i niedowierzenie Jakóba. Ciotka mojej żony, kanclerzyna, podała nawet królewiczowi przedugodne punkta w imieniu jego matki...

— Jakiż więc rezultat tych układów?

— Żaden, bo królewicz jest haniebnie uparty.

— Wiedziałem o tym rezultacie, mości wojewodo! — odrzekł z tryumfującym uśmiechem książd Polignac, poczem dodał:

— Przypatruję się już od lat trzech intrygom i kłótniom dworu królewskiego, zkąd wnoszę, że nietylko nie nastąpi prędko pomiędzy synem i matką upragniona zgoda; lecz przeciwnie, ze skonem króla Jegomości można się spodziewać stokroć większej burzy. Wniosek ten potwierdzają dochodzące mię w tój chwili wieści...

— Słyszałeś WMPan o jakiej nowej intrydze? — zagadnął Jabłowski, widocznie zaciekawiony tém wyznaniem posła.

— Dziś więcęć WMPanu w materyi intryg dworskich powiedzieć nie mogę. Niezadługo, w pierwszych dniach *interregnum* przekonasz się o prawdzie słów moich.

Niezadowolony wojewoda z tój odpowiedzi, wstał z krzesła, założył ręce nakrzyż i zaczął przechadzać się po komnacie wielkimi krokami. Po chwilowém milczeniu, zwacając się do posła, rzekł:

— Zgadzam się z WMpanem, że stosunek pomiędzy królową matką i synem może zaszkodzić wiele sprawie tegoż syna... Królewicz Jakób jest hardego serca i haniebnie uparty; przypisze więc winę samemu sobie, skoro z przyczyny kłótni domowych, prawie dobrowolnie wypuści z rąk ojcowskie berło. Ale racz mi WMpan powiedzieć konfidencyjnie, jako dawnemu znajomemu i przyjacielowi: który z członków królewskiej rodziny, według zdania WMpana, najstosowniejszym być może kandydatem do korony?

Posel wahał się z odpowiedzią chwil kilka, ale nagle twarz jego rozjaśniła się niby pożądaną myślą, uściśnił rękę wojewody i rzekł z uśmiechem:

— Żądasz WMpan w imieniu dawniej przyjaźni, abym szczerze wypowiedział zdanie o kandydatach z rodu króla Jana do polskiej korony. Owóż nie chcę ukrywać dłużej sentymentów moich i wyznam WMpanu: 1-mo, że jako poseł Najjaśniejszego króla francuzkiego i osobisty przyjaciel domu Sobieskich, pragnąłem zawsze, ażeby jeden z synów panującego dziś w Polsce króla odziedziczył po nim berło; 2-do, że dążąc do tego celu, badałem umysły panów i szlachty, ale przekonałem się z zalem, że sprawa królewskiej rodziny jest już zupełnie stracona. Najpotężniejsze stronnictwa w tym kraju, w jednej zgadzają się materyi, to jest pragną zarówno gorąco oddalić na zawsze od rządów królową Jejmość, nie chcą widzieć na tronie żadnego z jej synów.

Wypowiedziawszy w ten sposób myśl swoją, patrzył się poseł na wojewodę badawczym, przenikliwym wzrokiem, ale przekonał się wkrótce, że zdanie jego nie wywarło pożądanego wrażenia, bo Jan Jabłonowski uśmiechnął się szyderczo i rzekł:

— Dziękuję WMpanu za szczere wyjawienie mi swego zdania; ale jako życzliwy i wierny przyjaciel, winien jestem ostrzedz WMpana, abyś nie ufał zbyt obietnicom ludzi, którzy okazują nienawiść dla domu królewskiego, bo jak zmienne są ich umysły i serca, tak też chwiejne są zamiary w materyi elekcji przyszłego króla.

— Osoby, o których mówię—odrzekł z dumą poseł—stoją na czele najpotężniejszych partyi w tym kraju, nie ledwo zaś ręczyć mogę, że przywódcy ci, gotowi są już dzisiaj stanąć po stronie kandydata, którego król mój, Ludwik Wielki, osłoni swą protekcją, byleby tylko kandydatem tym nie był żaden z potomków J. K. M. Jana III, ani też zięć jego.

— Zgadzam się na to, że Lubomirscy i Sapiehowie wyłączają na elekcji synów J. K. M.; jakoż z jawną przeciw całemu Najjaśniejszemu domowi odzywają się niechęcią; ale zważ WMpan, że dwa domy, jakkolwiek potężne, nie mogą stanowić o losach Rzeczypospolitej samowładnie, która liczy wielu jeszcze innych i silnych obrońców!

Ostatnie wyrazy wymówił Jabłonowski z naciskiem. Zmiarkował się Polignac, że odsłonił może zanadto wcześniej intrygi swe i zamiary, ale zesnurował dwójznaczny uśmiechem usta, i rzekł z wrodozną mu uprzejmością:

— Wybacz, mości wojewodo: mówiąc o znaczeniu partyi, na którą przyjaźń rachować mogę, nie myślałem uwłaczać potędze innych domów, które zapewne z miłości dla rodziny panującego króla, nie zechcą w żadne, chociaż najkorzystniejsze wejść układy. Ale wyznam szczerze WMpanu, że skoro Najjaśniejszy Pan mój, Ludwik XIV, postrada nadzieję wyniesienia na tron potomstwa Najjaśniejszego Jana III, proponuje elekcyą jednego z książąt francuzkich...

— Wiedziałem już o tém, chociaż po raz pierwszy słyszę to z ust WMpana. Ale odpłacając szczerością za szczere wyznanie, oznajmiam i protestuję jak najsolenniej, że nie wierzę w sukces elekcyi francuzkiego księcia...

Zmieszał się książdz Polignac usłyszawszy tak stanowczą odpowiedź Jabłonowskiego; ale ten udawał, że nie zważa na wywołane jego protestacyą wrażenie i ciągnął dalej:

— Wyznam, że nie wierzę z dwóch mianowicie racyi: najprzód panowie, na których pomoc rachuje dwór wersalski, pragnęliby sami przedewszystkiém własne głowy uwieńczyć koroną; powtóre, J. K. M. Ludwik XIV, jakkolwiek jest możnym i potężnym panem, atoli w odległym panuje kraju, najbliżsi zaś nasi sąsiedzi, najmocniej téj jego imprezie sprzeciwiać się i przeszkadzać będą...

Usłyszawszy to, podniósł poseł głowę i odparł dumnie:

— Znam, mości panie wojewodo zamiary i tajemne zabiegi waszych sąsiadów, ale knowania ich wcale mię nie straszą. Mój Najjaśniejszy Pan, Ludwik Wielki, skoro przekona się, że życzenia Rzeczpospolitej zgodne są z jego planami w materyi elekcyi przyszłego króla, nie będzie szczędzić kosztów i żadnych ofiar, dla dopięcia zamierzonego celu...

— Widzę, że WMpan pewnym już jesteś wygranój, chociaż nie widziałeś jeszcze pola bitwy, ani téż nie zmierzyłeś siły zastępów, z którymi spotkać się wypadnie—rzekł z uśmiechem Jabłonowski; po chwili zaś dodał żartobliwie:

— Żal mi, że prawdopodobnie nie staniemy pod jednym proporcem, w czasie przyszłej elekcyi. Niech to jednak nie targa świętego węzła stariej naszej przyjaźni. Estymuję wysoko potęgę Francyi i jej wielkiego króla, ale powtarzam WMpanu, że nie wierzę w skuteczność imprezy, której celem będzie wyniesienie na tron Piastów księcia francuzkiego; protestuję więc najprzód i oświadczam, że na żadne w téj mierze nie podpisuję się układy.

Powtórna protestacya wojewody wołyńskiego, wypowiedziana w tak stanowczy sposób przekonała najzupełniej posła francuzkiego, że nie może bynajmniej rachować na poparcie domu Jabłonowskich, w przedmiocie elekcyi kandydata Franciszka Ludwika księcia de Conti. Zapisał to książdz opat w pamięci; wszakże wierny swój roli dyplomata, uściśnął serdecznie rękę wojewody i rzekł uprzejmie:

— Odpowiadając na przyjacielskie wezwanie WMpana, odkryłem mu szczerze sentymanta moje w materyi przyszłej elekcyi, atoli

niezbadane są wyroki Boże, które kierują losami narodów i królów. Jakkolwiek różne mogą nas czekać koleje, pocieszam się myślą, że nie wyrzekniesz się WMPanie wojewodo sentymentów przyjaźni, łączącej nas od téj chwili, kiedy zaznajomiliśmy się po raz pierwszy na wersalskim dworze.

Tak zakończyła się przyjacielsko-dyplomatyczna rozmowa pomiędzy postem francuzkim i Janem Jabłonowskim. Ten ostatni, po wymienieniu jeszcze kilku słów uprzejmych, pożegnał księdza Polignac'a, oświadczając, że wyjeżdża nazajutrz rano, do starostwa swego, do Świecia.

KONIEC TOMU I-GO.

GABRYELA.

KOMEDIA W PIĘCIU AKTACH,

Emila Augier.

TEUMACZYŁ

Kazimierz Kaszewski.

OSOBY:

PROSPER, adwokat.

GABRYELA jego żona.

TAMPONET.

ANIELA jego żona, przyrodnia siostra Gabryeli.

STEFAN.

EMMA 6-letnia córka Prospera i Gabryeli.

(Rzecz dzieje się na letniem mieszkaniu pod Paryżem).

AKT I.

Teatr przedstawia salon dolny, tarasowy, z widokiem i gankiem na ogród. Drzwi w głębi i drugie drzwi boczne. Na pierwszym planio konsola na prawo; kominek ze zwierciadłem na lewo; stół na przodzie na prawo; kanapa na lewo. W ganku mały stolik. Kilka krzeseł tu i owdzie.

SCENA I.

PROSPER przy pracy na prawo, GABRYELA siedzi na kanapie z książką w ręku, której nie czyta.

PROSPER. Artykuł setny..... Gdzież jest mój kodeks?... Masz tobie, Znów mi się gdzicis zapodział... Co ja teraz zrobić?...

(szuka w papierach).

Trzeba posłać do miasta: nie ma innej rady!
Czego szukasz?

GABRYELA.

PROSPER.

Kodeksu.

GABRYELA

(wskazując na konsolę). Zajrzyj do szuflady.

PROSPER.

Więc ty się uwzięła, ażeby dla szyku
Robić mi uprzątaniem nieład na stoliku?
Niegdyś i matka moja miała tę zasadę,
By mi uprzątać wszystko, gdzie ja co pokładę;
A nigdy jój nie mogłem uprosić, ażeby
Nie rujnowała stosów moich bez potrzeby.

GABRYELA.

Po co te tłuste księgi znosisz tu, Prosperze?
Z twojego-ci pokoju nikt ich nie zabierze.

PROSPER

(wstając). Trzeba, byśmy to zdanie ściślej rozebrali:
Ta księga wstyd przynosi twój wykwintnej sali,
Jój tłusta skóra źle się z aksamitem brata?
Więc chciałabyś ją wygnać gdzieś na koniec świata?
Lecz rozmyśl się i połóż na niej wdzięczne usta:
Twój sprzęt dlatego błyszczy, że ona jest tłusta.
A sens tego?

GABRYELA.

PROSPER.

Widoczny, moja ukochana.

Jestem sentymentalny, jak Arab, dziś zrana.

(całuje ją)

Ucałuj mnie, żoneczko! Niech cię to nie dziwi,
Ze szanuję tę księgę—bo ona nas żywi.

GABRYELA.

PROSPER.

Czy to wyrzut?

Nie. Wprawdzie byłoby przyjemnie,

Gdybyś się czasem chciała dowiedzieć odemnie
Coś o mych interesach, jak mi się téż praca
Przedsiębrana dla szczęścia twojego opłaca;
Lecz to nie twoja wina, i ja się nie żalę,
Że ci takie przedmioty nie smakują wcale.

GABRYELA.

PROSPER.

Dlaczegoż ze mną o nich nie mówisz Prosperze?
Próbowałem z początku, aleś ty tak szczerze
Ziewała przy rozmowie, iż przysiągłem sobie,
Że nigdy w życiu tego już głupstwa nie zrobię.

GABRYELA.

Tak, mój umysł do tego nigdy nie był żwawy;
Lecz to źle: mnie powinny zajmować te sprawy.
Jeśli naszym jedynym zadaniem na ziemi,
Abyśmy się trudami cieszyły waszemi;
Jeśli nie możemy innych mieć zdarzeń na świecie,
Tylko te, które dla nas wy przygotowujecie;
Więc mów mi o swych sprawach, kochany Prosperze,
A ja, choć ziewnę czasem, będę słuchać szczerze.

(siada).

PROSPER. Za tę myśl dobrą, Bóg ci zapłaci, Gabryelo!
Poczekaj, ja ją zaraz tobie wynagrodzę.
(*siada obok niej*).
Idziem, a raczój jedziem żwawo po tój drodze
Ciężkiej, u której kresu dostatki się ścielą.
Mam piętnaście tysięcy u pana de Grilly,
A dziesięć myśmy Blance na dom pożyczyli;
Zaczynam téż potrosze zyskiwać i sławę:
Jeden z ministrów—i to naszych sądów głowa,
Na wieść jakie postępy czyni ma wymowa,
Dał mi w obronę swoję osobistą sprawę.
A z tém to człek w palestrze wygląda wydatniej.
Rozumiesz?

GABRYELA.

O!

PROSPER.

Zarobek téż jest nie ostatni.

Rok rocznie wpływa jakie dwadzieścia tysięcy,
Wkrótce będzie trzydzieści, a potem i więcej;
Że zaś dwanaście tylko wydajem na życie....
Wszak tak?...

GABRYELA.

(niedbale).

Tak.

PROSPER.

Niech piętnaście!... liczę już sowicie,...

Więc na dobrą rachubę, w lat dziesięć zbierzemy
Sto pięćdziesiąt tysięcy posagu dla Emmy,
Naszój jedynój corki; a nadto zostanie
Na bardzo przyzwoite dla nas utrzymanie.
Bo to jeszcze nie wszystko: a co mówi renta,
Od której wciąż nam rosną składane procenta?
Uważasz?

GABRYELA.

O!

PROSPER.

A zatém w jedenastym roku

Już dwakroć sto tysięcy mieć będziem na boku.
Pojmujesz tę rachubę?

GABRYELA

(roztargniona).

Ależ każde słówko.

PROSPER.

A więc na dziś tę kwestyą mam już za skończoną.

(wstaje i odchodzi do pracy).

Mój Boże, jak to miło porozmawiać z żoną!

(odwraca się ku Gabryeli).

Bo ja cię bardzo kocham, moja lekka główko!

(siada przy stoliku nad pracą)

GABRYELA

(na stronie). On sądzi że mnie kocha. Gorzki żart

[w tém słowie!

Jemu tylko ambicya chodzi wciąż po głowie.
On mówi że mnie kocha! Nieśmiertelne słońce!
Świeżych liści wiosennych wonie czarujące!
Ciszo niw, które toną w dalekim błękitcie!
Czyż o takim kochaniu wy do mnie mówicie?

On mówi, że mnie kocha!.... O szczęśliważ doła
Kobiety, która idzie przez majowe pola,
Na ukochanym ręku wsparta duszą całą,
Wdzięczna sercu swojemu, że dobrze wybrało.
Takbyśmy szli wieczorem w tój uroczój chwili,
Kiedy cień i milczenie na ziemię się chyli;
I patrząc w jasne gwiazdy, co nad nami wiszą,
Poili się miłością i rozkoszną ciszą.

PROSPER.

Żono!

GABRYELA.

A co?

PROSPER

(obejmując ją w ramiona).

To u nas tylko się spotyka,

By u koszuli męża nie było guzika.

GABRYELA.

Eh! zapnij śpilką.

PROSPER.

Muszę złajać moję panię;

Cała moja bielizna jest w okropnym stanie.

GABRYELA.

Dobrze.—Przyjdzie tu jutro szwaczka doskonała.

PROSPER

(na stronie). Matkaby własną ręką ją ponaprawiała.

SCENA II.

PROSPER, GABRYELA, EMMA.

EMMA.

Mamo, przysłała tam praczka.

GABRYELA.

Powiedz gospodyni,

Niech odbierze bieliznę.

PROSPER.

Ale któż tak czyni?

Idź ty sama ją odbierz. Wszakże ład domowy

Nie powinien przeciążać twojój wątlój głowy.

GABRYELA.

(przy pierwszém słowie Prospera, Emma siada na kanapie).

PROSPER.

Idę już.

Ale prawda!... To dzisiaj niedziela,

Więc zjedzie do nas z mężem wraz siostra Aniela

Na obiad. Pamiętajże, by było sownie.

Jój mąż, z całą poezją, lubi dobre życie.

Kaź mu zrobić przysmaczek.... wiesz... ten figiel z séra....

Rozumiesz?.....

GABRYELA.

Ej, w co tój to mój pan mąż nie wziera!

PROSPER.

Naśladuję cesarza.

GABRYELA.

W czym?

PROSPER.

Mówiąc otwarcie,

Spełniam funkcją żołnierza, co zasnął na warcie.

(Gabryela schyla głowę i odchodzi, Emma idzie za nią).

SCENA III.

PROSPER, EMMA.

PROSPER.

Gdzie to tak spieszysz, moja Emciu?

- EMMA Do ogródka,
Idę bawić się z ziemią.
- PROSPER (*na stronie*). Oh, jakaż milutka!
(*głośno*). A uczyłaś się dzisiaj?
- EMMA. Nie, tato, bo przecie
Dziś niedziela.
- PROSPER. A!.. prawda. Ależ, moje dziecię,
Wszak ucałować ojca można przy niedzieli?
- EMMA. O tak, drogi tatuniu!
(*biegnie i całuje go w oba policzki*).
- PROSPER (*biorąc ją na ręce*). Slicznie ci w tój bieli.
- EMMA. Dziś mnie bona chesała, nie mama, bo ona
Czytała coś na książce.
- PROSPER (*na stronie*). Sanda lub Bajrona.
Daremnie w niój popędy romantyczne tłumię.
- EMMA. Czemu mama wciąż czyta, gdy już czytać umie?
- PROSPER. Tego ja ci nie powiem.
(*przez pół do siebie*)
Z nią bo rady niema.
Przecież ma najpiękniejszą książkę przed oczyma,
O jakiej się nie śniło żadnemu pocie:
U piersi swoich białe i różane dziecię.
(*do Emmy*).
- Ale ty nie rozumiesz tego, co ci prawię,
Idź lepiej do ogrodu i poigraj w trawie.
Kochasz ty mnie?
- EMMA. O kocham!
- PROSPER (*chwytając ją na ręce*). Możesz kochać śmieie,
Bo i ja cię szalenie kocham, mój aniele.

SCENA IV.

GABRYELA, PROSPER, EMMA.

(Prosper spostrzegłszy żonę stawia żywo córkę na ziemi).

- GABRYELA. Ty płaczesz?
- PROSPER. Ja? bynajmniej.
- GABRYELA. Nie udawaj zucha;
Ty płaczesz.
- PROSPER. Tak, bo wpadła mi do oka mucha.
- GABRYELA. Dlaczego szukasz chluby w tym fałszywym harcie?
Przecież my nie żyjemy w Rzymie ani Sparcie,
By tłumieć w piersiach rzewne popędy natury.
- PROSPER. Mówię ci, że mi w oko muszka wpadła z góry.
Ze słabością ojcowską nie miałbym powodu
Ukrywać się.

(do Emmy)

Idź sobie Emmo do ogrodu.

(Emma wychodzi).

SCENA V.

GABRYELA, PROSPER.

GABRYELA. Ty będziesz może śmiał się z tego, boś szyderca,
Ale mnie rozrzewniła ta łza twego serca.
Nazwij to egzaltacją, lecz ci mówię śmiało,
Że przez tę łzę me oko także łzą wezbrało.

PROSPER. Wyznaję, że...

(na stronie)

Zapóznol...

(głośno)

Z takimi owady

Jak muchy i komary na wsi nie ma rady.

SCENA VI.

GABRYELA, PROSPER, TAMPONET, ANIELA.

TAMPONET. To my!

GABRYELA. Dzień dobry, siostról!

PROSPER. Witaj Tamponecie!

ANIELA *(do Gabryeli)*. Uściskaj-że mnie!...

GABRYELA. Z duszy.

TAMPONET. Oh, rozkoszne
[latol!

PROSPER *(do Tamponeta)*. To i my się szwagierku uściskajmy przeciel
Dobrze?

Eh! dajmy pokój.

TAMPONET. Dziękuję i za to.

PROSPER. Ależ to mój kochany siedziba nie lada!
Górą szumią wam lasy, dołem wód kaskada;
A ten dom istne cacko wyszłe z rąk snycerza:
Fantastyczny wodotrysk powietrze oświeża.
Ztąd swobodniej nad mglistym duch wznosi się światem...

PROSPER. Ach! mnie nie było dano zostać adwokatem!

TAMPONET. Kto u dyabła ze swego rad jest powołania?

TAMPONET. Tylko kapitalistą, nikt się być nie wzbrania.

TAMPONET. Jam zrodzon na malarza albo na poetę,
Winiennem w rękę dźwżyć lirę lub paletę!

TAMPONET. Wierzaj mi, że gdy czasem oczy w niebo wzniosę,
Uczuвам pod powieką łez wilgotną rosę!

TAMPONET. Czy wiesz jaka idea w głowie mój powstała?...

TAMPONET. Oto, gwiazdy co nocą świecą ponad nami,

TAMPONET. Zdają mi się być duchów zmarłych mieszkaniemi,

TAMPONET. Zkąd one patrzą w ziemię, gdzie leżą ich ciała.

Czyż to myśl nie dowcipna?

PROSPER.

Proszę! Nie myślałem

Byś się poezji z takim oddawał zapalem.

GABRYELA.

Tak!...

TAMPONET.

Sztuka i poezya, to jest moje życie!

GABRYELA.

(*do Tamponeta i Aniela*). Wszak i przez noc dzisiejszą u nas
[zabawicie?

ANIELA.

Jeżeli mąż się zgodzi...

TAMPONET.

Ba, dziwna kobieta!

Alboż to wieś bez nocy zrozumie poeta?

Gdy na ziemię zstępuje wieczór cichy, mglisty,

Wtedy senna przyroda—własnością artysty.

PROSPER.

O poeto!... A zatem od ogrodu zacznij.

TAMPONET.

I owszem, po przechadzce będzie się jeść smaczniej.

(*Prosper i Tamponet wychodzą*).

SCENA VII.

GABRYELA, ANIELA.

GABRYELA.

Szczególny człowiek!

ANIELA.

Prawda.

GABRYELA.

O tak!

ANIELA.

Moja miła!

Jużem ja się z dziwactwy jego oswoiła.

Przywykłam—i dziś rzadko we mnie się odzywa

Myśl, że dola ma przy nim nie bardzo szczęśliwa.

Od wszystkich jego manii ja odwracam głowę,

Cierpliwie znoszę jego tyranie domowe,

I może już nie raziłby innie z żadnej strony,

Gdyby nie zazdrość, w której jest nieuleczony.

GABRYELA.

Zazdrość?.. dziś jeszcze?..

ANIELA.

Ona nigdy się nie zmniejszy,

Owszem im jestem starsza, tém on zazdrośniejszy!

Prosper nie jest zazdrosny?

GABRYELA.

To żelazna dusza!

On się, wierz mi Aniela, byle czém nie wzrusza.

On nadto jest poważny, aby taka mała

Drobnostka jak ja, umysł jego zaprzętała,

I byle interesa nie szły mu zbyt twardo,

Na resztę z pobłażliwą spogląda pogardą;

I nie zapyta nawet czy jestem szczęśliwa,

Albo czy jaki smutek duszę mą rozrywa.

ANIELA.

Smutek? Milszém od twego czyż jest życie czyje?..

GABRYELA.

Gdybyś wiedziała, w jakiej ja tu próżni żyję!

Gdybyś czuła nademną te nicości cienia!..

Wszystko mnie opuściło, nawet nawyknięcie,

To łzawe szczęście, niby rezygnacyi zbroja,
 Pod którą już zaczęła rdzewieć dusza moja.
 Ach! pociżem wybiegła z miejskiego ukrycia
 Na wieś, gdzie hymn natury i mnie rwie do życia?..
 Gdzie wonie pól i lata słoneczne promyki
 Rozniecily w méj duszy dzielność, czy jad dziki.
 Jakiś szal życia wpadł mi do serca, do głowy,
 Upaja mnie i szepcze: zerwij te okowy!...
 — Precz martwota i smutek! Dla mnie życie, radość!
 Ja chcę...czego, nie umiem wypowiedzieć słowy;
 Ale to wszystko co mam, nie czyni mi zadość.
 Te powszednie zajęcia mdlą mnie niesłychanie,
 Płaczę... wszystko mnie męczy, nudzi mnie czytanie;
 Nic mnie nie wzrusza, nawet, wstyd to jest kobiécie
 Wyznać, ale wyznają: nawet własne dziecię!
 Bo już przestałaś kochać męża.

ANIELA.
 GABRYELA.
 ANIELA.
 GABRYELA.
 ANIELA.

Co to znaczy?

Tak, gdybyś go kochała, byłoby inaczej.
 Jednak....

Otwórz mi serce, Gabryelo, do dna;
 Jam ci siostra i matka, ufności twój godna:
 Może me oczy dla cię ratunek dostrzegą.
 Ty nie kochasz Prosperal...

GABRYELA.
 ANIELA.

Nikogo innego.

GABRYELA.

Biedny Prosper!... On ciebie kocha nie na żarty,
 On wie dzie cię spokojnie, po drodze utartéj,
 W miéciuchnéj, aksamitem wysłanéj karecie,
 I czegoż ty się skarżysz, fantastyczne dziecię?
 Prawda, że na spokoju przy nim mi nie zbywa:
 On się stara bym była legalnie szczęśliwa.
 Jest to człowiek rozumny, wspaniale oszczędny,
 Prawy i pracowity, czasem troszkę zrzędný;
 Dobry, nigdy nie zaklnie, nie przemówi ostro:
 Ja byłabym szczęśliwa, będąc jego siostrą.
 Lecz co mi po dostatku i po takiéj ciszy,
 Jeśli entuzyazm serca jój nie towarzyszy?
 Jakieś płaskie rachuby i płaskie prawidła,
 O które zawadzają marzeń moich skrzydła,
 Powszedniości mieszczańskie, registra domowe,
 Zastąpiły przedślubną, rozkoszną rozmowę!
 On w szachownicę życie poliniował swoje,
 Gdzie na jednym z kwadratów i ja także stoję;
 Jestem sprzętem domowym, czémś więcej niż zerem:
 Znaczą dlań tyle, że już nie jest kawalerem.
 Gdzież są te obietnice miłości bez końca,
 Świętych serca uniesień?... Ta przyszłość drgająca

Uśmiechem, którą myśmy marzyli we dwoje?
Z jój wspomnień pozostały tylko te łzy moje!
(*ociera łzy*).

ANIELA. Nie obwiniaj Prospera, i niechaj ci raczej
Krótkość ułud życiowych tę zmianę tłumaczy.
Czemuż nie możemy wszystkie wiedzieć o tém wcześniej,
Że się nam bezpowrotnie złoty nasz sen prześni!
Czemuż nie ma kto ostrzedz nas w ranniejszej porze,
Iż miłość obiecuje więcej niż dać może!
Nie marnowałybyśmy na ułudne cele
Cząstki szczęścia, która nam przypadła w podziale.
Żarliwa wiara w miłość pierś naszą rozsadza,
Tymczasem nie kochanek, lecz ona nas zdradza.
Zawiedzione, szukamy innego, ażali
Ten ideałów duszy naszej nie ocali?
Lecz miłość udręczona szały daremnemi
Znowu nas pozostawia z garścią pełną ziemi;
Wtedy wreszcie poznajem, gdy nas droga znuży,
Iż cel nasz był w początku téj wielkiej podróży.

GABRYELA. Anielo! Taką tylko pozostaje rada
Dla pocieszenia serca, co się z bólu pada?
Jaktol... Całą miłością, życzliwością Prospera?
Zadnaż mi się nadzieja zatém nie otwiera?
Poddać się wraz, gdy zawód zastąpił mi drogę?
O! nie.... ja ci nie wierzę, wierzyć ci nie mogę!
Ciemne szkło może stłumić blaski gorejące,
Ale ja wierzę w miłość, tak jak wierzę w słońce!

ANIELA. Przerażasz mnie, lecz cicho!... widzę sekretarza
Prospera!

GABRYELA (*na stronie*). Ten mi jeszcze goryczy przymnaża.

SCENA VIII.

GABRYELA, ANIELA, STEFAN.

STEFAN (*kłaniając się*) Panie....

GABRYELA (*z przymusem*) I czemuż mamy zawdzięczyć
[tak miły

Trafunek?

STEFAN (*podobnie*). Obowiązki tu mnie sprowadziły.
W téj chwili otrzymałem list....

ANIELA. Czy nie od brata?

STEFAN. Od ministra, na imię pana adwokata;
Że zaś nikogo w domu nie było w niedzielę,
Przyjeżdżam sam.... choć czasu nie mam bardzo wiele.

- GABRYELA. Może coś do Paryża pana powołuje?
Inaczej prosiłabym....
(*daje znak zimnego zaproszenia, by usiadł*)
- STEFAN. (z przymusem) Uprzejmie dziękuję.
Tak.... mam w Paryżu zadość uczynić umowie....
- GABRYELA. (na stronie). Biedny chłopiec!...
- STEFAN (do Anieli). Jak pana Tamponeta zdro-
[wie?
- ANIELA. Przyjechał właśnie ze mną, zdrowy i szczęśliwy.
- STEFAN. Bardzo mi to przyjemnie.
(na stronie). Nudziarz obrzydliwy.
(głośno). Gdzież ja mógłbym zobaczyć tych panów?
- GABRYELA (z pośpiechem) W ogrodzie.
(Stefan kłania się i wychodzi).

SCENA IX.

GABRYELA, ANIELA.

- ANIELA. Już to mąż mój nie będzie z tym młodzieńcem w zgodzie!
- GABRYELA. Więc i on zazdrosnemu stanął solą w oku?
- ANIELA. Coś mu się przywidziało jeszcze w przeszłym roku,
A temu człowiekowi tłumaczyć daremno;
Tymczasem ten młodzieniec ledwie mówił ze mną.
Ależ ty go traktujesz nie bardzo przyjemnie.
Mam w tém powód.
- GABRYELA. Czy wolno?...
- ANIELA. On się kocha we mnie.
- GABRYELA. Aha!... Kiedyż ci miłość oświadczył?
- ANIELA. W tém lecie.
- GABRYELA. A mąż wie o tém?
- ANIELA. Nie wie; ale widzisz przecie
Sama, że go traktuję jak gorzej nie można.
Jednak, kochana Ewo, bądź z jabłkiem ostrożna!
- GABRYELA. Nie lękam się.
- ANIELA. Tak: jesteś nieopatrznie śmiała.
- GABRYELA. Kochasz go?
- ANIELA. Nie, dlaczego?
Będziesz go kochała,
I to wkrótce. Rumienisz się.... Pierś twoja dyszy....
Co to jest, Gabryelo?
- GABRYELA. Na Boga! mów ciszej....
- ANIELA. Córkó moja!... tak, córkol... Mówię ci jak matka....
Wyruguj tę chimere z głowy do ostatka....
Biedz na osłep w bezdroże, zawsze to rzecz płocha.
Oj! nie ten obcy człowiek, lecz twój mąż cię kocha!

Dla tamtego ty jesteś przepędzeniem czasu,
Złudzeniem zmysłów, albo zachcianką grymasu;
Gdy mąż, jak towarzyszkę, szacunkiem cię darzy,
Dziecko, fortunę, imię, zdając twojej straży:
To miłość najpewniejsza, bo on w swym wyborze
Nie tak ciebie, jak siebie miał na względzie może;
I jak powiada piękne, choć trywialne, słowo,
On jeden może nazwać cię swoją połową.

- Wierzaj mi, nie puszczaj się na te drogi strome!
GABRYELA. Lecz te niebezpieczeństwa tobie zkałd wiadome?
ANIELA. (po pauzie). Od przyjaciółki, która okupiła srodze
Jeden krok postawiony na tój ślizkiej drodze.
Ileż kłamstw, które straszy oko byle czyje;
Co za wstyd w szczęściu, które jak złodziej się kryje;
Boleść uzacnionego tą obelgą męża,
Co przebaczy, lecz wzgardę darmo przewycięża,
I nic od zgrozy wspomnień już go nie uchroni!...
GABRYELA. Spojrzyj dobrze w tę przepaść, nim się zbliżysz do niej!
ANIELA. Jeszcześmy, chwała Bogu, nad jój brzeg nie przyszli.
GABRYELA. Lecz nie dawaj powodu do zaczepnej myśli.
ANIELA. Ani ja, ani Stefan, powodów nie dajem;
Wszak widziałas, że siebie unikamy wzajem.
On i dzisiaj, naprzykład, me zimne przyjęcie
Mógł puścić mimo uszu, a stanął zacięcie;
A gdym go zapraszała półsłówkiem, on drogę
Do Paryża wymyślił, aby rzec—nie mogę.
ANIELA. Lecz i skała się skruszy, gdy wciąż ktoś ją trąca.

SCENA X.

GABRYELA, ANIELA, PROSPER, TAMPONET, STEFAN.

- PROSPER (do Stefana). Nie, mój drogi, to nie jest rzecz bardzo na-
[głęca
I możesz ten dzień z nami przebyć doskonale.
ANIELA (na stronie). Dobrze!
STEFAN. Gdybym mógł, chętnie pozostałbym, ale...
PROSPER. Żadnego ale. Ty mu każ pozostać, żono.
GABRYELA (do Stefana). Jednak, jeśli w Paryżu pana zaproszono...
PROSPER. Nic ważnego; tę sprawę wprzód omówim sami,
To tylko jego pretekst, by nie zostać z nami,
A przecież się dlań miejsce znajdzie przy obiedzie:
Powiedz mu, że się będziesz gniewać jak pojedzie,
Gabryelo.
GABRYELA (do Stefana). Tak, panie.
STEFAN (stawiając kapelusz). Rozkazy spełnione.
ANIELA (na stronie). O, gwiazdo mężów!
TAMPONET (na stronie). Będę miał oko na żonę.

- PROSPER. A teraz mi przebaccie, jeśli łaska wasza,
Bo mnie dzisiaj wieczorem minister zaprasza
Na chwilę, by pomówić o swoim procesie;
Trzeba ruszać: ta chwila, kto wie, co przyniesie.
(*do Anieli*).
- ANIELA. Wszak nie będziem się gniewać, siostruniu kochana?
Gniewać się?... Gdy w zastępstwie
(*wskazując na Stefana*).
zostawiasz nam pana?
- GABRYELA (*na stronie*). Niedobra!
TAMPONET (*na stronie*). To widocznie faworyt Anieli.
PROSPER (*do Stefana*). Słyszysz Stefanie, jesteś tu milszym niżeli
Ja.
- ANIELA (*na stronie*). Zgadłeś, chociaż żartem.
TAMPONET (*na stronie*). Oj, oj!
EMMA (*wchodząc*). Proszę mamy
Na śniadanie.
- PROSPER. Panowie, poprowadźcież damy.
(*Tamponet podaje rękę Gabryeli, Stefan Anieli, a Prosper bierze za rękę Emmę. Wychodzą na prawo*).

AKT II.

Taż sama dekoracja.

SCENA I.

TAMPONET, PROSPER, STEFAN, ANIELA, GABRYELA.

- PROSPER (*do Stefana*). Ile się znam, to przecież jawne symptomata.
To co mówią, twych uszu zaledwie dolata,
Apetyt lichy; kiedy kto zada pytanie,
Jak człowiek na pół senny odpowiadasz na nie.
Więc czy śmiesz, chmurny panie, po szczerości duszy
Przysiądź, że zakochany nie jesteś po uszy?
Śmiem.
- STEFAN. Z rumieńcem na twarzy.
PROSPER. Z rumieńcem na twarzy!...
TAMPONET (*na stronie*). Nowy dowód, że przy niej aż się krew w nim żarzy.
ANIELA. Jak nie spłonąć rumieńcem przy tak ciężkiej próbie?
PROSPER. Ależ się zaczerwienił jak panna przy ślubie!
Nie skarż się: to szczęśliwy młodzian, który może
Rumienić się i nie jeść w miłosnym ferworze.
TAMPONET (*na stronie*). On mnie dreszczem przeszywa.

- PROSPER. Cóżem ja zamłodu
Wycierpiał przy pięknościach! Gniewem wrzałem cały;
Chciało się idealnym pokazać, a z głodu
Pożerałem za czterech, aż zęby trzeszczały.
- TAMPONET. Naiwny! Ot, zapytaj się pana Stefana;
On ma na to receptę, rzecz wyprobowana:
Kochanek—najeżony do stołu przychodzi.
- STEFAN. A, to widzę, w tych rzeczach biegły pan dobrodziej.
Nie sądziłem...
- PROSPER. Ho, ho, ho! mój szwagier czcigodny
Za młodu był to dyabeł serc niewieścich głodny,
Ale gryzł pokryjomu.
- TAMPONET. On żartuje, żono,
Ze mnie.
- ANIELA. Tak jest.
- PROSPER. Masz jakąś minę wystraszoną.
Czy boisz się ażeby, dziś uwiadomiona
O twych sprawkach, odwetu nie użyła żona?
Bądź spokojny; ta pewność niechaj cię pokrzepi,
Że urwisom w małżeństwie wiedzie się najlepiej.
Wszak prawda, siostrze?
- ANIELA. Prawda....
(z pomieszaniem). (do Gabryeli). A, to piękne róże,
Gabryelo. (wrywa jedną różę z bukietu)....
- GABRYELA. Oh! mamy ich pełne podwórze:
Chcesz? (podaje).
- ANIELA. (z lekkim okrzykiem, rzuca różę).
Ach!
- GABRYELA. Co to?
- ANIELA. Twa róża ma przymioty jeża.
- STEFAN. (podnosząc różę).
Co upada na pole jest plonem żołnierza.
- TAMPONET. (na stronie). Pod mym nosem!
- PROSPER. Co mówisz?
- TAMPONET. Nic!
- ANIELA. Panie Stefanie,
Proszę mi oddać różę.
- TAMPONET. (na stronie). Jak on patrzy na nią.
- STEFAN. Róża do mnie należy, i ja za nic w świecie...
- PROSPER. (do Anieli).
Oddać?... Tego-ć afrontu on nie zrobi przecie!
(do Tamponeta).
Co to?... Wyglądasz jakby cię zęby bolały....
Co ci jest?
- TAMPONET. Nic mi nie jest; no nic!
(na stronie).
Kipię cały!

- STEFAN. Więc ten kwiat zatrzymuję....
- TAMPONET. *(na stronie)*. Złe coś z tego wróżę.
- ANIELA. Nie, bynajmniej!
- GABRYELA. Zaczekaj, dam ci drugą różę.
(podaje).
- PROSPER. Wybornie; więc już kwestya wyczerpana, zaczęm
Jesteś spokojnym skarbu swego posiadaczem.
- TAMPONET. Piękny mi trofeję; kwiatek podjęty ukradkiem.
- STEFAN. Ha!... wolałbym ja spotkać się z rzuconym kwiatkiem
W arenie, pośród wściekłej tury, jak bywało
Za naszych dzielnych przodków, i zdobyć go z chwałą;
Lecz w tych bezbarwnych czasach trzeba spuścić z to nu
I zbierać róże z płaskich posadzek salonu.
- TAMPONET. Tak; wszystko się dziś kurczy i wszystko karleje.
Bój ustąpił przed gicłdą, a przed biurkiem knieje;
Bohaterskie tradycje w młodych ludziach giną.
Widzisz tęgiego chłopca z zawadyacką miną;
Wprzód goniłby na ostre, osłonion pancierzem:
Dzisiaj jest gryzipiórkem albo wagomierzem.
(n. s.). Masz!
- STEFAN. Chciałbym by mój ojciec, człowiek staréj daty,
Słyszał jak pan się wzruszasz nad starymi laty!
On, wyobraź pan sobie, ilekroć przesyła
Mi pieniądze, to zaraz i napomniéń siła,
Ze młodzian z jego czasów, w wojsku, czy na dworze,
Był roztropnie oszczędnym w życiu i ubiorze,
I na sto franków pensyi, choć to w wielkiém mieście,
Odkładał na bok drugie sto franków lub dwieście.
(z uśmiechem).
- ANIELA. Lecz ten o którym mowa nie ma téj zasługi,
Bo on pewnie odkłada na bok same długi?
- PROSPER. Ten twój stary wiek, szwagrze, który już zamiera,
Tu i owdzie zostawia jednak bohatera.
Niedaleko szukając, ot ten młodzian, który
Ma się za stworzonego do magistratury,
Jednak bił się...
O nieba!
- GABRYELA. *(na stronie)*. Hum! Otóż go macie!
- TAMPONET. A za co?
- ANIELA. Za kobietę-ć, nie za co innego.
- PROSPER. Awanturnik!
- TAMPONET. Za siostrę, panie akwokacie.
- STEFAN. Kto się bije za siostrę, waleczny kolego,
Ten nie prosi o sekret przyjaciela, który
Przypadkiem się nawinał na miejscu spotkania;
A wreszcie pojedynku tak czystéj natury

- Magistratura w duchu wcale nie nagania.
 GABRYELA. Więc pan prosił o sekret?
 PROSPER. I z całym zapalem.
 STEFAN. A pan mi go przyrzekłeś.
 PROSPER. Lecz nie przysięgałem.
 A wreszcie czy to panna, mężatka lub wdowa,
 Co złego, że się dowie gromadka domowa?
 ANIELA. A może też pan Stefan życzył sobie właśnie,
 Byś ty *tu* jego czynu nie wywiódł na jaśnie.
 TAMPONET. (*na stronie*). A toć to jasne, sensu nie szukać w bawelnie!
 PROSPER. Dlaczego *tu*?
 GABRYELA. (*z ironią, głośno*). Ja z siostrą zgadzam się zupełnie.
 PROSPER. (*do Stefana*). Nie masz się co obawiać surowości naszój:
 Taki postępek żadnej z tych pań nie przestraszy.
 STEFAN. Kiedyż mówię....
 TAMPONET. Ej, panie, tak świetna odwaga,
 W takim celu, wymówek żadnych nie wymaga.
 STEFAN. (*do Tamponeta*).
 Panie, ta żartobliwość dręczyć mnie zaczyna.
 TAMPONET. Czy i mnie pan chcesz wyzwać? Co za groźna minal!
 PROSPER. (*do Stefana*).
 Nie gniewaj się, nie gniewaj, mój Rolandzie luby;
 Już wierzymy we wszystko co chcesz, dla twój chluby.
 STEFAN. Ależ to szczerą prawdą....
 PROSPER. Poprzestajem na niej....
 TAMPONET. Nie przeczym, jako ludzie dobrze wychowani.
 PROSPER. Honorowi się tedy stało zadość; zatem
 Może pójdziemy trochę przejść się z panem bratem?
 ANIELA. To prawda!... Jest też po co Paryż ukochany
 Opuszczać, by się na wsi zamknąć w cztery ściany.
 PROSPER. (*do Tamponeta*).
 Pójdź, nie bój się; mnie o to bynajmniej nie chodzi,
 By goście zachwalali moje tulipany,
 A powietrze rycerza naszego ochłodzi.
 TAMPONET. (*na stronie, patrząc na Stefana*).
 Ja mu nie dam pokoju.
 STEFAN. (*na stronie patrząc na Tamponeta*).
 Oj, stary!
 TAMPONET. (*na stronie grożąc Stefanowi*).
 Oj, młodził

(*Wychodzą drzwiami środkowemi, Gabryela i Stefan zostają na ostatku; Gabryela zatrzymuje Stefana w progu*).

SCENA II.

GABRYELA, STEFAN.

- GABRYELA. Oddaj mi pan tę różę!
- STEFAN. Czy i pani wierzy?...
- GABRYELA. Ja nie wierzę niczemu. Ta róża należy
Do mnie, ja proszę o nią: ona w rękę pana
Myślą zniewagi dla mnie jest nacechowana.
- STEFAN. Myślą zniewagi? Boże!.. ten kwiatek niewinny!
- GABRYELA. Heroina rozprawy poda panu inny.
- STEFAN. Heroina rozprawy!... Tak, miałem rozprawę
Za kobietę kochaną, za jój dobrą sławę:
Lecz imię jój to dla mnie jest skarb powierzony,—
Ja sam tknąć się go nie śmiem, tylko dla obrony.
(*bojaźliwie*). Lecz pan nie jesteś ranny?
- GABRYELA. Nie.
- STEFAN. (*spogląda na różę*)
Ten kwiatek drogi,
Któregom ja niegodzien...
(*chce oddać*)
- GABRYELA. (*po pewném wahaniu*). Rzuć go pan pod nogi.
(*wychodzi*).

SCENA III.

STEFAN (*sam*).

Rzucić cię, drogi kwiatku! Nie, serce się wzbrania;
Jój akcent upoważnił mnie do zatrzymania.
Nie dała mi cię całkiem, bo była w kłopotcie,
Lecz cię pozostawiła, więc dała w istocie.
Daje mi cię, kwiateczku, coś dotknął jój łona,
Jako nagrodę, może jako zakład. Ona
Tak wszystko we mnie dzisiaj odmieniała. Boże!
Ach! jakież jestem młody, jak cudnie na dworze!
(*całuje różę*).

SCENA IV.

TAMPONET, STEFAN.

- TAMPONET. (*na stronie*).
Co on tam tak całuje? To róża mój żony!
Prysnę mu zimną wodą na ten żar szalony.
(*głośno*).
Właśnie szukałem pana.
- STEFAN. To dla mnie zaszczytnie.
- TAMPONET. Może partyą szachów? (*n. s.*) No, teraz zgrzytnie.

- STEFAN. Partya szachów?... Dobrze, jeśli pan pozwoli.
 TAMPONET. *(na stronie)*.
 Uległość, naturalnie, wypada mu z roli.
(głośno) Siadajmy więc.
- STEFAN. Siadajmy... Widzę stolik w ganku.
(wysuwa go bliżej).
- TAMPONET. Dla interesu, partya niech będzie po franku.
 STEFAN. Zgoda. Tak dziś rad jestem, że wszystko mnie bawi.
 TAMPONET. Doprawdy?
(na stronie) Czekał, wnet ci serce się zakrwawi.
 STEFAN. Ja zacznę ¹⁾.
- TAMPONET. W ogrodzie zostawiłem panie,
 Bo mnie serdecznie nudzi żeńskie szczebiotanie.
 Dla mnie rozmowa kobiet jest taka jałowa,
 Że staram się im wymknąć od pierwszego słowa.
- STEFAN. To dziwna! Żona pańska, powiadam to szczerze,
 Jest dowcipną jak rzadko.
(grając) Odstaniasz pan więzę.
- TAMPONET. *(grając)*. Dobrze. Ona się wprawdzie dowcipnie wyraża,
 Lecz jak raz przejdzie zakres swego inwentarza,
 Wnet ci wyjeżdża na harc ze strojem, zabawą,
 Bo to jój chudej myśli jest zwyczajną strawą.
 O ile się przyjemną wydaje śród ludzi,
 O tyle w samotności uprzykrzenie budzi.
- STEFAN. Doprawdy?
 TAMPONET. Któż wie o tém najlepiej, gdy nie ja?
(na stronie)
- STEFAN. Trzeba się ze skarbami kryć wobec złodzieja.
 To mnie dziwi istotnie. Szach królowi.
 TAMPONET. Zaraz!
- Już! *(na stronie)*.
 A tom go w porządy wprowadził ambaras.
- STEFAN. Tracisz pan laufra.
 TAMPONET. *(grając)*. Prawda. Ma pojęcia zdrowe,
 A nigdy jój gra w szachy wejść nie mogła w głowę.
 Załujmy jój.
- STEFAN. Mnie raczej, boć to moja szkoda.
 TAMPONET. Gra jedyną ucieczką, gdy żona nie młoda.
 STEFAN. Nie młoda?
 TAMPONET. Lat czterdzieści... Co? Wiek niezazdrosny?
 STEFAN. To chyba zachowała z niego same wiosny!

¹⁾ W oryginale gra się odbywa w *piquet*, której nie znając tłumacz, jak pewnie i większa część czytelników polskich, zamienił ją na szachy.

- TAMPONET. Ej, stary to madrygał, niewielka pociecha
Dla tych, którym się jesień bezlistna uśmiecha.
- STEFAN. Ten młody jest, kto piękny, a więc pańska żona
Młoda jest i przyjemna. Biorę panu piona.
- TAMPONET. *(na stronie)*. A niech go dyabli wezmą!
- STEFAN. *(na stronie)*. Co on się tak złości?
- TAMPONET. W towarzystwie, zgadzam się, lecz nie w samotności.
- STEFAN. Nie wierzę, i niewierzyć mam powód nielada.
- TAMPONET. *(na stronie)*. On ma powód... no proszę! Co ten człowiek
[gada?
- Powstrzymujmy się jednak.
- STEFAN. Wszak kolój na pana?
- TAMPONET. Prawda... Jużem się sunął. To rzecz niesłychana,
By nie wiedzieć, co czynią nasze modne panie
Dla zatrzymania wdzięków, gdy ich już niestanie.
- STEFAN. Według tego, jak pan sam opisujesz żonę,
To jój wdzięki byłyby tylko podrobione
Sztuką.
- TAMPONET. O! ja tam tego nie powiadam. Nieba!
Wydarłaby mi oczy... których mi tak trzeba.
(z uśmiechem). Aha!.. teraz rozumiem..
- STEFAN. Jakto?
- TAMPONET. — Zkąd wiatr
STEFAN. [wieje,
- Ale będę dyskretnym.
- TAMPONET. *(na stronie)*. Kiedyć się tak śmieje,
To widać że ja przed nim kłamię nadaremno.
Czyżby on moję żonę znał zarówno ze mną?
(zamyśla się).
- STEFAN. Pan się suwasz.
- TAMPONET. *(przy grze)*. A... prawda. Oj, coś źle do kata,
Stoją me interesa...
- STEFAN. *(posuwając ostatnią figurę)*.
Dostałeś pan mata.
(chowa szachy).
- TAMPONET. *(do siebie)*. Co za myśl! Ja tak przecież strzegę mą Aniełę,
Że za jój bezpieczeństwo ręczyć mogę śmieie,
I nie mogę na ślepo wręcz oskarżać żony...
A jednakże już przez nią byłem raz zwiedziony!

SCENA V.

TAMPONET, STEFAN, PROSPER, ANIELA, GABRYELA.

ANIELA. Byłam pewna!

TAMPONET. Tak znużył mnie upał w ogrodzie;
Wolałem tutaj w szachy zagrać sobie w chłodzie.

- ANIELA. Czemuż lepiej nie w bilard? nie, żeby młodziana
Tą grą starych mordować od samego rana.
- TAMPONET. Starych?.. Jeśli się wiekiem w tej grze biegłość mierzy,
To miano patriarchy słusznie mu należy.
- STEFAN. Nie; ja się znajomością tej gry nie pochwalę.
- TAMPONET. To jakże pan grasz w te gry, które doskonale
Znasz?
- STEFAN. Kiedy nie znam żadnej.
- TAMPONET. Próż batalii...
(*na stronie*). Muszę
Epigramami tego podrażnić mu duszę.
- PROSPER. Znajomości batalii nikt mu nie zaprzeczy,
Lecz mu w tej grze niebardzo świetnie poszły rzeczy;
Świadkiem to biedne ramię.
- GABRYELA. O mój Boże! rana?
- STEFAN. Nie, pani; tylko skóra nieco nadszarpana.
- PROSPER. Jednak boleśnie, skoro za dotknięciem ręki
Tak ci gwałtowne z piersi wydarły się jęki;
Bom ja tylko w ten sposób przyszedł do odkrycia.
- STEFAN. Inaczey nikt nie wiedziałyby za mego życia.
- ANIELA. (*na stronie*). Biedny mężu, pomagaj swemu rywalowi!
- TAMPONET. Lecz czyż to okoliczność nieszczęście stanowi?..
Nosić ranę na wstędze a w kieszeni szarpie,
Chodzić omdlewająco, robić oczy karpie;
Toć za tak piękny efekt koszt wcale niewielki:
Summa summarum, kręsa i krwi trzy kropelki.
- GABRYELA. Pan brat wesół!..
- STEFAN. O! bawi mnie wesołość taka,
Choć szczypiąca; znać po niej dawnego wojaka.
- TAMPONET. Jać w wojsku nie służyłem, ale nieraz w gniewie
Coś się tam oberwało; lecz o tém nikt nie wie.
Mnie oklask wielbicielek nie był pożądany.
- GABRYELA. Bracie!
- ANIELA. Toś i przedemną skrywał twoje rany.
- STEFAN. Oczywiście, przez skromność.
- TAMPONET. Tak; bo wiedz, mój panie,
Że dzielnym nie do twarzy żadne przechwalanie.
- STEFAN. (*z uśmiechem*). Zważaj pan jednak...
- TAMPONET. Na co? Mówię przecież
[jasno...]
- STEFAN. Że się gotowes zranić różgą swoją własną.
- PROSPER. Prawda, po swoich palcach sieczesz go żelazem.
- TAMPONET. Ależ pozwól...
- PROSPER. Przepraszam, resztę innym razem,
Bo tam bilard się nudzi, oczekując na nas.
- TAMPONET. Dobrze. (*na stronie*).
Jak wezmę na kiel, tom ja nie anauas.

- STEFAN. Przepraszam... mnie tak jakoś szachy umęczyły,
Że wolałbym pozostać....
- TAMPONET. *(na stronie)*. O, gagatek miły!
Onby wolał pozostać!
(głośno) Żono, idziesz z nami?
- ANIELA. POCO?
- TAMPONET. Znaczyć nam punkta.
- ANIELA. Znaciecie sobie sami.
(na stronie).
- PROSPER. Nie zostawię go z siostrą.
(przy drzwiach do Tamponeta).
A chodźże, niecznośny!
- TAMPONET. *(cicho do żony)*. Pójdź!
- ANIELA. *(cicho)*. Nie pójdę.
- TAMPONET. *(podobnież nalegajaco)*. Ja proszę.
- ANIELA. *(cicho)*. Czemu?
- TAMPONET. *(podobnież)*.
Bom zazdrosny!
- (Wychodzi. Aniela idzie za nim ruszając ramionami)*

SCENA VI.

STEFAN, GABRYELA.

- STEFAN. Coś szwagier nadużywa prerogatyw wieku,
I gwałtem chce narazić moją dobrą wiarę.
- GABRYELA. Wiem ja dawno co trzymać mam o tym człowieku,
Ale dziś jego narów przebrał wszelką miarę.
- STEFAN. Pani...
- GABRYELA. Tak; mnie oburza ta złość zadąsana:
On koniecznie obniżyć chciał postępek pana.
Ale to, co obito się o moje uszy,
Wręcz przeciwne uczucie obudziło w duszy.
- STEFAN. Oh, pani!.. To postępek bardzo naturalny,
Nie zasługuje wcale na ten ton pochwalny.
Každy byłby tak samo postąpił.
- GABRYELA. *(Niestety!*
Sądz się pan lepiej wobec ogółu. Czy drugi
Mszcząc krzywdę ukochanej przez siebie kobiety,
Nie szukałby w swém mężtwie prawa i zasługi?
Czyż, ażeby piękniejszym wydać się swój lubej,
Nie chciałby się ustroić w wieniec swojej chluby?
Czyżby, gdy tajemnicę jego rozumiano,
Dla zmniejszenia ofiary krył się ze swą raną?
- STEFAN. Pani moją zasługę zbytceźnie przecenia,
To nadto wielki zaszczyt dla mego milczenia.

Chciałem byś nie wiedziała, że nad twoją głową
Przemknęło obelżywe, chociaż puste słowo.

GABRYELA.

Cóż mówiono?

STEFAN.

Nic, coby dosięgało pani.

GABRYELA.

Przecież..

STEFAN.

O, niech mi pani już serca nie rani.
Bezwstydnny musiał cofnąć swoje wyrzeczenie,
Ja nie powtórzę tego, za co się rumienię.

GABRYELA.

Ja proszę.

STEFAN.

Nadaremno. Rzecz już zapomniana,
Niech jęj pani nie wznawia.

GABRYELA.

Przez... twoję miłość! O! zaklinam pana

STEFAN.

Pani, zlituj się nademną!

GABRYELA.

Wymagam!...

STEFAN.

Powiedziano...

GABRYELA.

Co?

STEFAN.

Że jest wzajemną!

(Gabryela, bardzo wzruszona, przez chwilę pozostaje w milczeniu i rzuca się na kanapę, twarz zasłaniając rękami).

STEFAN.

Pani milczy? I cóż ztąd wnosić mogę?

SCENA VII.

STEFAN, GABRYELA, EMMA.

GABRYELA.

Boże!

Moje dziecko!

(do Emmy). A co chcesz?

EMMA.

Ciocia jest na dworze,

Prosi mamy.

GABRYELA.

(do siebie) Zapóźno.

Dobrze, moja droga,

Idź, ja tam zaraz przyjdę.

(Emma wychodzi).

SCENA VIII.

STEFAN, GABRYELA.

GABRYELA.

Żyjąca przestroga!

Zapomniałam o wszystkim, więc mnie córka gani.
Przypomina, czem jestem dla ojca i dla niej.

STEFAN.

Czyż jedno dziecię zburzy całe szczęście moje?

GABRYELA.

Tak!.. Ja dzisiaj na straży u wrót tej czci stoję,
Którą mi zdała matka, zanim legła w grobie,
Którą ja córce mojej wiunam zdać po sobie.

Ona czyni mi wyrzut; przyszła jeszcze w porę,
 Bym uczyniła wybór stanowczy:—wybiore.
 Kiedy ojciec pracuje ciężko, aby ona
 Była nadal w potrzebach swych zabezpieczona;
 Ja, co nie mogę w pracy iść za jego śladem,
 Powinnam ją przynajmniej zbogacić przykładem.
 Powinnam, i tak będzie. Niech się serce miota,
 Lecz w tój walce zwycięztwo odnieść musi cnota;
 By córka moja, gdy ją ból zaniepokoi,
 Wsparała się na mnie, jak ja dziś na matce mojej:
 To me postanowienie silne i niezłomne.
 A jeżeli, występny szalem obłąkana,
 Odsłoniłam na chwilę uczucie dla pana,
 Zapomnij o tój chwili.

STEFAN.

Nigdy nie zapomnę!

Czyż podobne tój chwili dla mnie zapomnienie?
 Nigdy! Póki w nieczuły proch się nie zamienię.
 Wyrzuty?.. A czy we mnie dusza nie zamiera
 Ze wstydu, kiedy ściskam dłoń pana Prospera?
 Ta jego zacna przyjaźń, sprawiedliwy Boże!
 Najstraszniejszych męczarni wbija we mnie noże;
 Lecz choćbym miał obrzydzić się samemu sobie,
 Tój chwili nie zapomnę nigdy, chyba w grobie.
 Więc dobrze, ja się zgadzam! Pamiętajmy o niéj,
 Lecz z tą pamięcią żyjąc miejmy oko śmiałe,
 Niech nam rumieniec wstydu nie wypala skroni:
 Zdwojmy niebezpieczeństwo, aby zdwoić chwałę.
 Ja cię kocham, Stefanie; lecz pomna na cnotę,
 Własną ręką odpycham drogą mi istotę.
 I ty, o przyjaciółki sercu upewniony,
 Oddal się, aby złe nas nie ujęło w szpony.
 Zbyt dla nas niebezpiecznym wspólny dach się stanie,

GABRYELA.

Więc odjedź do rodziny, dobry mój Stefanie!
 Odjechać?.. Pani z domu mnie swego wygania?
 Nie; chcę byś mi dał przez to dowód ukochania.
 Bądźmy dumni i czyści, niech nasze uczucie
 Wzłeci jak hymn do Boga w rezygnacy nucieli
 Dobrze, anielska duszo!.. przyjmuję wygnanie,
 Gdy mi tam serce twoje towarzyszyć będzie.
 Kochać cię będę zawsze, widzieć będę wszędzie...
 Więc odjedziesz?

STEFAN.

GABRYELA.

STEFAN.

GABRYELA.

STEFAN.

GABRYELA.

Odjadę.

Dziękuję, Stefanie.

(*Podaje mu rękę którą on okrywa pocałunkami; rozchodzą się w dwie różne strony*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Francuzi w Ameryce, przez Leona Chotteau.—Washington, Lafayette i t. d. przedmowa Laboulay'a.—Wystawa obrazów: *Walka Jakóba z aniołem* Bonnat'a. *Wjazd Chrystusa do Jerozolimy* Gustawa Doré. *Święta Genowefa* p. Puvis de Chavannes. *Bitwa pod Tolbiakiem*, *Chrzest Klodoweusza* p. Blanc. *Joanna d'Arc* p. Monchablou. *Joanna Schutembergera*. *Wjazd Mahometa do Konstantynopola* p. Benjamin Constant. *Baal pożerający jeńców* p. Motte. *Franciszek Borgiasz nad trupem Izabelli portugalskiej* Pawła Laurent. *Neron i Lokusta Sylwestra*. *Kopernik* p. Gersona. *Lezdejko na gruzach świątyni Perunowej* p. Alchimowicza. *Hołd Ottokara przed Rudolfem* p. Cetnera ze Lwowa. *Obłężenie Naumburga* p. Jarosława Czermaka. *Baldwin książę Flandryi* przez de Vrient. *Doktor Pinel w szpitalu obłąkanych* p. Tony-Robert-Fleury. *Herkules i hydra lerneńska* p. Moreau. *Iksyon* p. Delaunay. *Pogrzeb kameduły* p. Zdzisława Suchodolskiego. *Chrzest w katakumbach* p. Ceccariniego.—Portrety: Carolus Duran. Perignon, Dubori, Renard, panna Izydora Mikulska.—*Artyści dawni i tegocześni* przez Karola Clement. *Granice zagrożone* p. Henryka Havard.—*Trybunowie i dworacy* p. Wiktora Laprade.—*Lutnista z Kremony*, Franciszka Coppie.—*Dymitr* opera p. Jussieres.—*Kochankowie Kasi* operetka p. Marechal.—*Zarysy krytyczne literatury włoskiej* Emila Gebhard.—*Konferencye* p. Ly-Schau-Pe, *O kobięcie chińskiej*.—Wybory akademickie.—*Śmierć Georges Sand*.

Miesiąc bieżący złotemi zgłoskami wpisany w historii mieszkańców drugiej półkuli świata. W dniu 4 lipca, jak wiadomo, Stany Zjednoczone obchodzą tryumfalny dzień ogłoszenia swęj niepodległości. Przez dalekie morza dobiega do nas dźwięk dzwonów i huk dział zwiastujących dziś, już nie same tylko nadzieje, nie same chęci ludu, jako było przed stoma laty, lecz spełnione jego pragnienia, jego ustawy zabezpieczone prawem, podparte siłą rzeczywistą. Pod wpływem takich wrażeń zaczynamy kronikę naszą wspomnieniem Stanów Zjednoczonych.

Ameryka nie przedstawia bynajmniej dla nas ideału społeczeństwa, jaki w niej widzą zapaleni apolożyści. Nie chcemy przesądzać czy wady jej są wypływem młodzieńczego tylko-li szału, czyli też noszą w sobie zarody skażenia, które czas spotęguje; w każdym jednak razie byłoby niesłuszną odmówić Amerykanom wielkich zasług, któremi zdobyli sobie dzisiejsze stanowisko.

W chwili kiedy świat obrócił oczy na Filadelfią, kiedy Francya posłała tam płody swęj ziemi, dzieła przemysłu i geniuszu swego, a co ważniejsza godnych reprezentantów swęj inteligencyi; podró-

źnicy francuzcy, którzy kiedykolwiek zwiedzali Amerykę, ogłaszają na wyścigi doznane wrażenia, torując drogi nowym a licznym dziś wędrowcom. Między innymi p. Leon Chotteau wydał ciekawe dzieło pod tytułem *Francuzi w Ameryce*. Autor przebywał długo w Stanach Zjednoczonych, zna do gruntu życie mieszkańców, zostawia jednak na boku terażniejszość, a cofa się o wiek cały i pokazuje chwilę stanowczego przełomu w dziejach, którego pamięć głoszą dziś tryumfalnie dzwony Filadelfii.

I my cofnijmy się myślą o lat sto, rzućmy okiem na ów dzień 4 lipca, dzień ogłoszonej niepodległości. Reprezentanci trzynastu kolonii zbrali się w sali gmachu rządowego, jeden powstał i wyrzekł: „jest w rzeczach ludzkich prąd, który chwytać należy: ten prąd czujemy dziś w powietrzu. Szlachetna deklaracja, którą wam podajemy, musi być podpisana dziś przez wszystkich członków zgromadzenia. Kto się waha, nie godzien zwać się obywatelem!”

Reprezentant Houcook pochwycił pióro, nakreślił imię swoje wielkimi literami.

„John Bull przeczyta je bez okularów—rzekł wesoło—niechże podwoi cenę na głowę moje!”

Wielka cisza panowała w mieście, głuchy poszmer przebiegał między ludem. Trwoga padła na serca. Wiadomo było, że twórcy aktu przypłacą życiem śmiałość, jeśli wpadną w ręce Anglików, ale Jefferson, Franklin, Houcook, poprzysięgli nie cofnąć kroku. O drugiej wreszcie z południa zabrzmiał dzwon na City Hall. Ten dzwon miasto chowa jako najdroższą pamiątkę.

Rękawica rzucona: trzeba działać z całą energią, wydobyć z kraju wszystkie siły, tak małe w obec potęgi angielskiej. Stany Zjednoczone liczyły zaledwie 2,360,000 mieszkańców; ludność ta rozdzielona korytem Potomaku, odrębna obyczajem i tradycją, na północy pracowita, krępka, demokratyczna; na południu przesiąkła wskroś ideą arystokratyczną, leniwa, rozmiękczone wpływem słonecznych żarów!

Od roku trwa zbrojne powstanie, wywołała je chciwość Anglii. Herbata ulubiona Amerykanom, obciążona ogromem cłem, stała się ową kroplą ostatnią, co przepełniła czarę. Od roku kongres złożony z pięćdziesięciu skazanych na śmierć reprezentantów obraduje w Filadelfii; od roku oddziały ochotników bosych, głodnych, odartych, przebiegają kraj w różnych kierunkach, podczas gdy wojenne statki angielskie wyrzucają na ląd chmary wyćwiczonego wojska, gdy sztandar króla Jerzego powiewa z wieżyc warownych grodów. W takimto stanie rzeczy, zabrzmiała sławna deklaracja i wszystkie serca poruszyła do gruntu. „Nie ma Potomaku!” zawołali zgodnym chórem mieszkańcy południa i północy: gorący uścisk potwierdził bratnią jedność.

Nie będziemy opisywać z autorem tych zręcznych a częstokroć rozpaczliwych obrotów, któremi powstańcy umieli stawić czoło groźnej a tak przeważającej sile, zaczęł interwencya francuzka zapewni-

ła im tryumf. Pragniemy tylko skreślić w kilku zarysach postać wielkiego męża, który na wieki pozostanie chwałą kraju, przedmiotem poszanowania wszystkich ludów, wzorem nieskazitelnej cnoty: mówimy o Jerzym Washingtonie.

Sięgnijmy myślą do roku 1775. Znajdziemy w Mount-Vernon nad Potomakiem człowieka wysokiego wzrostu, kształtnej postawy. Oko jego bez blasku, wyraz oblicza maluje szczerą i prostą duszę. Dostępny dla wszystkich, pełen słodyczy i powagi, nienawidzi pochlebców, gardzi czczą chwałą, ucieka przed hołdami. Skromność jego niesłychana, charakter spokojny, jednostajny, wolny od uniesień. Sądzi rzeczy zdrowo i trafnie, słucha pilnie, mówi nadzwyczaj mało. Żadna odezwa jego w parlamencie nie trwała dłużej nad dziesięć minut. Długo rozważa zaczęm co postanowi, ale skoro przedsięwzięcie rzecz jaką, idzie śmiało do celu, gotów łamać wszelkie zapory.

Washington urodził się w Wirginii r. 1732; mając lat jedenaście utracił ojca. Matka jego kobieta bez wyższej nauki lecz wielkiego rozsądku i serca, wychowywała go troskliwie wraz z dziesięciorgiem siostr i braci. Jerzy od młodu okazywał popęd do życia wojskowego. W czternastym roku przyjęty był do marynarki angielskiej, ale służba morska oddalała go zbyt znacznie od domu. Uległy syn porzucił ją, czyniąc zadosyć woli matczynój, odtąd pracował pilnie nad arytmetyką i rysunkiem, sposobił się na geometrę. Od szesnastego do dziewiętnastego roku mierzył i rozgraniczał puste obszary, trzebił drogi w dziewiczych lasach, nietkniętych ludzką stopą. Po całodziennych trudach sypiał pod gołem niebem, garść słomy była mu pościelą, wezgłowiem prosty kamień.

Gdy miał lat dwadzieścia rozpoczął twardszy jeszcze zawód wojskowy. Chciwa władza Anglia pragnęła wyrugować Francją ze stałego lądu Ameryki. Rozpoczęto wojnę o Kanadę. W wojnie tej Washington okazał wielkie strategiczne zdolności. Generałowie posiwili w obozach, częstokroć wzywali rady młodego oficera. Gdy podpisano pokój, stał już na czele pułku, miał lat dwadzieścia siedem,

Wówczas poślubił młodą wdowę. Poznał ją przypadkiem. serce jego odrazu przemówiło. Dnia jednego pułkownik jechał konno w towarzystwie starego sługi, przebył wpław małą rzeczkę, na brzegu spotkał znajomego p. Chamberlayne właściciela poblizkiej wsi; ten zapraszał go do siebie na spoczynek. Pułkownik opierał się jak mógł, pilno mu było w dalszą drogę. Chamberlayne nalegał. Pragnął on przedstawić bohatera młodej wdowie przebywającej właśnie w jego domu. Washington zmuszony był ustąpić. Położył tylko za warunek, że po obiedzie musi odjechać nie tracąc chwili czasu. U bramy oddał konia pod straż Bishopa wiernego sługi i wszedł w progi domu z gospodarzem. Mija godzina, po niej druga i trzecia, Bishop czeka zdziwiony. Nadszedł wieczór a Bishop czeka jeszcze. „Dziwna rzecz, mówi do siebie stary wiarus, mój pan zawsze tak akuratywny, cóżto się dzisiaj stało?” Noc zapadła, chłód przejmował do ko-

ści. Kiedy pan przypomniał biédnego sługę, zapóźnie było jechać. Zatrzymano ich na noc. Wkrótce Washington odwiedził znowu przyjaciela, a niedługo potém zaślubił panią Curtis.

Niezmacona jedność panowała w tém stadle. W dniu kiedy Washington obejmował dowództwo nad wojskiem, napisał do żony: „jedyne moje zmartwienie gdy pomyślę, jak przykro ci będzie zostać samą. Proszę cię uzbrój się w odwagę... przepędzaj czas o ile można najprzyjemniej. Ponieważ nikt z nas nie pewien jutra, załączam testament do listu. Przyszłość twoja zabezpieczona na wypadek mej śmierci.”

Wielka odpowiedzialność, jaką brał na barki, zrazu przejmowała go trwoga. Nazajutrz téż po odebranój nominacyi wyrzekł w obec kongresu: „Wielki uczyniliście mi zaszczyt, ale ja lękam się, ażali moje zdolności wojskowe odpowiedzą waszemu zaufaniu! Przyjmuję wszakże obowiązek, ile sił służyć będę wielkiej i świętej sprawie. Gdyby jednak nastąpił nieszczęśliwy wypadek, błagam wszystkich członków kongresu, niechaj pamiętają, że dziś tu w obec nich wyznaję najszczerzej, iż nie czuję się na wysokości stanowiska, jakim mnie zaszczycono. Co do żołdu, proszę niech kongres będzie przekonany, że nadzieje największych korzyści pieniężnych nie skłoniłyby mnie do przyjęcia tak trudnych obowiązków z ofiarą szczęścia domowego. Nie wymagam więc żadnej płacy, zapisywać będę skrupulatnie wydatki moje. Nie wątpię że kraj je zwróci: to wszystko czego żądam!”

W ośm lat potém, kiedy ostatnia zbrojna stopa angielska opuściła wolny ład Ameryki, Washington złożył przed kongresem rachunek z wydanych pieniędzy. Wydał zaledwie 360,000 franków. Wdzięczni ziomkowie pragnęli wtedy zaszczycić wodza najwyższą godnością. Pułkownik Levis Nicola w imieniu wojska ofiarował mu królewską koronę. „Ameryka, wyrzekł on, będąc Rzeczpospolitą, nie stanie się nigdy narodem. Ileżto unikniemy ciężkich prób, jeśli podniesiemy na tron genialnego męża, co pokonał Anglią!”

Odezwa Levisa podana na piśmie, dobodła do żywego wielkiego obywatela. Odpowiedział na nią w prawdziwie godny sposób: „Z najwyższą boleścią i podziwem odczytałem pańskie wezwanie. Żaden wypadek w ciągu wojny nie zmartwił mnie tyle, jak wiadomość, że w wojsku krążą podobne myśli. Patrzę na to ze wstrętem i potępiam surowo. Zachowam rzecz w głębokiej tajemnicy. Napróżno pytam siebie, co w postępowaniu mojem mogło upoważnić was do podobnej propozycyi, tak złowrogiej na przyszłość!”

Kongres jednomyślnie mianował naczelnikiem rządu wielkiego męża, którego nazwano *pięrczym w wojnie, pięrczym w pokoju, pięrczym w sercach współzomków!* (first in war, first in peace, first in the hearts of his countrymen). Washington zaprzysiągł w kwietniu 1789 roku pełnić wiernie obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych i dochował przysięgi. Obrany powtórnie po upływie lat czterech uchylił się od władzy, zamieszkał spokojnie w Mount-Vernon,

gdzie dokonał życia w ostatnich dniach zbiegłego wieku, którego stał się najwyższą chwałą. Umarł w grudniu 1799 r.

Autor zwiedzał dom Washingtona, opisuje go szczegółowo. Dom ten jednopiętrowy stoi samotnie na wzgórzu, nad Potomakiem. Otaczają go wkoło wielkie drzewa, w cieniu ich ukryty skromny grobowiec. Wchodząc od podwórza do sieni uderza w oczy poczerniały, mały na palec kluczyk, przybity do muru; nad nim wyryto napis: „Klucz od Bastylli ofiarowany generałowi Washington przez generała Lafayete, po zburzeniu jój w 1789 roku.”

Na prawo za salką jadalną wchodzi się do sali z wielkim kominem marmurowym. Ten komin był upominkiem wdzięcznych ziomków. Zdobią go trzy obrazy przedstawiające dzienne trudy rolnika: na jednym oracz prowadzi pług zaprzężony w konie, na drugim wieśniaczka ciągnie wiadrem wodę ze studni, przy niej dziecię zbiera gałązki w lesie. W pośrodku zachód słońca, owce i krowy powracają spokojnie z łąki, pasterz pokazuje niewieście że dzień zbliża się już do kresu. Niewiasta niesie na głowie dzbanek, w objęciach trzyma niemowlę. Sufit cały zdobny w godła rolnicze: snopy zboża, sierpy i kosy.

W innéj sali malowana marynarka. Tu stoi łożko wsparte na czterech słupkach; sypiał w nim generał Lafayette.

Za domem ciągnie się park, drzewa w nim sadzone ręką Washingtona; park ten dotyka brzegów wspaniałéj rzeki. Huk dział rozlega się co dnia o to ciche ustronie. Statki płynące Potomakiem czczą w ten sposób grób wielkiego obywatela.

Pan Chotteau w wycieczkach swoich zatrzymuje się niemniej nad Hudsonem „tą, jak mówi, najpoetyczniejszą rzeką Stanów Zjednoczonych. Na szczycie przylądku podpartego złomami wielkich skał, ciągnie się wieś rozległa. Miejsce to najpiękniejsze w świecie. W roku 1802 zbudowano tu szkołę wojskową, jest w niej 250 uczniów. Obok szkoły w bliskości Hudsonu stoi biała, marmurowa kolumna. Na niej skreślony napis: „Kościuszko.” Pomnik wzniesiony przez korpus kadetów w roku 1828. Słynny generał, który służył Stanom Zjednoczonym na polach bitwy, a którego Ciało Prawodawcze w Paryżu uczciło tytułem obywatela francuzkiego, przemieszkiwał w tém miejscu. Pokazują dotąd ogród zdeptany wielokrotnie jego stopą.”

Obok Washingtona autor odmalował z miłością inną postać, również znaną w Ameryce jak wéj Francyi. Posłuchajmy co mówi o zasłużonym swym rodaku.

„Najzapaleńszym z entuzyastów ówczesnych był bogaty młodzian, konsystujący z pułkiem w Metz. Wieść o wypadkach amerykańskich, o ogłoszonéj deklaracyi, poruszyła go do gruntu. Zwał się Lafayette, był markizem, miał 200,000 liwrów dochodu rocznego, liczył zaledwie lat dziewiętnaście. Przed trzema laty ożeniono go z panną de Noailles.

Wypadek zdarzył, że ksiązę Gloucester, brat króla Jerzego, zwiadzał Metz w 1776 roku. Marszałek Broglie zaprosił go na obiad. Wezwał także kilku oficerów, między niemi młodego markiza. Rozmawiano o Ameryce. Lafayette jął pilnie badać jednego z adjutantów ksiązęcych: nim wstał od stołu *serce jego było już*, jak mówił, *zaciągnięte*. Lecz jak tu pułk opuścić? Wzywa rady hrabiego Broglie. Surowy marszałek pokręcił na to głową.

— Pod okiem mojem—rzekł—dziad twój skonał we Włoszech, twój ojciec padł pod Münden: nie myślę przyczyniać się do zguby twego domu!

W końcu jednak ubłagany marszałek przedstawił młodziana baronowi Mull, który rządził niegdyś w Kanadzie; ten ułatwił mu stosunki z amerykańską agencją. Osądzono, że Lafayette za młody.

Szlachetne jego serce drgnęło tém silniej na wieść o klęskach Amerykanów. Gdyby im szczęście sprzyjało, snadniejby młodzian odstąpił od zamiaru, ale Washington pokonany, wojsko jego w rozsypce. Słyszy to Lafayette, już mu nie wytrwać dłużej! Uzbraja okręt własnym kosztem.

Król nagania zuchwały zamiar, rodzina zżyma się, listy gończe ścigają zapaleńca. W miejsce spodziewanych tryumfów czeka go więzienie w Marsylii. Daremne groźby! Lafayette przebrany za kuryera przybywa do Bordeaux, ztamtąd przedziera się do Hiszpanii, w porcie Los Passages wsiada na własny okręt, rozwija żagiel w kwietniu 1777 roku. Po siedmiotygodniowej żegludze wysiada na ląd w Charlestown. Przebiega konno Wirginią, Maryland, staje wreszcie w Filadelfii i przemawia do kongresu: „Za moję ofiarę mam prawo wymagać dwóch łask: jedna aby mi pozwolono służyć na własnym koszcie, druga abym rozpoczął służbę jako ochotnik.” Kongres mianował go generał-majorem.

Lafayette przedstawił się naczelnemu wodzowi. Z uczuciem upokorzenia Washington pokazał mu żołnierzy odzianych w zgrzebne płótno: „Przybyłem tu aby się uczyć—odrzekł Francuz—nie zaś aby przyganiać drugim!” Słowa te pełne prostoty zniewoliły mu serce wodza.

Położenie było trudne. Niezrażony tém młody generał, służył Amerykanom z zupełném poświęceniem. W krwawawej bitwie nad Delaware, walczył jak prosty ochotnik na czele swój brygady. Ranny w nogę zbierał jeszcze pierzchające wojsko. W téjże bitwie Kazimierz Pułaski, dowódzca kawalerji, dał dowód niesłychanej waleczności.

Kłęski ani trudy, nie zrażają bynajmniej Lafayettea, po téj nie-szczęśliwej bitwie, w obawie żeby złe wieści nie oddziałyły szkodliwie na umysły Francuzów, pisze do młodej żony, uczy ją co ma odpowiadać pessimistom. Powiedzą ci zapewne: „oni byli pobici!” Niechaj żona generała amerykańskiego odrzeczce na to: „Prawda, ależ w starciu dwóch armii, chociażby równych liczbą, stary żołnierz

ma zwykle przewagę nad nowozaciężnym, zresztą więcęj oni położyli nieprzyjaciół, niż utracili swoich!“ Jeżeli ktoś doda: „Ależ zdobyta Filadelfia, przedmurze wolności amerykańskiej.“ Odpowiedz na to grzecznie lecz stanowczo: *Vous êtes des imbéciles!* Filadelfia to nędzne miéścisko, otwarte na wszystkie wiatry! Bóg wie dla czego kongres obrał je na stolicę! Jeśli mimo to niedorzeczne pytania nie ustaną, generałowa może śmiało pokazać drzwi natrętom.

Wiadomość o klęskach Ameryki przeraziła Francuzów, lecz tém żywszy obudziła w nich zapał. Porwany siłą opinii publicznej Ludwik XVI podpisuje traktat. Wojska posiłkowe płyną do Ameryki. „Francuzi płyną! mówi autor, nie wszyscy powrócą z tęg wyprawy! ale kiedy po ubiegłych stu leciech rolnik wyorze pługiem zbielałe kości, na widok ich, przyszy Amerykanin wspomni z wdzięcznością tych, którzy wytoczyli krew w jego sprawie!“

Krwawy chrzest czekał Francuzów pod murami Sawanah. „Było to, mówi autor, 9 października 1779 roku. Wice admirał d'Éstaing, i generał Lincoln, obaj spokojni, nieustraszeni, zagrzewają przykładem własnym kolumny obłęźnicze. Wojsko rzuca się do ataku, rażone ogniem to ustępuje, to znów pomyka naprzód. Dwa sztandary zatknięte już na szanćach. Dzielny Pułaski z bohatérską odwagą przebiega wcał pomiędzy redutami; przez 55 minut Francuzi i Amerykanie pod ognistym gradem kul, współzawodniczą o pierwszeństwo. Daremne wysilenie! Trąba dzwoni na odwrót. Wśród trupów francuzkich i amerykańskich, poznano zszarpane kulami ciało Kazimierza Pułaskiego!“

Na tych to kościach szlachetnych ofiar, zbudowany gmach niepodległości amerykańskiej.

Pomijamy opisy świętych zwycięstw, któremi Amerykanie, wsparci ramieniem Francuzów, pomścili na Anglikach, krew walecznych stoczoną pod Sawanah. W wymownym wstępie do dzieła p. Chotteau, professor Laboulaye wylicza długi poczet bohaterów tęg wielkiej epopei: Obok imion Washingtona, Lafayettea, Rochambeau, Viomenila, Lincoln i tylu innych, przypomina imiona Kościuszki i Pułaskiego. „Aby odżywić te wspomnienia, kończy professor, aby rozbudzić tęg przeszłość pełną chwały, postanowiliśmy wznieść w zatoce Nowojorskiej, kolosalny posąg, który stawi przed oczy przyszłym pokoleniom, pamigę całowickowych związków, łączących Francją z Ameryką. Ktokolwiek zbada historią tęg epoki, nie obwin nas o próżny entuzjazm. *Lud zdolny przepomnieć wielkich dziejowych wspomnień, to istny marnotrawca rzucający na wiatr najdroższy spadek odziedziczony po praojcach.* Siła narodów leży po więcęjszég części w ich historii, a kiedy owa historia ma tak bohatérskie stronnice, jak wyprawa nasza do Stanów Zjednoczonych, zatracić je byłoby zbrodnią. Z synowską tęg miłością otrząsnijmy je ze stóletniego pyłu, powrócmy im dawną ich świetność. Tak uczynił p.

Chotteau, ztąd dzieło jego wiele naucza, a zarazem najwyższe budzi zajęcie!

Wystawa rzeźb i obrazów od miesiąca już przyciąga do siebie cały Paryż, a my dziś dopiero dajemy pobieżny jój przegląd. Zwiedzaliśmy ją wprawdzie przed wysłaniem czerwcowej korespondencji, lecz wtedy mieliśmy o niej, zbyt chaotyczne jeszcze pojęcie. Obejrząc cztery tysiące dzieł sztuki, nie tak to łatwo jak się wydawać może; wyobraźmy sobie tylko dwadzieścia pięć sal, zawieszonych całkiem obrazami, dodajmy do tego ogród pełen grup, posągów i popiersi, dodajmy długie galerie, zapełnione mnóstwem akwarel i rysunków! Gdyby to przynajmniej można przechadzać się swobodnie po owych salach i galeriach! gdyby co krok nie rozbijać się o te tłumy, które jak śmy do światła, biegną ku temu co najbardziej błyszczyl! Tę swobodę znaleźć tu można tylko w godzinach rannych; kto więc pragnie sumiennie obejrzeć wystawę, musi wielokrotnie do niej powracać. Obowiązek to nie nazbyt uciążliwy, gdyż w ogólności, wbrew utyskiwanom pesymistów, wystawione w tym roku dzieła, świadczą, że sztuka nie upada bynajmniej we Francji.

Dwa prądy wstrząsające silnie dzisiejszém społeczeństwem, wystąpiły do zapasu tak na polu malarstwa jak i rzeźby. Walkę tę chciał zapewne uwydatnić Bonnat w obrazie *Jakóba mocującego się z aniołem*. Jakób wyobraża ziemską rzeczywistość, anioł jest uosobieniem ideału. Biegły malarz, ale zawzięty zwolennik szkoły realistycznej, Bonnat nie umiał ani pojąć ani oddać promienistego zstąpienia niebios. Przedstawił on dwóch równie krzepkich, równie muskularnych zapaśników. Jakób oparty stopami o ziemię, czuje się potężniejszym od przeciwnika; schwycił go też oburącz za bary: tylko patrzeć jak go powali i przycisnie kolanem. Gdyby nie ogromne skrzydła i nie gwiazda na czole, niktby się ani domyślił, że ten barczysty junak z włosem kudłatym, z twarzą nabrzękłą i czerwoną, z żyłami wydętymi od wysilenia, jest mieszkańcem sfer eterycznych; walka oddana wybornie, ale to walka dwóch cyrkowych gladiatorów; jeden z nich musi zostać na arenie: tym skazanym znać anioł w pojęciu malarza realisty. Nie pierwszy to raz Bonnat wziął sobie za cel zniżyć do ziemskiej rzeczywistości, najwyższą świętość, jaką uwielbił świat cały. Pamiętamy jeszcze tego trupa na krzyżu, którego malarzowi podobało się nazwać Chrystusem, a który wywołał takie walki pomiędzy krytykami dwóch przeciwnych obozów. Sąd przysięgłych przed dwoma laty nie nagroził wielkim medalem tego straszego krzyża, i w tym roku nie potwierdził żadną nagrodą, tryumfu rzeczywistości nad ideałem.

Nie łatwo zabić ideał we Francji; ma on tu potężnych przedstawicieli, których ramię dość silne, aby utrzymać sztandar i odeprzeć powódź realistyczną. Do najdzielniejszych pomiędzy nimi należy niewątpliwie Gustaw Doré. Niezmordowany ten rysownik od lat kil-

ku pochwycił pędzel i włada nim coraz to potężniej. W przeszłym już roku podziwialiśmy *Dantowskie piekło*, w tym roku w większe jeszcze zdumienie wprawił nas piękny obraz: *Wjazd Chrystusa do Jerozolimy*. Obraz to ogromnych rozmiarów, największy ze wszystkich jakie widzimy na wystawie. Naliczyłoby na nim setki osób a jednak niema tu najmniejszego zamieszania. Każda postać niezbędna, każda odgrywa swoją rolę, a wszystkie razem jakże harmonijną tworzą całość! Między dwoma rzędami gmachów otaczających szeroki rynek, wznosi się wielka sklepiona brama. W tę bramę wjeżdża Chrystus: pachołeta murzyńskie prowadzą osiołka. Oblicze Zbawiciela spokojne, jasne, promieniste, panuje po nad tłumem; oczy wszystkich obrócone ku Niemu, z tysiąca ust wybiega *Hozanna*, z tysiąca rąk sypią się palmy i wieńce kwiatów. Lud strojny w świąteczne szaty z całym przepychem wschodnim. Słoneczny błękit nieba, nie przyćmiony żadną chmurką, odpowiada powszechnej radości. Otucha napełnia serca, tak bogaczy jak i nędzarzy. Jedni upadają twarzą na ziemię, drudzy patrzą w Chrystusa z najwyższą miłością. Dwie tylko grupy odróżniają się widocznie od innych. Po jednej stronie stoją na podwyższeniu jawno grzesznicy w szkarłacie i bisiorach, pokryte klejnotami: wzrok ich trwożliwy, lica zbladłe. Po stronie przeciwnej widać grono mędrców i faryzeuszów. Szatański uśmiech przebiega im po ustach, z nienawiścią patrzą w Nazarejczyka, z pogardą na te korzące się tłumy. Wyrok śmierci znać już zatwierdzony w ich radzie.

Chmary widzów otaczają ten obraz, wszystkie pisma żywo nim zajęte. Krytycy wahają się w sądach, niektórzy radziby nazwać go arcydziełem, ale jakże tu stanąć z sobą w takiej sprzeczności? Od lat kilkunastu krzyczą bezustanku na Dorego: „Porzuć pędzel! małoż dla ciebie tryumfu artysto, że cię świat ogłosił pierwszym rysownikiem współczesnym!“ Gustaw Doré nie zważa na te krzyki; korzysta pilnie z uwag znawców, odpowiada na nie coraz to piękniejszymi utworami i w tym roku przewyższył sam siebie: nigdy jeszcze twórczy geniusz jego nie sięgnął takich wyżyn. Krytyka jednak chwieje się, dopatruje plamy na słońcu; zarzuca to zbyt techniczny pośpiech, to nadmiar bogactwa w kolorycie i akcesoryach. Nie wybiła jeszcze godzina dla Dorego, nie oceniono dotąd utworów jego pędzla, według ich rzeczywistej wartości.

Drugim wielkim zapaśnikiem ideału jest Puvis de Chavannes, najoryginalniejszy zapewne z malarzy tegoczesnych. Nieprzyjaciel sztucznych efektów, za któremi tak dziś gonią artyści, wpadł on w przeciwną może ostateczność. Koloryt jego blady, jakby wypełzły, postacie wątłe, duch widocznie przemaga w nich nad ciałem, ale zato z jakąż potęgą ten duch objawia się w każdym zarysie, w każdym dotknięciu pędzla. Realisci tóż, za każdą nową pracą, obrzucają go tysiącem obelg i pocisków, dzienniki szydzą z niego bez litości; publiczność zbyt skora do wierzenia dziennikom, uśmiechem pogardy, po-

mija jego prace. Puviss de Chavannes nie troszczy się o to bynajmniej, idzie śmiało obraną drogą i wdziera się wytrwale na te wyżyny, z których przyswiecać ma Francyi.

Wielki artysta znalazł godne siebie pole w pracy, do której go powołano w tych czasach. Dyrekcya sztuk pięknych, zatrwożona powodzią realizmu, tak grozną dla sztuki, postanowiła wyrwać ją z ciasnego koła i skierować do wyższych celów. Obrano zatem ogromny kościół św. Genowefy, zwany Panteonem, na wiecznotrwały pomnik sztuki religijnej XIX wieku. Na ścianach przybytku ma być nakreślona pędzlem historia religijna starożytnej Francyi. Tak ozdobiony kościół stanie się dla sztuki francuzkiej tém samém, czém jest *Campo Santo* florenckie, *Watykan* rzymski, *Pałac Dożów* w Wenecyi, dla sztuki włoskiego odrodzenia: wielką pracownią całej generacyi pierwszorzędnych artystów dzisiejszych i wiecznym pomnikiem ich chwały. Powołano w tym celu kilkunastu najznakomitszych malarzy, między nimi Cabanela, Baudrego, Meissonniera, Józefa Blanc i Puvissa de Chavannes. Dwaj ostatni odpowiedzieli na wezwanie. Puviss wystawił w zarysach cztery kompozycye, które mają ozdobić jeden bok nawy: nigdy ten artysta nie podniósł się jeszcze do takiej wysokości.

Na wielkim kartonie widzimy świętych biskupów Germana i Lupusa; spotykają w Nanterre maleńką Genowefę. Kompozycya składa się z trzech części, są to niby trzy pieśni wielkiego poematu. W pośrodku biskup German wsparty na pastorał, dotyka ręką czoła dziewczynki na znak, że w niej poznał wybrankę bożą. Genowefa stoi przed nim, patrzy mu w oczy bez trwogi, z dziecięcém zaufaniem. Ojciec i matka, w korniej postawie, słuchają przepowiedni kapłana, powtarzając w duszy *Magnificat*. Wkoło téj grupy zebrał się lud wiejski: niewiasty klęczą, włościanie patrzą zdumieni. Krzepka postać tych Gallów, oddana z wielką siłą i prostotą.

Po obu stronach rozwijają się nowe sceny pięknego poematu; na prawo stoi u brzegu łódź, która tylko co przyniosła świętych pasterzy: przewoźnicy patrzą na nich z poszanowaniem. Nieco dalej z głębi chaty, stary ojciec wnosi na barkach chorego syna, ufny, że modlitwa świętych wnet powróci mu zdrowie; matka całuje syna w czoło, pewna że cud się spełni. Po lewój ręce, wieśniacy i wieśniaczki krzątają się około domowych zajęć, ale myśl ich odbiegła daleko; przed stajenką kobieta doi krowę, którą mąż pochwycił za rogi; córka trzyma szkopek, ale zapatrzona w świętych przechyla go i wylewa mléko. Mała dziewczeczka z niemowlęciem na ręku pośpiesza ku pasterzom. Mularze przerywają robotę. Obraz to prawdziwie idealny, życie ludu rolniczego oddane z prawdziwą poezią.

Czwarta kompozycya wykonana farbami, przedstawia Genowefę, jako dorastającą już dziewczeczkę. Na pochyłości wzgórzka klęczy pod drzewem, którego gałązki ułożyły się same w kształt krzyża. Jasne włosy spadają długą kosą na białą jęj sukienkę. Modli się pochylo-

na; zachwyty rozpłomienia jój czoło; głęboka pokora odbija w jój wątkłej postaci. Dwoje wieśniaków, matka z dzieckiem i chłopek z siekierą w ręku, patrzą na nią rozrzewnieni. Brzask ranny słabo oświeca krajobraz, wszystko w nim technie ciszą i religijnym spokojem.

Inny całkiem charakter ma wielka epopea Józefa Blanc, przeznaczona na ozdobę drugiej nawy panteońskiego kościoła. Widzimy ją tylko naszkicowaną i to w zmniejszeniu, ale z tych śmiałych zarysów ocenić już można całą piękność kompozycyi. Składać ją będą dwa obrazy i długi fryz zamieszczony powyżej.

Pierwszy obraz przedstawia bitwę pod Tolbiakiem, stanowiącą w losach Francyi. Klodowusz król Franków walczy zawzięcie przeciw barbarzyńskim plemionom Germanów. Daremne wysilenia! Trwoga padła na serca dzielnym Frankom, parci przeważającą siłą cofają się w bezładzie. Krew płynie potokiem, stosy trupów zasłały pole bitwy. Klodowusz na białym koniu broni się rozpaczliwie. Dosięgnięty oszczepem, nie chce jeszcze ustąpić, przyboczny rycerz pociąga gwałtem królewskiego bieguna. Po prawej ręce uciekają Frankowie, dopędzają wozów rozstawionych taborem na uboczu, ale niewiasty okrążyły tabór, odganiają mężów i braci, nakazują im walczyć w obronie rodziny i ogniska. Od lewej strony posuwają się zastępy Allemanów, z królem swoim na czele. Widzi to Klodowusz, wie że nie wytrwa dłużej. Uderzony myślą nagłą, przypomina radę małżonki. „O Chryste! zawoła, Boże Klotyldy mojej, otocz mnie Twą opieką!“ I oto spełnił się cud, Chrystus rozsuwa obłoki, wybiegają z po za nich legiony aniołów, godzą w nieprzyjaciela, dźwiękiem niebiańskich trąb zachęcają Franków do bitwy.

Drugi obraz przedstawia chrzest Klodowusza. Król stoi zanurzony w ocembrowanej wodzie, św. Remigiusz pomazuje czoło królewskiego neofity, wymawiając pamiętne słowa: „Pochyl głowę dumny Sykambrze, czcziej to coś dawniej palił, spal to co dawniej czciał!“ Rycerskie druhy stoją opodal, gotowi przyjąć chrzest z rąk biskupa: dwie siostry królewskie czekają nieco bliżej.

Osoby téj wielkiej epopei, które nie mogły znaleźć miejsca w obrazach, przedstawione na fryzie w długim szeregu. Otwiera pochod religia z krzyżem prowadząca Klodowusza, dalej idzie święta Klotylda a za nią trzej synowie, potem biskupi i dostojnicy. Wspaniały ten szereg zakończy Marcin z Tours, pierwszy kronikarz Franków; pisze historję kraju, pod natchnieniem anioła.

Oprócz tych wspaniałych szkiców, dział religijny nie zbyt bogato przedstawiony w salonie; byłyby jednak w błędzie, ktoby ztąd wnosił, że wzniosła sztuka upadła we Francyi. Odpowie na to pesymistom pięćdziesiąt wielkich kompozycyi, objętych w katalogu jako tegoroczne utwory, a wykonane na murach kościołów w Paryżu, Rouen, Tours, Nançy, Belforcie i t. d. Prześliczne obrazy na ścianach u św. Sulpicyusza, św. Ksawerego i w kaplicy Sorbońskiej, że pominie-

my tyle innych, świadczą że religijna sztuka ma tu jeszcze gorących zwolenników pomiędzy malarzami. I na samejże wystawie uderza pięknnością *Madonna z Dzieciątkiem*, Delobba, *Chrystus po śmierci otoczony świętymi i niewiastami* Hennera, *Zbawiciel na krzyżu* Michelsa, *św. Jan Chrzciciel wołający na puszczy*, Peraulta i t. p. Nie będziemy opisywać tych obrazów, przedmioty w nich nie nowe, po stokroć już widziane, cała ich oryginalność polega na tém osobistém uczuciu, co wybiegło z duszy malarza, a odżyło w utworze: nie oddać tego słowem.

Z utworów biblijnych, kilka nagrodzono medalami, jak obraz *Adam i Ewa* po upadku, *Dawid po zwycięstwie nad Goliatem*: panuje nad wszystkimi prześliczna *Sulamitka z Pieśni nad Pieśniami*, słuchająca głosu zbliżającego się oblubieńca. Piękny ten obraz Cabanella przeznaczony do jednéj z nowojorskich galeryi.

Przejdźmy do obrazów historycznych. Na samym wstępie do głównego salonu, uderza w oczy *Joanna d'Arc*, olbrzymi obraz pana Mouchablou. Bohatérka uzbrojona od stóp do głów, dosiada dziarskiego bieguna; obie ręce podniosła w górę: w jednéj błyska miecz, w drugiej rozwiany sztandar. „Śmiało! naprzód!“ woła na rycerstwo, ukazując bramy Orleanu, i wyższą parta siłą, pędzi w cwał po trupach Anglików. Obraz to nie bez zalet, a jednak nie zadowolił Francuzów; wielki ideał, jaki noszą w sercu, przerasta wszelkie utwory sztuki, któremi dotąd mistrze pędzla i dłuta uczcili Joannę. Ani Ingres, ani nawet idealny Ary Scheffer, słowem żaden z malarzy, nie umiał dotąd przejąć się wielkością przedmiotu ani pochwycić jakby należało w ramy sztuki, tak cudownego w dziejach zjawiska.

Mniejszy rozmiarem obrazek Alzacyjny Schutzembergera, przedstawiający także *Dziewicę Orleańską*, bardziej jakoś chwyta za serce. Malarz ukazał ją prostą dziewczką wiejską: stoi w lesie oparta plecyma o pień dębu, odziana w ubogą błękitną sukienkę i czerwony fartuszek; na głowie ma białą chusteczkę, z pod téj czarne włosy wybiegają w beładzie. Gromadka owiec skubie trawkę w pobliżu. Dzieweczka trzyma w ręku druty z pończochą, ale nie patrzy na robotę, obróciła oczy ku niebu: śnać cudowne głosy potrąciły jéj ucho. Mały to obrazek, ale pełen myśli i rzetelnego uczucia.

Tłum widzów zatrzymuje się przed ogromnym obrazem p. Beniamina Constant, przedstawiającym *Wjazd cesarza Mahometa do Konstantynopola*. Sułtan na koniu barwy stalowój, otoczony licznym orszakiem wezyrów, panów i zbrojnej straży, sunie pomału ku bramie Ś-go Romana. W ręku trzyma zieloną chorągiew, zakończoną złotym półksiężycem. Przybrany ciemno, zimny, surowy, poważny, wygląda jak uosobiony fatalizm, jak ślepe narzędzie woli nieprzebłąganego Allaha. Wśród tych panów, błyszczących szkarłatem, strojnych w dyftyki i klejnoty, których czoło połyska dumą, lica płoną rumieńcem szczęścia, on sam tylko spokojny. Śnać nie poruszają go okrzyki tryumfalne zwycięzców, ani jęki boleści pokonanych. Rumak pro-

wadzony silną ręką, równie spokojny jak pan, gotów deptać po trupach pasterzy i kapłanów, zawałających wewnątrz bramy. Benjamin Constant należy do szkoły kolorystów, stworzonej przez Regnaulta. Przedmiot sam otworzył mu szerokie pole do ugrupowania najjaskrawszych barw i zlania ich w harmonijną całość. Obraz też jego, nadzwyczaj efektowy, uderza wyobraźnią, ale nie zadowolni tych, którzy w sztuce szukają wyższego ideału.

Gorączkowa pogoń za efektem, chęć oddziaływania raczej na zmysły niż na ducha, jest prawdziwą chorobą dzisiejszych artystów, chorobą grasującą zarówno w malarstwie jak w literaturze dramatycznej i powieściowej. Ztąd owe dziwaczne wyszukiwania oryginalnych przedmiotów. Weźmy np. obraz p. Motte, pełnego talentu malarza. Przedstawia on *Baala pożerającego jeńców wojennych w Babilonie*. Na drugim planie sterczy dziwaczny jakiś pomnik; piedestał wyobraża głowę Baala, z rozwartą paszczy potworu bucha jaskrawy płomień. Nieszczęśliwe ofiary ciągną długim szeregiem, poglądając w straszliwe ognisko. Postacie te wykonane biegłym pędzlem; widzowie ugrupowani na pierwszym planie, ubrani są według ówczesnej mody z całą ścisłością archeologiczną. W głębi wznoszą się olbrzymie mury Babilonu. Nic tu zarzucić nie można, pomysł tylko okropny.

Równie przerażający obraz Pawła Laurent: *Franciszek Borgiasz przed trupem Izabelli portugalskiej*. Kilka słów wyjętych z kroniki tłumaczy rzecz dokładnie. Na rozkaz cesarza Karola V, Borgiasz odprowadzał do Grenady ciało cesarzowej Izabelli. Po uroczystym pogrzebie, kazał otworzyć trumnę, aby przekonać się czy w rzeczy samej zamyka ciało zmarłej monarchini. Śtudzy podnieśli wieko. Franciszek Borgiasz stoi nieco opodal, odziany w żałobę; na piersiach ma order Złotego runa. W obec trupa uchyla kapelusz z całą ogładą dworską, lecz umysł jego jakby ugodzony piorunem. Ta, którą widział niedawno błyszczącą wdziękiem i chwałą niewieścią, otoczoną przepychem tronu, dziś przedstawia się w całej ohydzie trupiwej. Policzki jej zsiniały, niby porosły pleśnią. robactwo łączy się w zapadłych jamach ocznych, wyżarło już część nosa. Usta półotwarte zdają się mówić *sic transit gloria mundi!* Z tą zgnilizną grobową, straszłą stanowi sprzeczność suknia ze złotej lamy i poduszka ze złotogłowiu. Światło zapalonej w głowach gromnicy, pada na twarz umarłej. Przy trumnie leży korona; dym bucha z kadzielnicy stojącej w nogach. Po jednej stronie klęczy kapłan w białej komży; po drugiej stoi dama dworska. Snadno pojąć przerażenie posła w obec rzeczywistości, skoro malowany obraz takim już przejmuje wstrętem. Wielkie było to przerażenie; poświadcza je historia. Od tej chwili Franciszek Borgiasz opuścił dwór, zamknął się w murach klasztornych, poświęcił żywot modlitwie i rozmyślaniu. Kościół zaliczył go pomiędzy świętych.

Okropniejszy od tych wszystkich obraz młodego malarza Sylwestre, przedstawia już nie martwego trupa, ale żywą ofiarę wijącą się w kontorsyach śmiertelnych. Przedmiotem obrazu ohydna Lokusta, trucicielka w posługach Nerona, probująca na niewolniku jadów, którymi zada śmierć Brytanikusowi. Neron patrzy na próbę. Rzecz dzieje się w podziemnej krypcie Palatynatu; wątpliwe światło wpada przez małe okienko opatrzone kratą żelazną. Niewolnik tylko co wypił zatruty płyn, odrzucił próżną czarę; płomień pożera mu wnętrzności; upadł na ziemię: nie straszniejszego jak ta postać z okiem osłupiałem, z ustami szeroko rozwartemi. Prawą rękę przyciska do piersi, lewą wyprężył gwałtownie; boleść kurczy mu ciało, wykręca nogi; te rzuty konwulsyjne nie zeszpeciły jednak atletycznych form: kona estetycznie jak gladiator w cyrku. Neron siedzi w krześle marmurowém, piersiami naprzód pochylony, wzrokiem pożera swą ofiarę; piekielna radość maluje się na obliczu przyszłego bratobójcy. Lokusta siedzi tuż obok na prostym stołku; wychudłą rękę wsparła na kolanie Nerona. Rysy jęj szpetne, twarz zakłęśta, włosy czarne tłuste, przylegają do skroni. Wyobraźnia ludzka nie wymyśli nic straszliwszego, nad tę piekielną wiedźmę.

Pod względem wykonania obraz ten wprawia w podziw wybrednych nawet znawców. Podziw słuszny; malarz ma zaledwie lat dwadzieścia sześć! o nim to śmiało powiedzieć można: młodzieńcem zdusił Centaury! Miejsmy jednak nadzieję, że nim do nieba sięgnie po laury, wytrzeźwiony z młodzieńczych szałów, czerpać zechce natchnienie z innych krynic, i inne uganiać ideały.

Sylwestr za swego Nerona otrzymał złoty medal i stypendyum do szkoły francuzkiej w Rzymie.

Prąd nihilistyczny powiał dziś na młodych artystów. Pod wpływem panującej epidemii, wywekli z przeszłości najstraszliwszą postać jaką wydały dzieje. Krwawy typ grozy i zatury. Jak gdyby nie dość było jednego Nerona i jednej Lokusty na wystawie, inny malarz p. Aublet, podjął tenże sam przedmiot, z niezwykłym także talentem. Wkrótce zobaczymy tu i trzeciego jeszcze Nerona! Dzienniki włoskie rozpowiadają dziwy o wielkim obrazie p. Siemiradzkiego, świeżo wystawionym na widok publiczny w Instytucie sztuk pięknych w Rzymie. Młody ten malarz rodem z Charkowa, wykonał na ogromném płótnie, mgli chrześcian oskarżonych o spalenie Rzymu. Neron i Poppea patrzą na widowisko, otoczeni gronem strojnych matron i senatorów uwieńczonych w kwiaty. U stóp ich leży tygrys, najłagodniejszy z tój grupy pijanej krwi i szałem. Oprawcy niosą na palach długie szeregi ofiar, upowitych w smolne powrośła. Błyszczą już pochodnie, kat powiewa szkarłatną chorągwią, wnet rozpocznie się ohydny dramat.

Obraz panna Siemiradzkiego spodziewany w Paryżu, upokorzy zapewne tutejszych Neronofilów, którym nie starczy ani tchu w piersi, ani farb na palecie, do malowania podobnych okropności.

Od tych przerażających Lokust i Neronów, zwróćmy oczy na piękny obraz p. Gersona, pełen poważnej a spokojnej harmonii. Warszawianom znany zapewne ów Kopernik, rozwijający swój systemat planetarny przed areopagiem złożonym z najsłynniejszych osobistości współczesnych; opisywać tę świetną grupę byłoby też rzeczą zbytęzną. Niech nam tylko będzie wolno połączyć nasz poklask, z poklaskiem znawców paryzkich, którzy wysoko ocenili ten utwór.

Zajął nas także obraz p. Alchimowicza z Wilna: *Lizdejto z córką na gruzach świątyni Perunowój*; boleść kapłana z wielką oddaną siłą. Żałujemy, że obraz pomieszczony za wysoko, co utrudnia rozpoznanie szczegółów.

Lepsze zajmuje miejsce wielki obraz p. Centnera Lwowianina, przedstawiający *Hold Ottokara przed Rudolfem Habsburskim*, po klęsce 1275 roku. Pod starym dębem siedzi Rudolf w zbroi i żelaznym szyszaku. Ottokar z siwą do pasa brodą, klęczy pokornie, miecz niegdyś zwycięzki, składa mu pod stopami. Za Ottokarem stoi niewiasta z dwojgiem dzieci, za Rudolfem zbrojne rycerstwo. Ugrupowanie piękne, koloryt pełen harinonii. Dlaczego tylko—pytamy—artysta z takim talentem, nie wybrał bliżej obchodzącego nas przedmiotu, niż tryumfy domu habsburskiego?

Od swoich przejdźmy do pobratymców. P. Jarosław Czermak utalentowany malarz czeski, po dwakroć już zaszczycony medalem na paryzkich wystawach, wykonał w tym roku bardzo oryginalny obraz: *Epizod z oblężenia Naumburga*. Naczelnik Husytów Prokop Kysy, w ustawicznych zapasach z Niemcami, doprowadził miasto Naumburg do prawdziwie opłakanego stanu. Rozpacz ogarnęła mieszkańców, wystawionych na najsroźsze gwałty. Wówczas dyrektor szkoły wpadł na myśl szczęśliwą; wysłał do zwycięzcy poselstwo złożone z gromady drobnych dzieci. Prokop w odziczy czarnej, otoczony zastępem zbrojnych druhów, siedzi w pośrodku sceny; oczy wlepił w tłumnie nadciągającą dziatwę. Maleńkie idą naprzód, wyciągają błagalnie rączki; starsze przerażone, cofają się na widok groźnego wodza; dyrektor dodaje im odwagi. Dziewczęta w bieli niosą palmy i wieńce z kwiatów; malec jeden czołga się na czworakach i bawi z leżącym na ziemi hełmem. Scena to bardzo rzewna i oryginalna tak w pomyśle jak w wykonaniu.

Wspomnijmy tu jeszcze piękny obraz malarza belgijskiego de Vrient, przedstawiający *Baldwina księcia Flandryi* z toporem w rękę. Księżę przezwany Toporeczykiem nie wypuszczał z rąk tego oręża. Mściciel nieszczęśliwego ludu, kareił nim gwałty i samowole wielkich. Przebiegał wsie i miasta, wymierzał sprawiedliwość, chłostał winowajców bez względu na ich ród i dostojęństwo. Przybrany w szkarłatny aksamit, siedzi na podwyższeniu; na kolanach trzyma straszny topór. U stóp jego klęczy dziewczyna, błaga sprawiedliwości: matka podtrzymuje półomdłą. Ojciec pokrzywdzonej ukazuje ręką sto-

jącego opodal magnata. Biada mu! Baldwin utopił w nim orle żre-nice! Dramatyczna scena oddana z całą prawdą.

Nie wiemy czyli do działu historycznego zaliczyć wielki obraz Tony-Roberta-Fleury, to jednak pewna że należy do najpiękniejszych i najdramatyczniejszych na wystawie. Wyobraża on sławnego lekarza *Pinela w szpitalu obłąkanych*. Rzecz dzieje się w r. 1795. W czasach kiedy odrodzone społeczeństwo odetchnęło pod tarczą nowych praw, Pinel zapragnął osłodzić los nieszczęśliwych ofiar, oddanych jego straży. Widzimy go w pośród grupy skutych w łańcuchy niewiast; na rozkaz jego, kowal rozkuwa ręce młodej dziewczyny. Po jednej stronie widać grono dozorców i dozoreczny szpitalnych, po drugiej biedne obłąkane w rozmaitych postawach. Jedna w napa-dzie furji gryzie pięść własną, druga oswobodzona już pada na zie-mię, całuje rękę dobroczyńcy. Inna rozwarła usta, śnać krzyczy przeraźliwie; tamta znów niańczy lalkę obwinietą brudnym szmatem, w złudzeniu że piastuje własne dzieciątko. Niepodobna bez dreszczu patrzeć na ten obraz: kto go widział, nigdy go nie zapomni. Smutny jego realizm zrównoważony przecież idealną postacią Pinela.

Obrazów mytologicznych nie brakuje w tym roku, liczba ich jednak mniejsza niż to bywało w innych latach. Malarze idąc za ogólnym popędem, chciwi gwałtownych efektów, wybierali z pomię-dzy greckich bożyszcz, raczej przerażające grozą, niż tchnące olim-pijskim spokojem. Zobaczmy oto *Herkulesa walczącego z hydrą ler-neńską*, utworu p. Moreau, malarza pełnego twórczej fantazyi. Młody i dziwnie piękny bohater, spostrzega hydrę; wsparty maczugą idzie spokojnie do niej. Hydra ta nie przypomina zwykłych smoków, których tak już nadużyli malarze; wygląda jak wąż olbrzymiej wielkości. Na widok bohatera, podniosła się z kałuży, stanęła dębem, wywinęła z wnętrza swego setki ramion zakończonych paszczami. Herkules nie podniósł nawet maczugi, okiem tylko zmierzył potwora. Ona nie zniesie płomieni tego wzroku! W myśl tegoczesnej erudycyi, malarz wyraził w Herkulesie dobroczynną potęgę słońca, które osu-szyło ziemię z zatrutych miazmatów, pożerających ludzi. Okropnie wygląda to legowisko w pośród skał, oświecone blaskiem wschodzącej zorzy. Pełno tu niedożartych trupów, nóg i rąk sterczących nad mozarą, napół odartych z ciała. Są to wszystko ofiary strasznej hydry. Obraz uderza oryginalnością pomysłu i biegłym wykonaniem; mimo to przejmie odrazą.

Straszliwszy jeszcze ów *Iksyon* pędzla p. Delaunay! Wyobraźmy sobie potępieńca wplecionego w wiecznie obracające się koło, splekami żywych węzłów; głowa jego na dół zwieszona, policzki na-brzękłe ściekają krwią i potem, usta rozwarłe szeroko. Oba kolana podniósł w górę z konwulsyjnym wysileniem; rękoma zdziera węzeł ściskające mu kadłub. Żaden szczegół nie ginie dla oka; jaskrawy płomień Erebu oblewa całą postać. Tém okropniejszy ten obraz, że wykonany mistrzowskim pędzlem. Jak tu nie ubolewać nad marno-

trawstwem tak wielkiego talentu i tak olbrzymiej pracy! Patrząc na te wysilenia dzisiejszych artystów, w oddaniu najbezpieczniejszych brzydota, na jakie wyobraźnia ludzka zdobyć się może, pociesza nas tylko myśl, że w tym kierunku dalej iść niepodobna. Musi więc nastąpić konieczny zwrot na drogę prostoty, od której nieszczęściem zbyt dzisiaj odstąpiono, i to nie w samym tylko malarstwie, ale we wszystkich działach sztuki.

Poważni estetycy przerażeni tym gorączkowym szałem, badają przyczynę choroby, i widzą ją w zbyt często powtarzających się wystawach. Aby wśród tego nawału prac mniej więc udanych, uderzyć uwagę publiczności, artysta wyszukuje nadzwyczajnych efektów; rzuca przed oczy widzom race fajerwerkowe. Ogół przyklaskuje, lecz zatracca smak estetyczny. Poeta Laprade, w rozprawie nad zagadnieniem sztuki wyrzuca artyście, ten szkodliwy popęd do schlebienia bezmyślnemu tłumowi. „Jeśli—mówi on—ogół przyjdzie kiedykolwiek do poznania prawdziwego piękna, zawdzięczy to jedynie tym z pomiędzy artystów, którzy nie zechcą mu pochlebiać. Kto pragnie podnosić duszę drugich, niech własnej nie poniża; a cóż więc poniżyć może artystę, jak odbieranie hołdów, zdobytych kosztem własnego ideału? Nie idzie tu o poklask, idzie raczej o sumienie i prawdę!”

Drogą wskazaną przez Laprade szli dwaj wielcy mistrze tej epoki: pejzażysta Corot i malarz scen ludowych, zmarły niedawno Millet. Obaj pracowali długie lata, niespostrzeżeni, nie wsparci zachętą ani sympatycznym poklaskiem, i wprzód siwy włos obielił im głowy, nim współcześni uwieńczyli je bluszczem. Ale imiona ich świecić będą w dziejach sztuki francuskiej, gdy tyle innych dziś głośnych, przebrzmi za chwilę bez oddźwięku!

Jeżeliśmy wskazali panujący dziś popęd gonienia za efektem, nie chcemy bynajmniej utrzymywać, żeby ta choroba miała być ogólnie grasującą. Wspomnieliśmy już powyżej religijne obrazy Puvisa de Chavannes, pełne idealnego spokoju i powagi. Taż sama cisza, tenże sam religijny spokój panuje w obrazie naszego ziomka Zdzisława Suchodolskiego, którym słusznie pochłubić się możemy, na tegorocznej wystawie paryzkiej. Jest to *pogrzeb mnicha Kameduli*. Noc zapada, zorza wieczorna czerwonym pasem maluje się na tle widnokręgu. Brzegiem lasu, wśród dębów ciągnie żałobny orszak. Otwiera pochód mnich z czarną chorągwią, drugi z krzyżem. Cztery zakonnice niosą na marach ciało zmarłego; za nimi ciągną dwoma rzędami pobożni Kameduli, trzymając w ręku zapalone gromnice. Szereg ich bardzo długi. Podczas gdy pierwsi dochodzą już grobów wykutych w skale, inni zstępują z dalekiego pagórka, ledwie dojrzani w oddaleniu. W tych obliczach napół przysłoniętych kapturem, dziwna panuje różnorodność, przy wielkiej harmonii. Ci płaczą, tamci patrzą z ufnością w niebo: jedno technienie ożywia wszystkich. Prześliczny ten obraz ściągą na siebie powszechną uwagę. Najważniejszy z krytyków tutejszych Karol Clement, zwykle uniarkowany w po-

chwałach, podnosi go nadzwyczaj wysoko. Powtarzamy tu jego słowa; przy tak chlubném świadectwie znanego estetyka francuzkiego, nikt nas nie obwini o przesadę w pochwałach.

„Nie sądzę—mówi Clement—aby znalazł się w salonie, choćby jeden utwór nacechowany tak wysoką poezją, owiany takiem tchnieniem idealném, taką siłą uczucia. Najdoskonalsza panuje zgoda pomiędzy przedmiotem a wykonaniem. Surowa piękność miejsca, owe białe postacie, przesuujące się w milczeniu wśród samotności, w téj głuchéj ciszy leśnéj, ta poważna i harmonijna całość obrazu rozpromieniona ledwie blaskiem gasnącéj zorzy: wszystko to silnie porusza umysł i duszę. Jest to jedno z tych dzieł, głęboko poczutyh, wykończonych z talentem ręką ciepłą, jakie pragnęlibyśmy najczęściej spotykać na naszych wystawach.”

Z radością przytaczamy tu ocenienie pierwszego z krytyków francuzkich, równie zaszczytne dla malarza jak dla kraju, który wbrew panującym prądom, jeszcze wydaje tak wysokich idealistów.

Obok tego obrazu postawić można śliczną kompozycją włoskiego artysty Ceccariniego *Chrzest w katakumbach*. Młoda dziewczica w bieli z rozpuszczonym włosiem, stoi w wodzie po kolana; kapłan polewa jéj głowę. Po jednéj stronie klęczą rodzice z lampami w ręku, po drugiéj dwie młode niewiasty trzymają szaty neofitki. Wszystko tchnie ciszą i głębokiém namaszczeniem ducha: barwa miejsca i czasu oddana najwierniej!

Aby nie nużyć zbyt wiele uwagi czytelników, poprzestajemy dziś na tém, zostawiając do przyszłej kroniki obrazy rodzajowe, stanowiące bardzo ważny dział w wystawie tegorocznéj. Niepodobna jednym pióra rzutem zbyć tyle obrazów, które jako wyraz życia społecznego, nasuwają mnóstwo spostrzeżeń i na baczną zasługują uwagę. Słótko jeszcze dorzucimy dziś o portretach. Liczba ich bardzo wielka; samych olejnych wystawiono trzysta sześćdziesiąt.

Tak w portretach jak w innych działach sztuki widzimy panujące dwa prądy. Jedni artyści usiłują przedewszystkiém bić w oczy bogactwem strojów i akcesoryów; na czele tych Karolus Duran. Wielki portret kobiety w całej postawie, zstępującej ze schodów, który w tym roku wystawił, mniej krzykliwy od dawnych, dzięki balonów sukni białéj; ale za to ileż na téj sukni pereł, ile haftów, ile draperyj, ile kokard sztucznie ułożonych. Duran przecież prawdziwym jest artystą; obrazy jego i bez tych przesadnych dodatków, miałyby niezaprzeczoną wartość. Dowodem tego portret Emila Girardin, uderzający prawdą i wykonaniem.

Idealniejsze nierównie portrety p. Perignon; jeżeli nie tyle biją w oczy, dłużej za to wzrok zatrzymują. Do najpiękniejszych na wystawie należy portret młodziuchnéj hr. Potockiej. Równie znakomite portrety dwóch chłopczyków, pomieszczone na jednym obrazie, dzieło rzeźbiarza Dubois nagrodzone złotym medalem. Z wielkiém też zajęciem patrzyliśmy na obraz babulki p. Renard, zarówno me-

dalem nagrodzony. Twarz téj starowiny cała pomarszczona, policzki zapadłe, usta zwiędłe, znać bez zębów, oczy bez blasku, jakby za mgłą; mimo to ileż tu wyrazu, ile prawdy! jakże przez to zgrzybiałe i zużyte ciało, promienieje niezgasła dusza. Przekonani jesteśmy, że młody artysta wymalował własną i to ukochaną babunię.

Zupełną sprzeczność z tym obrazem stanowi śliczny portret Chapelina, młoda matka z dzieciąciem na ręku; istny to pączek obok rozkwitłej róży.

Uczennica Chapelina, panna Izydora Mikulska, wystawiła portret młodej kobiety. Z prawdziwą przyjemnością śledzimy od lat dwóch postęp rodzaczki naszej w sztuce.

Wykonany przez nią portret odznacza się wśród innych piękną karnacją i blaskiem życia, tryskającym z wielkich ciemnobłękitnych oczu; włosy płowe lekko wiją się po nad czołem. Czarna jedwabna suknia wybornie odbija, na ciepłobrunatném tle obrazu; podnoszą jej efekt białe koronki spadające na delikatną rękę, starannie wymodelowaną.

Spotkamy jeszcze sympatyczne imię panny Mikulskiej, wśród rodzajowych obrazów, o których powiemy słówko w przyszłej korespondencji, równie jak i o rzeźbach.

Ukazało się w tych dniach ważne dzieło, na polu krytyki artystycznej, któremu otwarta wystawa obrazów, tém większego dodaje znaczenia. Mówimy tu o pracy p. Karola Clement, pod tytułem *Artyści dawni i tegocześni*. Jest to wybór najcelniejszych artykułów, drukowanych w *Debatach*, od r. 1869, tak o wystawach dorocznych jak w ogólności o sztuce. Rozpoczyna rzecz ciekawe studjum nad Rafaelem, któremu szkoła realistów dzisiejszych radaby zedrzyć z czoła promienistą aureolę. P. Clement widzi w tym mistrzu, najwyższy wyraz sztuki chrześcijańskiej. Rafael nieodrodny syn epoki odrodzenia, korzystał niewątpliwie z tradycyi pogańskich, przejął się wytworną formą grecką; lecz ożywił ją tchnieniem głęboko religijném, i to właśnie gorące uczucie nadaje cechę jego genialnym utworom.

Rozprawa nad Michałem Aniołem równie znakomita. Autor podnosi zasłonę pokrywającą młode lata wielkiego mistrza florenckiego. Opisuje krytycznie posąg spiżowy, odkryty niedawno pod gruzami pałacu Saint Cloud, a zachowany w Luwrze jako drogocenny zabytek. Krytyk poznaje w nim posąg Dawida, który rzeczpospolita florencka ofiarowała w hołdzie marszałkowi de Rohan. Pomnik ten odlany był w r. 1508, wkrótce potem przywieziony do Francji, gdzie spoczywał w zamku pod Blois. Ta krytyczna rozprawa podparta dowodami historycznemi, usuwa ostatnio wątpliwości archeologów. Muzeum paryzkie poszczycić się może arcydziełem Michała Anioła.

W innym znów, niemniej ważnym, ustępie, autor rozbiera dzieło dr. Waagen: *Podręcznik do historii malarstwa*. Z wielką erudycją kreśli zarys historyczny sztuki w Niemczech, w epoce najwyższego jej rozkwitu, to jest od XIV wieku, gdy się wyswobodziła z wpływów romańskich i bizantyjskich, a utorowała sobie własne drogi, do czasów Alberta Dürera i Holbeina. Uznając geniusz tych dwóch mistrzów i wielkie znaczenie szkoły niemieckiej w ich epoce, p. Clement zbija najłoiczniej dowodzenia dr. Waagen, który uniesiony pangermańską dumą, usiłuje dowieść, że Niemcy są jedynymi spadkobiercami Greków, że powołani dziś do odegrania w świecie sztuki teje samej roli, jaka w starożytności przypadła Ateńczykom. Krytyk francuzki nie poprzestaje na cześć deklamacyi, ale pokazuje dowodami, że ani Francya ani Włochy nie dały się nigdy i nie dadzą prześcignąć na tém polu.

Z kolei ocenia autor znakomite prace Horacego Verneta, Ingresa, Flandryna, Projona, i innych mistrzów wieku XIX. Zatrzymuje się nad Corotem, twórcą nowój szkoły krajobrazów; nad Gavarnim wielkim psychologiem i moralistą. Pogląd krytyka wytrawny, spokojny, wolny od koteryjnych uprzedzeń. Miłośnik ideału, szuka on przedewszystkiém w pracach nowożytnych artystów owę gwiazdy przewodniczej, wskazującej im drogę w nieskończoność.

Dzieło takiej doniosłości, silnie równoważy szkodliwe wpływy professorów, którzy jak Taine, wzięli sobie za cel podnosić wyłącznie rzeczywistość ziemską w dziedzinie sztuki.

Wspólne niebezpieczeństwo budzi wzajemną miłość pomiędzy narodami; nigdy też Francya nie zajmowała się tak szczerze losami Hollandyi, jak dziś w obec wspólnego nieprzyjaciela. Spotykamy co chwila wśród nowych książek, to powieści tłumaczone z holenderskiego, to rozprawy nad literaturą niderlandzką, to liczne opisy podróży do tych nadmorskich grodów, których mury trzęsły się nieraz pod hukiem dział francuzkich, za czasów Ludwika XIV.

Z pomiędzy innych na szczególną uwagę zasługuje dzieło Henryka Havard pod tytułem: *Frontières menacées* (granice zagrożone). Sam tytuł jest bardzo wymowny, pokazuje cel autora. Pobudkę do podróży i do jęj opisu dał mu ogłoszony niedawno drukiem zarys geograficzny Niemiec, przez dr. Kirchoff prof. uniwersytetu w Halli. Pod ogólną nazwą *Deutsche Aussenlaender* (zewnątrzne kraje niemieckie), prof. podciąga Danią, Belgią, Luksemburg, Szwajcaryą, i wielkie księstwo Lichtenstein. Zobaczmy jak usprawiedliwia ten podział. „Sześć państw powyżej wymienionych, mówi dr. Kirchoff, uważamy jako dopełnienie właściwych Niemiec, leżą bowiem po większej części, w obrębie naturalnych granic niemieckich, a co więcej z małym wyjątkiem, kraje te należały niegdyś do cesarstwa i w części składały konfederacyą niemiecką do roku 1866.

P. Havard przebiega Fryzyą, Groningę, Geldryą i Limburg; bada gruntownie historyczną przeszłość tych prowincyi, które w rzeczy samej wchodziły niegdyś w skład cesarstwa rzymskiego, na tychże samych prawach, na jakich wchodziły w nie północne kraje włoskie; zatrzymuje się potem nad charakterystyką ludów batawskich, odrębnych całkiem od Niemców, tradycją i obyczajem. Kreśli historią tych miast dziś mało znanych, które w średnich wiekach miały swoich bohaterów, swoje wojska, swoje przywileje municypalne; prowadziły między sobą zacięte wojny, istnie jak dawne republiki włoskie, słowem żyły odrębnem i samodzielnem życiem. Z téj bogatej przeszłości, autor zebrał mnóstwo legend i podań historycznych; jedno wydobył pracowicie z miejscowych archiwów i bibliotek, inne z ust wieśniaków, tych najwierniejszych piastunów domowych tradycyi. W końcu dzieła, p. Havard przychodzi do takich wniosków: „Naród ten ani w języku, ani w obyczajach, nie ma nic wspólnego z Niemcami; największy dowód w tém, że mieszkańcy tutejsi nie są ani leniwi ani żarłoczni, ani nieporządni jak poddani króla Wilhelma.”

Drugie to już dzieło Havarda o Niderlandach. O pierwszym, to jest o *Podróży do miast umarłych w Zuidersee*, mówiliśmy już w roku zeszłym. Oba stanowią całość nadzwyczaj zajmującą.

Znany poeta Wiktor Laprade, którego śliczna powieść ludowa *Pernetta*, równą zdobyła popularność we Francyi jak u nas Wiesław Brodzińskiego, wydał niedawno świeży zbiór poetycznych utworów pod tytułem *Trybunowie i Dworacy*. Poeta uderzył w nową strunę swęj lutni, wydobył z niej tony satyryczne godne Juwenalisa. W zbiór ten wchodzi dwie komedye: *Rada familijna* i *Alkad z Tampeo*. Autor przeniósł pole działania na drugą półkulę, do Meksyku; łatwo jednak odgadnąć, że ma na myśli społeczeństwo francuzkie.

W *Radzie familijnej* główny bohater sztuki Don Lopez de Azu-gra przyłożył się czynnie do przewrotu politycznego w kraju. Po przewrocie nastąpił nowy porządek rzeczy, nie odpowiadający bynajmniej jego widokom. Nowa władza usiłuje przeciągnąć Lopeza na swoje stronę; w tym celu bierze za pośrednika jednego z najbardziej wpływowych bankierów. Lopez opiera się zrazu, żona utrzymuje go w zaciętej opozycji. W krótcie jednak miękną małżonkowie. Córka ich pokochała młodego kapitana huzarów. Dobry ojciec, dla szczęścia dziecka zrzeka się dawnych opinii, otrzymuje tytuł ksiązęcy wraz z ogromnym dochodem. *E finita la comedia!* Przed spuszczeniem kurtyny bankier przemawia tryumfalnie:

Wybornie oddziały użyte sposoby,
Nasz Brutus uleczony z szkodliwej choroby.
Dzielnie nowego gmachu podparliśmy belki,
Z wielkim złączon mocarzem obywatel wielki.

pokazując parę zakochaną:

Żeń się z piękną blondynką mój młody brunecie,
A wszystko pójdzie gładko, na tym Bożym świecie.

Druga komedia toczy się w témże samém kole. Alkad Zapato z nieprześląganego demagoga zostaje zawołanym dworakiem. Członek meksykańskiego ayutamento, umie kierować łódką swoją, stosownie do wiejącego wiatru. Jest to spotęgowany typ Lopeza: tamten upadł przez miłość rodzicielską, ten znów w korzyści osobistej, widzi jedyną skazówkę postępowania. Z całym cynizmem wyraża w tym względzie wyrobioną teorią.

Póki władza potężna, służcież jej panowie.
Jeżeli macie pelzać, to nigdy w połowie;
Liżcie pokornie nogę co wam kark przyciska,
Gryźcie ją bez litości gdy upadku blizka.
Po co dla swych przekonañ narażać się marno?
Mówcie według potrzeby: to biało, to czarno.
Ze słońcem wasz zegarek ma iść zawsze w parze,
Mówcie *tak*, chociaż rozum inaczej rzec każe.
Za to przyjdą w nagrodę tytuły i złoto:
Przysięgnijcie mi wszyscy!

— Przysięgniem z ochotą!

Mistrzowski język podnosi wartość tych satyrycznych komedii. Laprade, jak wiadomo, należy do najwytworniejszych stylistów tego czasu: piękność stylu otworzyła mu drogę do Akademii Francuskiej.

Z pomiędzy nowych sztuk jakie w tym roku przedstawiły teatry paryżkie, najwyższą wartość poetyczną ma niewątpliwie maleńka sztuczka Franciszka Coppée p. t. *Lutnista z Kremony*. Paryż przyjął ją z zachwyceniem. Niektórzy tylko krytycy zarzucają Coppemu, czemu nie pisze wielkich pięcioaktowych dramatów. Zarzut to najniesłuszniejszy, wymaganie prawdziwie dziwaczne. Coppée jak biegły jubiler umie rzeźbić drobne klejnoty; nie żądajmyż od niego olbrzymich grup i posagowych figur, ale przyjmijmy co nam daje.

Dramacik odbywa się w zeszłym wieku, w mieście Kręmonie, ojczyźnie Stradivariusa, fabrykanta skrzypców, słynnego na świat cały. Mistrz ten zaniósł do grobu tajemnicę swoją: żaden z uczniów nie potrafił mu sprostać. Stary podesta, nie dawno zmarły, przekazał złoty łańcuch w nagrodę dla artysty z Kremony, który wyrobi najpiękniejsze skrzypce. Lutnista Ferrarri ogłasza zatem konkurs; przyrzeka oddać laureatowi piękną córkę i własny dom w posagu. Dwaj uczniowie Ferrarrego, stają w rzędzie współzawodników konkursowych. Piérwszy z nich, dorodny Sandro, zakochany w młodej

panience; drugi Filippo, ubogi garbusek, sierota, przygarnięty dzieckiem przez litość. Ten ostatni pracuje ukradkiem, mozoli się dniem i nocą, powtarza próbę, nareszcie tworzy arcydzieło. Szczęście jego trudne do opisanego, przygląda się skrzypkom, z miłością mówi do nich:

Dziecię ducha mojego, utwórz mej dłoni,
Pieśń w łonie twém ukryta wnet światu zadzwoni!
Niech się tobie napatrzę, niech tobą napieszczę,
Nie mnie dano rozbudzić twoje wliżki wieszczę:
Dość dla maie, gdy zatopię wzrok pełen tęsknoty
W gładziuchnej jak zwierciadło twój powierzchni złotój.
Dla twojój, dla mej ohwały nam rozstać się trzeba,
Jakiebaż tobie losy przeznaczyły nieba:
Czy powołasz do tańca biédny lud wieśniaczy,
Albo-li przy biesiadzie, na dworach bogaczy
Zadrgniesz pod ręką mistrza uroczu i śpiewnie;
Ja, co wierzę w potęgę zaklętą w twém drewnie,
Błagam cię w téj ostatniej pożegnania chwili:
Gdy pod czarem twych dźwięków tłum czoło pochyli,
Gdy drgną z rozkoszy serca i lica zapłoną,
Myśl o mnie, bom ja duszę mą przelał w twe łono!

Biédny Filippo kocha skrzypki swoje, ale bardziej niż skrzypki kocha on piękną Gianinę. Miłość dla niej dodała mu bodźca do pracy. Ferrari przyrzekł ją temu, kto wykona arcydzieło. Filippo nie przyjąłby jój ręki bez serca, ale któż wie... może serce dziewczęcia skłoni się ku zwycięzcy, szpetna jego postać opromieniona chwałą, wypięknieje może w jój oczach! Gianina tymczasem nie myśli o nim wcale. Obawa, że ukochany jój Sandro może nie będzie zwycięzcą konkursowym, dręczy jój biédne serce. I Sandro, niemniej zatrwożony, opowiada Gianinie jak słyszał grającego współzawodnika.

Noc była tak pogodna! zaduman o tobie
Stałem w oknie i w przestrzeń zatopiłem oczy,
A w ogrodzie słowiczek, wśród nocnej pomroczy
Śpiewał rzewną piosenkę pokryty gęstwiną;
Jój tony jak perelki po nad gwiazdy płyną:
Nagle inna pieśń jeszcze ucho mi potrąca,
Tak urocza, tak boska, tak cudownie brzmiąca,
Jak piosnka ptaszyny: patrzę... aż tu zbliska,
Okienkiem na poddaszu światelko połyska;
Widzę go... nad skrzypkami garbusek schylony
Trąca smyczkiem po strunach i nadziemskie tony
Zbiegają z nich, to smętniej, to niby wesołej,
Słodkie jak czarodziejka piosnka Filomeli.

I z gardziolka ptaszyny i z pod grajka ręki
 Tak się cudnie zlewają harmonijne dźwięki,
 Że w tym chórze cudownym tonę duszą całą,
 I rozróżnić me ucho nawet nie umiało,
 Co rozkoszniej po rosie w niebiosach pomyka:
 Czy cudna gęźba grajka, czyli pieśń słowika!

Gianina drży z obawy, czy Filippo nie odniesie tryumfu. Bada go pilnie... Biedny garbusek nie domyślając się niczego, opowiada jej radość swoją.

Co dnia nim brzask zaświta, już ze snu zbudzony,
 Wybiegam tajemniczo za mury Kremony;
 Sam wiatr mnie nawet w biegu nie dogoni szybki,
 Połą płaszczą otulam drogie moje skrzypki;
 Pędzę daleko w pole, gdzie oczy poniosą,
 I siadam na murawie uperloniej rosą
 I marzę... A gdy zorza widnokrąg zrumieni,
 Gdy słońce kręgiem jasnych rozbłyśnie promieni,
 Gdy przyroda zbudzona dzienny strój przywdziewa,
 Gdy drżą trawki na łące, szumią w lesie drzewa,
 Gdy skrzydlate w gniazdeczkach rozbudzą się roje:
 Ja dobywam z zanadru drogie skrzypki moje.
 O! wielka to nagroda za pracę wytrwałą.
 Chwytam smyczek do ręki, tnę po strunach śmiało
 Na cześć jasnego słońca, w takt z lasu pogwrrrem,
 W takt wiatru co przebiega błękitnym obszarem,
 W takt owiej śpiewnej rzeszy, co w gniazdkach szczebiocze.
 Cudnym akordem dzwonią me skrzypki urocze.
 Z rozbudzoną przyrodą ich dźwięki się złąły
 W jeden hymn tryumfalny młodości i chwały!

Gianina przerażona pragnie posłyszeć zakłętą dźwięki skrzypków. Posłuszny woli jej Filippo uderza smyczkiem w struny. Łzy pobiegły po licu dziewczęcia. Widzi to biedny garbusek, uniesiony radością składa serdeczne dzięki. Niestety! ułuda pierzchnęła jak sen; Gianina wyznaje mu rzeczywisty powód swej trwogi: ukochany Sandro nie będzie zwycięzcą, nie otrzyma ręki jej w nagrodę!

Filippo stoi jak skamieniały. Gdy Gianina odeszła, chce rozbić skrzypki swoje, ale szlachetniejsza myśl rodzi się w jego duszy. Niech ofiara będzie zupełną; Sandro mógłby znaleźć innego szczęśliwszego od siebie współzawodnika. Został jedyny sposób ratunku, skrzypki wykonane ręką Sandra leżą w pochwie gotowe na konkurs. Filippo wydobywa je ukradkiem, kładzie swoje w ich miejsce.

Godzina konkursu wybiła. Mistrz Ferrari oznajmia ją radośnie.

Przebiegłem Kremonę:
 Gromadzą się w ulicach tłumy niezliczone,

Lud przybrany od święta, szczerze się weseli,
 Już sędziowie czekają: stary mistrz kapeli
 Zasiadł w ogromném krześle z pudrowaną głową,
 Dopatrzysz go zdaleka by jabłoń kwietniową.
 W powietrzu płyną kłęby melodyjnej woni,
 W pośród wrzawy ulicznej, słodko gędźba dzwoni,
 Każdy nastraja skrzypki, każdy się zaklina,
 Na lutnię Euterpy, na flet Apollina!

Filippo prosi towarzysza, aby przyniósł jego skrzypce ze swemi. Sandro biegnie, powraca po chwili, blady i drżący jak listek. Trwoga o utratę kochanki zamąciła mu rozum. Postąpił nikiemnie, zamienił skrzypki: swoje wrzucił w pochwę Filippa, nie spostrzegając, że były już zamienione.

Cech lutnistów ogłasza Filippa zwycięzcą. Mistrz Ferrari kładzie mu na szyję złoty łańcuch, oddaje w nagrodę piękną Gianinę. Ale szlachetny młodzian nie żąda ręki dziewczęcia. Niechaj ona będzie szczęśliwą! On sam wybiera się na wędrowkę po Włoszech. Wszystko utracił, pozostały mu tylko skrzypki!

Drobna to sztuczka. Zarzucają jej brak prawdopodobieństwa i akcji dramatycznej, ale niedostatki te hojnie opłaca strona jej wysoko poetyczna.

Nadzwyczajna wartość skrzypców kremańskich, nie jest bynajmniej fikcją. W tym roku oto, na publicznej sprzedaży w Londynie, zapłacono za dwoje skrzypców Stradivariusa po 6000 franków.

Trzecie skrzypce roboty Józefa Garneriusa doszły bajecznej ceny 600 gwinei, to jest 15,000 franków. Garnerius żył w końcu XVII wieku, był on najpierwszym uczniem Stradivariusa, sławnego mistrza cechu lutnistów kremańskich.

Teatr liryczny przedstawił wreszcie dawno zapowiedzianego *Dymitra*. Operę skomponował p. Jussières, znany już z kilku mniej znaczących utworów, jak *Sardanapal*, *Ostatnie dni Pompei* etc. Libretto napisał Henryk Bernier, autor *Corki Rolanda*, z współudziałem innego poety Armada-Silvestra. Oto treść w kilku słowach.

W pierwszym akcie, oddział kozaków obozuje nad Donem.

W pobliżu widać klasztor; przeor tego klasztoru, dowodził oddziałem w bitwie przeciwko Turkom. Chór oznajmia zwycięstwo.

W téjże chwili przybywa młody Dymitr, ukryty pod imieniem Wasila. Wychowany za klauzurą, w młodości został mnichem. Przyszędzszy do lat męzkich, zrzucił zakonny kaptur. Zbiegł potajemnie z poza murów, pośpieszył do Krakowa. Tam na dworze królewskim zniewolił serca dwóch kobiet. Jedna z nich Wanda, krewna króla Zygmunta, druga Maryna córka Mniszka wojewody sandomierskiego. W skutek miłosnych tryumfów, wplątany w krwawą przygodę zabił w pojedynku hrabiego Lysbera. Pochwycono go; wyrok śmier-

ci był już podpisany, kiedy złoty klucz Wandy otworzył mu rygle więzienne.

Jeszcze Wasil nie przekroczył progów klasztoru, kiedy wpada na scenę banda Cyganów, w malowniczych i błyszczących strojach. Jest między nimi piękna wojewodzianka sandomierska. Na wieść o ucieczce Wasila, Maryna przebrana za cygankę, zbiegła z rodzicielskiego domu.

Zakochana para poznaje się niebawem. W chwili tkliwego powitania, staje u bram klasztornych hrabia Luzacyi z licznym orszakiem panów. Żąda aby przeor wydał mu natychmiast młodzieńca, którego mu powierzył przed laty piętnastu, małym jeszcze dzieckiem: młodzian ten wyrwany ze szponów Borysa Godunowa, to Dymitr, syn Iwana IV, prawy następca tronu. Wybiła godzina pomsty i sprawiedliwości. Czas odkryć tajemnicę. Dymitr podejmie berło ojców, wydarte mu zbrodniczo. Marta wdowa po Iwanie, ujrzy wnet syna, oplakiwanego od lat wielu!

Drugi akt przenosi nas do pałacu Wandy w Krakowie. Dumny hrabia Luzacyi ułożył plan działania. Wanda będzie carową. Dymitr musi ją zaślubić, inaczej nie otrzyma korony. Próżny opór młodziana zakochanego w Marynie. Interes państwa przemaga nad uczuciem. Ślub odbędzie się w kwietniu, wprzód nastąpi obrzęd koronacyjny.

Pierwsza część trzeciego aktu, odbywa się w warownym zamku wiskim, gdzie Borys trzyma w zamknięciu Martę. Napróżno archimandryta moskiewski Job, nalega na carową, aby oświadczyła, jako Dymitr nie jest jej synem. Matka stawia niezłomny opór. Zmienia się scena. W obozie pod Moskwą wojsko z okrzykiem tryumfu przyjmuje wieść o skonie Borysa. Radość powszechna. Wnoszą pochódnie.... Następuje rycerski balet.

Czwarty akt podzielony także na dwie części; Dymitr odtrąca stanowczo małżeński związek z Wandą. Hrabia Luzacyi, aby go zniewolić do nienawistnych ślubów, odkrywa mu straszliwą jakąś tajemnicę. Zatrząsał się młodzian; wściekły z gniewu powala hrabiego na ziemię. Zbroczone we krwi ciało słudzy wynoszą z sali.

Cios nie był śmiertelny. Hrabia wyszedł z omdlenia; mściwą ręką pochwycił oręż.

Piąty akt odbywa się w Kremlinie. Dymitr otoczony orszakiem bojarów, wchodzi w progi katedry. Archimandryta oczekuje go przed ołtarzem. Marta gotowa w obec ludu zaprzysiędz na Ewangelią, że poznaje w Dymitrze własne dziecko. Rozlega się strzał, Dymitr pada ugodzony śmiertelnie ręką hrabiego. Konając żegna matkę i narzeczoną:

Żegnaj Maryno! żegnaj matko droga:

Prawdy się dowiem chyba tam u Boga.

Trudno szukać w librecie ścisłej prawdy historycznej, prawda psychiczna powinna tu wystarczyć. Nie brak jej też w poemacie róż-

wnie jak nie brak efektów dramatycznych. Znać, że libretto pisali dwaj poeci. Nie myślimy też bynajmniej czynić im zarzutu, jaki czynią niektórzy krytycy, czemu nie dosyć uchylili zasłonę kryjącą ród Dymitra. Danoż poetom rozwikłać ten węzeł, który pozostał dla historii i pozostanie zawsze nieodgadnioną tajemnicą!

Większe powodzenie znalazła tu maleńka jednoaktowa operetka przedstawiona w teatrze Opery komicznej, pod tytułem: *Kochankowie Kasi*, z muzyką p. Marechal. Śliczne libretto wysnuł Juliusz Barbier z powiastki Erckman-Chatriona, dziwnie sympatycznej dla Francuzów. Rzecz toczy się w drogiéj im Alzacyi, którą poeta maluje z gorącym uniesieniem:

Gdy kłosiste twe przestworza
W letni ranek słońko pieści,
Ach! przez ciebie jasna zorza,
Nam od Wschodu zsyła wieści.

* * * * *
Alzacyo moja! droga kraino,
Tyś mnie słodkimi urzekła czary:
Twój chleb posilny, czyste twe wino,
Cudne podzwieki twój pieśni staréj!

Publiczność z niesłychanym zapalem przyjęła ową zwrotkę.

Treść libretta nadzwyczaj prosta. Kasia szynkareczka z gospody pod złotym karpim, nie może się opędzić niemieckim zalotnikom. Na czele ich jest mer Rabstock, niedawny przybysz pruski. Dziewczyna kocha Waltera, młodego Alzaczycy. Ścigany zawiścią współzawodników, wygnany przez nich z wioski, Walter wytłumaczył się przed wyższą władzą, z zarzutów niesłusznie mu czynionych. Powraca w tryumfie do wioski, z orszakiem dziewczosłębów i dziewierzy. Grajkowie rzempolą na skrzypkach. Lud strojny od święta, otacza parę młodą. Tańce i pieśni narodowe kończą wesoło widowisko. Sztuczka ta zyska równą popularność we Francyi, jaką u nas ma „Wesele w Ojcowie.“

Emil Gebhardt professor literatury zagranicznej na fakultecie w Nancy, dawny uczeń szkoły francuzkiej w Atenach, wydał ważne dzieło: *Zarysy krytyczne literatury włoskiej*, z epoki odrodzenia. Jest to ustęp z wielkiej pracy historycznej, nad którą autor pracuje od lat wielu. P. Gebhardt bada najprzód geniusz włoski w Pompei, mieście przesiąkniętém nawskroś cywilizacją grecką. Napływy barbarzyńców, które spowodowały upadek państwa rzymskiego, zamąciły na chwilę spokojność uczonych i powstrzymały rozwój literatury. Ale najczystsza miłość piękna i prawdy przechowała się zdala od zgiełku świata, w głębi celi klasztornych. Wspaniały obraz przed-

stawiają na tle średnich wieków, zakonnicy włoscy, zatopieni w mistycznych badaniach, pełni miłosierdzia i prawdziwej serca prostoty.

Dante i Savonarola uosabiają polityczny charakter narodu, długo szarpanego namiętnymi walkami Gwelfów i Gibelinów, narodu, którego nie zmogły ani klęski domowe, ani wojny z obcym najazdem. Postacie Rafaela, Michała Anioła, Leona X, wyobrażają w sobie całą potęgę, cały urok czasów odrodzenia; jak znów krwawa rzeź w Rzymie, r. 1527, pokazuje w jaskrawych rysach, namiętności społeczne tej epoki, jedynéj w dziejach świata. W końcu dzieła znajdujemy obraz poety Giacoma Leopardi, jednego z tych pisarzy współczesnych, któremu, jak mówi autor, Włochy zawdzięczają dziś powtórne swoje odrodzenie w literaturze.

Publiczność paryzka żywo zaciekawiona konferencjami p. Ly-Shau-Pe; uczony ten Chińczyk, władający biegle francuzką mową, postanowił dać poznać Paryżanom obyczaje i zwyczaje kraju swego. W dwóch pierwszych konferencjach zajmował się głównie kobietą, opisywał harem cesarski. Dowiadujemy się, że cesarze mają zwykle do stu dwudziestu małżonek, a oprócz tego do 10,000 niewolnic. Życie tylu nagromadzonych kobiet przedstawia istny obraz piekła. Obliczono że na sam róż i bielidło dla tych pań, skarb wydaje 500,000 franków; łatwo ztąd pojąć, ile kosztuje całe ich utrzymanie.

Dzieweczka chińska w dwunastym roku, już jest zupełnie dojrzałą. Kiedy rodzice wydają córkę za mąż, wypytują astrologów, czyli znaki niebieskie wróżą pomyślność parze młodej. Powszechny panuje w Chinach przesąd, że każdy węzeł małżeński, zaczém się dopełni, na pięć tysięcy lat przedtém napisany jest w księdze przeznaczenia. Wiareg tę potwierdza przysłowie określone dwuwierszem:

Nim łódką przepłyniecie rzekę obok siebie,
Wyrok na pięćset wieków zapisany w niebie.

Chińczyki uważają kobietę jako istotę słabą, która bezustannéj potrzebuje opieki. Mniemanie to—mówi prelegent—upowszechnione także pomiędzy Francuzami. Jedni i drudzy są w błędzie: kobiéta silniejszą jest od mężczyzny, tak we Francyi jak i w Chinach.

W konferencjach następných, Ly-Shau-Pe mówié będzie o ubiorze, o pokarmach, zyciu domowém i t. p.

Akademia Francuzka krząta się w niezwykły sposób. W tym miesiącu przyjmowała już uroczyste Jana Dumasa sławnego chemika, oddając mu krzesło po Guizocie; za tydzień były minister Juliusz Simon zajmie krzesło po zmarłym ministrze Remuzat. Obie uroczystości opiszemy razem w przyszłej kronice naszéj. Przed kilku dniami poważne ciało naukowe odbyło nowe wybory. Miejsce wakujące po p. Potin otrzymał d. Boissier, professor cywilizacyi rzymskiej w kolegium francuzkiém; w miejsce p. Carné obrany Karol Blauc

słynny estetyk, o którego nowej publikacji w przedmiocie sztuk pięknych, mówiliśmy powyżej.

W chwili gdy kończymy kronikę naszą, rozlega się po Paryżu okrzyk bolesny na wieść o skonie Georges Sand, zmarłej 8 czerwca w zamku Nohent. Dziś właśnie odbywa się jej pogrzeb. Dzienniki jednobrzmiącym chórem, bez względu na różne opinie wysławiają geniusz słynnej autorki, wyliczają setki jej utworów, dzielą je na różne kategorie. Jedni z najwyższém uniesieniem podnoszą pierwsze jej prace, te pierwsze, że tak powiemy, wybuchy wulkanicznego krateru, co wyrzucał z siebie i płomień i lawę, żuźle i popioły. Inni cenią wyżej ostatnią dobę jej talentu, kiedy uspokojona z młodzieńczych wstrząsnień, zapukała do piersi ludu wieśniaczego i wydobywała z niej żywe źródło poczyi, niezbane dotąd literaturze francuzkiej. My wstrzymujemy się dziś od wszelkich sądów. Pochwała bezwarunkowa ubliżałaby prawdzie i sumieniu naszemu; nie pora zaś na krytykę, w dniu kiedy tyle życzliwych rąk przysypuje ziemią zwłoki zmarłej. W przyszłej kronice powiemy słówko o głośnej autorce, która jak wiadomo była w prostej linii praprawnuczka Augusta Mocnego.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Głos dr. I. Majera, prezesa Akademii (Umiejętności w Krakowie) na doroczném posiedzeniu publiczném w dniu 3 maja 1876 r. Kraków (w 8-ce str. 12).

Śledzimy pilnie postępek i rozwój tej najwyższej instytucji naukowej, bo żywo każdego miłośnika nauki i oświaty obchodzić musi jej byt i działalność.

Akademia Umiejętności w Krakowie zespoliła wszystkie siły duchowe, jakimi się szczyci nietylko sama Galicya i Wielkie Księstwo Krakowskie; w harmonijném połączeniu widzimy już korzystne plony dla ogółu całej społeczności.

Trzy lata upłynęło od jej istnienia dopiéro.

„Trzy lata (mówi czcigodny jej prezes) w życiu instytucji, mającej służyć szeregom pokoleń, czas to za krótki, ażeby działanie jej wystąpiło w całej pełni rozkwitu i widocznym owocem usprawiedliwiło ważność jej zadania, ziściło nadzieję życzliwych, obojętnych rozbudziło, niechętnym odjęło odwagę bałamucenia opinii. Z dru-

gięj jednak strony trzy lata, to czas znowu zadługi, żeby mógł usprawiedliwiać wstrzymywanie się z podaniem publicznemu sądowi, wprawdzie nie osiągniętych ostatecznie skutków, ale przynajmniej wytkniętych kierunków działania; nie zebranych owoców, ale dokonanego w ich widoku posiewu, nie owęj bezpośredniej dla narodu korzyści, która dopiero w ostatecznych skutkach okazać się może, ale przynajmniej objawu tej pracy, która pośrednio do tego prowadzi.“

Idąc za tą myślą, szczegółowo kreśli działalność i prace Akademii, ciesząc się na samym wstępie swęj mowy, otrzymywaném współczuciem i uznaniem nietylko w kraju własnym ale zagranicą.

Instytut francuzki obdarzył Akademią Umiejętności 150 tomiami prac swoich, nie licząc otrzymanych prócz tego z Paryża publikacyi ministerstwa oświecenia i różnych tamiecznych naukowych Towarzystw. Niemniej bogatą przesyłkę otrzymała od Akademii monachijskiej, petersburskiej i wiedeńskiej, oraz od zakładów i towarzystw naukowych, z Berna, Budziszyna, Moskwy, Pragi, Zagrzebia, Zgorzecca, Chrystyanii, Kopenhagi, Dorpatu, Gdańska, Getyngi, Gradca, Lubeki, Norymbergi, Rygi, Szwerynu, Warmii, Wiesbadenu, Wrocławia z Bordeaux, Padwy, Cambridge, Londynu i Waschingtonu.

Do pomocy Akademii Krakowskiej odwołała się Akademia Wiedeńska celem przyjęcia udziału w poszukiwaniu i zbadaniu środków, mogących choć w części zapobiedz klęskom zagrażającym z uodwodnionego ubywania wód w źródłach, rzekach i strumieniach, a coraz częściej kraje uprawiane nawiedzających powodzi.

Instytucye zagraniczne udzielały chętnie cennych dokumentów do naukowego użytku, a obecnie książę *Decazes* minister spraw zagranicznych Rzeczpospolitej francuzkiej, doniósł w uprzejmém piśmie, iż dyrekcyja archiwum dyplomatycznego francuzkiego, odda pełnomocnikowi Akademii do użycia korespondencye, życzeniu jęj odpowiednie. Na zjeździe antropologów niemieckich w Monachium, słynny anatom, dziś antropolog *Virchow*, jakkolwiek z przykrością, i z bólem niemieckiej miłości własnej, wyraził, iż za staraniem komisyy Akademii Umiejętności Krakowskiej, poszukiwania antropologiczne w Galicyi, treścią i rozciągłością, uprzedziły podobne badania w Niemczech.

Pełen natomiast zyczliwości i szczerego uznania tej instytucyi starego grodu, był list otwarty prof. *Ryszarda Roeppla* dołączony do dzieła jęj poświęconego. Kraj dawno uznał zasługę Roeppla badań w przedmiocie historii polskiej, badań powodowanych jedynie miłością prawdy, tém samém wyższych nad wszelkie przesady i niechęci rodowe, wykazujących dobre strony bez umizgu, złe, bez nienawistnego jątrzenia serc i tak zboleiałych; w uznaniu tej zasługi, Akademia powołała go na członka swego.

W kraju, instytucya ta cieszy się ciągle wzrastającym współczuciem; na poparcie jęj nakładów członek Akademii dr. Aleksander Kremer, brat rodzony zmarłego niedawno *Józefa* filozofa i estetyka

ofiarował złp. 4000, a na nagrodę konkursową, od niewiadomego dawcy z Warszawy przybyła jak i w roku poprzednim kwota rsr. 300. Sejm krajowy podniósł dotychczasowe uposażenie roczne Akademii o 20,000 złp., prócz tego obdarzoną została w roku zeszłym 1875 cennymi darami. Na czele tego stanęła Warszawa. Darem tym jest bogata biblioteka polska po ś. p. *Cypryanie Walewskim*, odziedziczona przez brata jego Władysława, a przez tego zgodnie z myślą nieboszczyka, wraz z inwentarzem i katalogiem kartkowym ofiarowana Akademii, i już w jej posiadaniu będąca. Zbiorem tym zasilona biblioteka Akademii, obok biblioteki uniwersyteckiej i spodziewanych rychło zbiorów księcia Władysława Czartoryskiego mających być pomieszczonemi w murach starożytniej bramy Floryańskięj, uczynią Kraków najzamożniejszym w naukową pomoce dla pracowników na polu historii i literatury polskiej.

Z pomiędzy darów ofiarowanych przez osoby prywatne, wymienić należy znaczny zbiór dzieł przeważnie treści geologicznej, ofiarowany przez pana Zienkowicza z Medyolonu, tudzież legatem ś. p. Karola Hoffmana z Drezna, przeznaczone dla Akademii dzieła, obrazy, akwarelle i ryciny: wreszcie cenne dzieła nadesłane przez p. Spasowicza z Petersburga.

Pomnażane tak znakomicie zbiory Akademii Umiejętności, zmusiły zarząd do rozszerzenia gmachu, szczególnie gdy przybyła biblioteka po ś. p. *Cypryanie Walewskim*.

Oprócz wydawnictw ogłoszonych drukiem, o których Biblioteka Warszawska czytelnikom swoim szczegółowe sprawozdania podaje, na żądanie instytucja ta podejmuje, w miarę chwilowej potrzeby na wieńczenie władz krajowych rządowych lub autonomicznych. Za przykład mogą posłużyć wypracowania za zgłoszeniem się wydziału krajowego: w sprawie zaprowadzenia przy tymże biura górniczego; w sprawie badania kraju fizyograficznego i stypendystów górniczych; w sprawie ochrony ziemio-płodów od niszczących owadów. Na żądanie starostw: determinowanie i opinia co do owadów, które pojawiły się w rozmaitych miejscach powiatu Borszczowskiego i Zaleszczyckiego; podobnież wyjaśnienie na żądanie C. K. Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego, tudzież w sprawie podziału Galicyi Wschodniej na strefy gospodarskie, i w sprawie zamierzonego zbierania wiadomości o stosunkach i postępie wegetacji główniejszych ziemio-płodów kraju, celem łatwiejszego orientowania się w widokach handlu zbożowego. W innym znowu względzie, nie może być obojętną dla kraju, dokonywana przez osobny komitet Akademii, mozolna rewizya polskich tłumaczeń ustaw państwa; przez co i sama ustawa staje się zrozumialszą, i szerzyć się mogącemu tą drogą skażeniu języka, zapobiega się stanowczo.

Tak więc widzimy w całej pełni działalność naukową Akademii Umiejętności w Krakowie, która nietylko dopomaga przeważnie do zachowania drogocennych zabytków dziejów i literatury krajowej, ale

wpływ swój wywiera na pożytek rolnictwa, przemysłu i ustroju społecznego.

W roku 1875 straciła ta instytucja czterech członków z grona swego: Józefa Kremiera, Ad. Aleksandrowicza, Karola Libelta, i Karola Bor. Hoffmana, towarzysza życia pamiętnéj Klementyny Tańskiej. Z miejsc niezajętych w akademii, jedno tylko w roku zeszłym zapełnione zostało, przez wybór Jana Frankiego prof. i b. rektora Akademii Technicznéj we Lwowie, na członka korespondenta w wydziale matematyczno-przyrodniczym.

Oto jest streszczenie mowy dostojnego prezesa Akademii Umiejętności, w nagłówniejszych przedmiotach. IV.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne, pod redakcją profesora dra. Tadeusza Pilata. Rocznik II. Lwów. Z drukarni E. Winiarza 1876 (w wielkiej 8-ce str. 193 i tablic statystycznych str. 69).

Od lat kilku prace statystyczne w Galicyi przybrały szersze, a godne uwagi rozmiary. Oprócz usiłowań pojedynczych jednostek, o których mówiliśmy już w naszym piśmie, utworzone biuro statystyczne pod przewodnictwem dra. Tadeusza Pilata, przeważnie już położyło zasługi.

W ustroju autonomicznym Galicyi, prace tego rodzaju pokazały się niezbędne, bo dobrze jeden z poważnych organów prasy krakowskiej wyraża: że „jak doktor po pulsie chorego poznaje stan jego choroby i stosownie przepisuje lekarstwo, tak statystyczne daty są pulsem organizmu społecznego, które koniecznie z całą ścisłością zbadać trzeba, nim się przystąpi do leczenia słabości tego organizmu” (*Przeгляд Polski*).

Po sprawozdaniu z czynności biura statystycznego w r. 1875 następuje: *Stan gminnych kass pożyczkowych w Galicyi* przez dra. T. Pilata.

Wszystkich kass jest dotąd w całej Galicyi 1246 z kapitałem 1,047,437 złr. a zatém z górą cztery miliony złp., wypada więc na jedną kassę bez mała 900 złr. Z przedstawionego obrazu dostrzegamy wiele stron ujemnych, ale przy bliższém rozpatrzeniu widzimy, że wszystkie głównie wypływają z braku oświaty ludowej. Najpiękniejsze instytucje nigdy spodziewanych nie przyniosą owoców tam, gdzie nie może się rozwinąć zdrowe, jasne pojęcie o ich użyteczności. Ztąd widzimy że lud miejscowy nie ma należytego wyobrażenia o kredycie, wystawia sobie kassy pożyczkowe jako instytucje dobroczynne, które go wspierają w czasie krytycznym bez obowiązku spłacenia długu. Wszędzie prawie brak słowności, brak przestrzegania termi-

nów spłaty; a przez to wypróżnienie kass i wstrzymana pożyteczna ich działalność. Żałować należy, że intelligencja ziemiańska nie przychodzi tu w pomoc. Gdy ku temu obywatelstwo starania swe obróci, wszystkie obecne usterki ze szkodą biédnego ludu, przeciążonego lichwą żydowską, łatwo usunięte zostaną.

Dr. praw Józef Kleczyński wydrukował obszerną rozprawę p. t. *Stosunki propinacyjne w Galicyi* (od str. 47—193).

Wysokiego to znaczenia praca, bo daje nam historyczny obraz powstania propinacyi, jój rozwoju aż do dni naszych. Z niego widzimy, że już w połowie XV wieku, właściciel ziemi zaczął się uważać za właściciela propinacyi. Bogaty to materiał dla badacza ustroju ekonomicznego kraju i stosunków rolniczych.

Dr. Kleczyński jako prawoznawca, w oddzielnym ustępie udowadnia prawomocność nabycia własności propinacyjnej, która tylko drogą indemnizacyi wykupioną być może.

Pracowicie ułożone „tablice statystyczne do sprawy propinacyjnej” od r. 1863—1874, stanowią oddzielną część i zamykają tę pełną wartości publikacją, a treścią swoją żywotną dla obywateli ziemskich w Galicyi.

R.

Literatura polska w Ameryce.

Gazeta Polska w r. b. podała zajmujący szkic literatury polskiej w Ameryce. Zanim otrzymamy wyczerpujący obraz tego ruchu umysłowego tak oddalonej części świata, w której jednakże we wdzięcznej pamięci Rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych zachowują się imiona Kazimierza Pułaskiego, uczczonego śliczną *Dumą* Longfellowa i Tadeusza Kościuszki, uzupełniamy szkic powyżej wzniankowany, szczegółami nieznanymi dla ogółu naszych czytelników, nie pomijając i wiadomości dotyczących społeczności polskiej, która się tam w niedawnym przeciągu lat wytworzyła.

Największy ruch umysłowy widzimy w Chicago. Dwie tu gazety wychodzą: „*Gazeta Polska*” pod redakcją Władysława Dyniewicza, i „*Gazeta Polska Katolicka*” pismo tygodniowe wydawane przez polskie Towarzystwo literackie w Chicago III, której redaktorem jest Jan Barzyński. Z autorek tam zamieszkałych imię pani Teofili Smoleńskiej stało się nam znajomsze przez nadeślanie na konkurs dramatyczny krakowski sztuki p. n. *Trzy Flory*, zaleconej do grania na scenach naszych. Obie gazety mają swoje własne drukarnie.

Władysław Dyniewicz opracował i wydał *Elementarz czyli nauka czytania*. Pisma amerykańskie odzywają się z pochwałami o tym Elementarzu. Autor i właściciel jednej drukarni polskiej przy ulicy Noble-Street nr. 404, wydał następujące dziełka i broszury: 1) „*Posrednik polsko-angielski, książka dla Polaków w Ameryce dla łatwe-*

go nauczania się po angielsku, z opisaniem każdego wyrazu jak się ma wymawiać" (cena 65 centów); 2) „Złoty generał, z opowiadań wieczornych;" 3) „Różaniec żywy," 4) „Ludzie leśni i wieszczki dzieci," 5) „Katechizm," 6) „Śluby królewskie," „Warszawa" i „Bolesław Śmiały;" 7) „Biali i Czarni," 8) „Nowy Elementarz," 9) „Gałązka Cierniowa," 10) „Jan Orlik," 11) „Hrabia parobkiem," 12) „Hołubek" i wiele innych. W ogóle z tej typografii wyszło 26 książek i broszur polskich. Spis ich bibliograficzny byłby pożądanym. Założona księgarnia polska I. Piotrowskiego podaje, w pomienionych gazetach, katalogi dzieł polskich jakie posiada.

Zarząd gminy polskiej w Chicago postarał się o utworzenie sceny polskiej. W dniu 21 listopada 1875 r. amatorowie w sali *Jednoty Sokola* (przy ulicy Taylor), otworzyli sezon zimowy, odegraniem komedyi M. Bałuckiego, znanej w Warszawie: *Radzcy Pana Radzcy*. W przedstawieniu brały udział pani Nowaczewska, Dorszyńska i pani Wędzińska, oraz występowali panowie: Gryglaszewski, Miekityński i Sowacki.

Zarząd pomienionej gminy, przy nowych wyborach utrzymał się dawniejszy. Prezydent Wędziński, wice-prezydent Antoni Drzymala, kassyer S. Kociemski, sekretarz protokulista K. Pokrzywiński, sekretarz finansowy H. Zieliński.

Jako szczególnież zwichaj wspomnieć tu musimy, że redakcyja „Gazety Polskiej Katolickiej" w każdym numerze drukuje pokwitowanie prenumeratorom z odbioru należności swojej.

Zwrócić należy uwagę, że wszyscy piszący po polsku w Ameryce, oprócz Juliana Horaina i Sygurda Wiśniowskiego, nie byli pisarzami w Europie, i dopiero w Stanach Zjednoczonych wzięli się do pracy umysłowej, pomiędzy kolonistami polskimi. Literatura polska nie jest więc w Ameryce rzeczą przywiezioną, ale produktem miejscowym, wzrosłym na gruncie amerykańskim. Literatura ta rozwija się, z każdym rokiem przybywa jej autorów i czytelników. Dodajmy, że w Ameryce i Krystyna Narbutówna pierwszy raz pisać zaczęła swój *Dziennik*, któryśmy drukowali w Bibliotece Warszawskiej.

Podamy w końcu kilka wiadomości ciekawych zaczerpniętych z *Gazety Polskiej Katolickiej*.

Dnia 21 listopada 1875 roku poświęcono kościół polski w *Pine-Creek*, pod wezwaniem „Najśłodszego Serca Jezusowego i św. Wacława." Na uroczystość tę zebrało się 3000 ludności polskiej.

Kościół murowany z cegły w stylu amerykańsko-doryckim, z oknami podłużnymi na kształt gotyckich, 100 stóp długi, 40 szeroki, 20 stóp wysoki do sufitu, z wieżą na 115 stóp wyniosłą. Pomieścić może dwa razy tyle, ile jest obecnie parafian polskich. We wspólniejszej processyi, której biskup Heiss przewodniczył, towarzyszyli mu: ks. Leopold Moczygęba z Jeffersonville Indiana, ks. Heronim Klimecki, Aloizy Plat z Winona-Minnesota i miejscowy pasterz ks. Adolf

Śnigurski. Piérwszy wymowném kazaniem wszystkich słuchaczy polskich zachwycił.

Troskliwi koloniści o chwałę Bożą, nie żałują wdowiego grosza na budowę świątyń Pańskich. Mamy tego dowód w odezwie ks. Karola Lanz, który w gorących słowach dziękuje za ofiary składane na wzniesienie kościoła polskiego w Dunkirk (New-York).

Założoną téż została kassa oszczędności czesko-polska w Chicago. Prezydentem jój ksiądz J. Molitor, zastępcą W. Baczyński. Sześć od sta udziela się od wniesionego kapitału. Pieniądze wypożyczają się za dobrém poręczeniem.

W ogłoszeniach znajdujemy mnóstwo nazwisk polskich w różnych zawodach w Chicago. Magazyn strojów i krawieczyzny W. Słomińskiej, Konewicz zegarmistrz i złotnik, Antoni Kamiński szewc damski i męzki, Paweł Połubiński krawiec męzki i damski z Paryża przybyły, Piotr Kiełbasa notaryusz publiczny. Doktor A. Jakubowski ogłasza, że leczy wszelkie choroby wewnętrzne i zewnętrzne; posyła lekarstwa pocztą za opisaniem choroby, ubogim udziela rady bezpłatnie. M. Majewski ułatwia podróż z Hamburga i Bremen, jako agent okrętów pocztowych; a redaktor Gazety Polskiej Katolickiej Jan Barzyński podobnież zapewnia ułatwienia w przedsiębranych podróżach do Europy i z Europy, kto zechce sprowadzić swoją rodzinę.

Gazety pomienione dają nam w ogólnych zarysach obraz życia i ruchu umysłowego wielu rodzin skupiających się w jedną społeczność na dalekiej obcej ziemi, idąc mężnie w zapasy z losem, z poszanowaniem wiary, języka i tradycyi, jakie wynieśli z ojczystego gniazda.

W.

Meine Antwort an Herrn Darwin. Von Prof. Max Müller in Oxford. Berlin 1875.

Ogniskiem, w którym zaczepnie albo odpornie, ubocznie czy wprost, spotykają się wszystkie kierunki umysłowe dni naszych, jest niezapreczenie teorya ewolucyi w naturze organicznej.

Teorya ta, olbrzymim łańcuchem swych następstw dotycząc wszelkich zagadnień kosmologii, jest, w swoim rodzaju, skończonym całokształtem filozoficznego *monizmu*.

Dzieje umiejętności niewiele potrafią wskazać pomysłów, równie rozgłośnych i równie dobroczynnie wpływających na rozszerzenie widnokregu naukowego. Imię uczonego, który usystematyzował i uzupełnił przypuszczenia Anaksymandra, Empedoklesa, De Maillet'a, lorda Monboddó, Lamarka ¹⁾ i innych, imię Karola Darwina

¹⁾ O myślicielach tych i odnośnych ich dziełach mówi obszerniej P. M. Rauch w *Die Einheit des Menschengeschlechts. Anthropologische Studien.* Augsburg, 1873 str. 6—17.

stało się popularnym, jak rzadko. Literatura peryodyczna, niezliczona moc broszur i dzieł naukowych, poważniejsze rozmowy potoczne, a nawet humorystyka i powieść pełne są dzisiaj sądów o darwinizmie. Gorączkowy zapał, z jakim adherenci i przeciwnicy tej teorii pracują dla jej uzasadnienia lub zbiccia, wydał już i wydaje bez przerwy plony nader niezwykle. Komuż nie wiadomo, z jaką gorliwością pracowali w ostatnim lat dziesiątku w paleontologii, ilu spotrzeżeniami wzbogacono psychologią zwierzęcą i antropologią, jak szparko posunęły się badania etnologiczne nad charakterem i życiem narodów dzikich? Teoria ewolucyjna poruszyła takie nawet dziedziny naukowój działalności człowieka, które z istoty swojej w żadnej napozór pozostawać nie mogły łączności z hipotezą, noszącą zrazu charakter czysto zoologiczny. Podniosły więc przedewszystkiēm głos pobratymcze nauki przyrodnicze, wypowiedzieli swe zdanie teologowie, poczęto stosować zasadę walki o byt i doboru naturalnego do dziejów powszechnych i astronomii, dopatrywano wreszcie analogii darwinistycznych zarówno w życiu jednostek, jak i w ustroju całych społeczeństw.

Wobec tak żywego ruchu w sferze umysłowój, spowodowanego przez żywotną nad wyraz hipotezę angielskiego naturalisty, nie mogło pozostać obojętnēm i językoznawstwo, tak ścisłym połączone węzłem z antropologią, zwłaszcza zaś z głównym jej działem, psychologią człowieka. Język, ten wierny tłumacz i towarzysz myśli, to gędziebne jej twórczości narzędzie, nazbyt doniosłą odegrał i odgrywa rolę w rozwoju cywilizacji, aby go można w systemacie, roszczącym sobie prawa do powszechności, ignorować bezkarnie. Prawdę tę pojęli w zupełności wszyscy naukowci obrońcy i przeciwnicy Darwina. To też w zdumiewającej mnogości pism i pisemek, wywołanych przez jego teorię, nie ma, rzec można, żadnego istotnie poważnego traktatu, któryby, mówiąc o rozciągnięciu zasady ewolucyjnej aż do człowieka, z mniejszą lub większą dokładnością, w takim czy innym zamiarze, nie potrącił o kwestyę języka.

Pierwszą podniętę do rozważania stosunku „szlachetnej umiejętności języka“ jak lingwistykę nazywa Darwin ¹⁾, względem w mowie będącej teorii dał uczony wydawca i komentator Rig-Vedy, professor wszechnicy oksfordzkiej, Max Müller. W znanych powszechnie odczytach swoich o językoznawstwie, wydanych w dwa lata po wyjściu książki „O pochodzeniu gatunków“, rozwinął był on przekonanie, iż z przesłanek, pomieszczonych w tém dziele Darwina, niepodobna wysnuwać wniosku o zwierzęcēm pochodzeniu człowieka, albowiem mowa artykułowana, jako wyłączna cecha człowieczeństwa, jako twór odrębnój organizacji umysłu ludzkiego, stanowi w tej mierze

1) Darwin: *Pochodzenie człowieka i dobór płciowy*. Przekład niemiecki J. V. Carusa, drugie wydanie. Stuttgart, 1871. Tom I, str. 46.

zawadę niepokonaną. Wystąpienie to głośnego badacza ożywiło w sposób niezwykły spokojną zazwyczaj dziedzinę poszukiwań językoznawczych. Zaprotestowano niebawem z jednej, dały się też słyszeć głosy potwierdzenia z drugiej strony. Przyjaciel i kolega Haackla, August Schleicher, zachęcony przezeń do przeczytania głównego dzieła Darwina, wystąpił w r. 1863 z broszurą p. n. *Teorya Darwina i językoznawstwo* ¹⁾, przyjętą w kołach ewolucjonistów, z nietajoną radością i zapałem. W dwa lata potem, tenże lingwista ogłosił pisemko: *O znaczeniu języka dla historii naturalnej człowieka* ²⁾, i od tej chwili pytanie o istocie i początku mowy ludzi otrzymało wagę pierwszorzędnej części składowej w kwestyi darwinizmu. Na pytanie to dawało odpowiedź wielu i wielorako. Zabierali głos badacze mowy (Steinthal, Whitney, Wedgewood, Rénan, Bleek, Kuhl, Geiger i Wedewer), odpowiadali zoologowie (Gustaw Jaeger, Haeckei, Oskar Schmidt, Albert Wigand i inni), wyrzekli mniemanie swoje historycy cywilizacyi (Tylor, Hellwald, Kolb i Caspari), etnografowie (Bastian i Peschel), sformułował wreszcie sąd swój w tej mierze sam Darwin, a okoliczność ta wywołała nowy szereg odczytów Maxa Müllera „O języku jako istotnej granicy pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem,” mianych roku 1873 w londyńskim Instytucie Królewskim (The Royal Institution), a roztrząsających przeważnie najżywotniejszą w językoznawstwie kwestyą tworzenia się *pierwiastków* w okresie przeddziejowym, kwestyą owego tajemniczego procesu, będącego, wedle pięknej definicyi Bunsena ³⁾ „najpierwotniejszym poematem ludzkości.

Przez to atoli, żarzenie sporów, tyczących się istoty i początku języka, nie zagasło bynajmniej. Główni ich uczestnicy od czasu do czasu odpowiadają sobie piśmiennie w sposób nader ożywiony, świadczący oraz, jak gorąco obchodzi ich owa *quaestio vexata*. Do tego rodzaju traktatów polemicznych należy, jak to już widać z napisu, przytoczona na czele niniejszego artykułu praca Maxa Müllera.

Zajęty w roku ubiegłym, opowiada znakomity uczony, zakończeniem wydania hermeneutyki najstarszego zabytku literatury sanskryckiej, wydania stanowiącego główne zadanie mego żywota i pracy naukowej ⁴⁾, zniewolony byłem pomijać wszelki produkt literacki,

¹⁾ *Die Darwinsche Theorie und die Sprachwissenschaft*. Pierwszo wydanie. Weimar 1863 r., drugie tamże 1873 r.

²⁾ *Ueber die Bedeutung der Sprache für die Naturgeschichte des Menschen*. Weimar 1865.

³⁾ Ob. dzieło Maurycego Carrière'a: *Die Kunst im Zusammenhang der Culturentwicklung*. Lipsk, 1863 r., I 5. Z pomienionemi zaś odczytami M. Müllera zaznajomił czytelników polskich p. E. Lubowski. Ob. „Kłósy“ z r. 1874.

⁴⁾ O rozmiarach tej pomnikowej edycyi (*Rig-Veda-Sanhita: The Sacred Hymns of the Brahmans*) można powziąć niejakie pojęcie z samęj już ceny księgarskiej, wynoszącej w Londynie u Trübnera 86 talarów.

niepozostający w związku z przedmiotem mego zajęcia. Okoliczność ta była powodem, iż nawet nie mogłem śledzić wrażenia, jakie w kołach osób bezpośrednio interesowanych wywarły ostatnie moje odczyty londyńskie. Taki stan rzeczy potrwałby niewątpliwie dłużej, gdyby nie list przyjaciela, donoszący mi, iż odczyty rzeczzone doczekały się nareszcie krytyki, której autorem (przynajmniej tytułarnym) jest syn Karola Darwina. Nikt zapewne dziwić się nie będzie, iż pozostawałem pod tym względem w nieświadomości, albowiem krytyka owa, skrócona niewątpliwie z inicjatywy i wedle wskazówek ojca, wyszła na widok publiczny pod tytułem: *Professor Whitney on the Origin of Language: by G. H. Darwin.*

Krytyka wymagała ze strony zaczepionego autora repliki, i ta też ukazała się niebawem w zeszyte styczniowym czasopisma *Contemporary Review* (r. 1875), a następnie, rozszerzona i opracowana przez samego autora dla czytelników niemieckich, umieszczoną została w „Przeglądzie Niemieckim,” wychodzącym w Berlinie. W spawozdaniu naszym trzymamy się tego ostatniego opracowania.

Odpowiedź, skierowana przeciwko broszurze, opierającej swe poglądy na lingwistycznej powadze uczonego amerykańskiego W. D. Whitney'a, musiała naturalnie rozpocząć się przedewszystkiem od polemiki z zasadami tego ostatniego. Polemikę tę wszakże prowadzi autor stylem i tonem, który niepomahał zdziwić musi każdego, komu znaniem jest wytworne i spokojne zazwyczaj pióro Maxa Müllera. Wprawdzie w wywodach swoich autor jest zawsze tym samym przenikliwym myślicielem, za jakiego słusznie jest poczytywany w świecie naukowym; wszelako tu i owdzie przegląda lekki cień doktrynerstwa, zawsze i wszędzie stojącego na zawadzie przedmiotowej ocenie kwestyi naukowej. Czytelnicy, znający zasadnicze badacza oksfordzkiego poglądy, domyślają się już zapewne, iż jeduim z pierwszych jabłek Erydy w sporze, o którym mowa, musiało być twierdzenie, że język jest wytworem organicznym natury, że więc językoznaństwo należy do koła umiejętności przyrodniczych. W szczegóły argumentów *pro* i *contra*, jak również w inne odrębności mniemań naukowych dwu uczonych przeciwników wchodzić nie będziemy: uczyniliśmy to już poprzednio w czasopiśmie niniejszém ¹⁾, zdając sprawę z wykładów Whitney'a o językoznaństwie. Powiemy tylko, iż te zalety dzieła Whitney'a, na które szczególnie kładliśmy przycisk, mianowicie systematyczność, bogactwo przykładów, objaśniających wywody teoretyczne, wdzięk i jasność, zyskały najzupełniejsze uznanie nawet ze strony antagonisty. Nie zbyt przyjemne tylko wrażenie sprawiają

¹⁾ Bibl. Warsz. kwiecień, 1875 r. Co do kwestyi organizmu języka por. ciekawą i gruntowną rozprawę J. Baudouina de Courtenay p. n. *Kilka uwag ogólnych o językoznaństwie i języku.* Petersburg 1871. Przekład polski tej rozprawy, napisanej w języku rosyjskim, byłby prawdziwie pożytecznym dla piśmiennictwa naszego nabytkiem.

na czytającym rozmaite *extra muros* wycieczki Maxa Müllera, niepozostające w żadnej zgoła łączności z przedmiotami dyskusyi. Do takich należy np. ustęp, opiewający szczegóły skandalicznej walki dziennikarskiej Steinthala z Whitney'em ¹⁾.

Po takim *exordium* okolicznościowém, następuje właściwa treść rozprawy, treść w istocie wysoce ciekawa i nauczająca.

Pierwszą kwestyą, ku której kieruje autor swoją uwagę, jest powtarzane nader często w czasach ostatnich mniemanie, jakoby powodem wszelkiej opozycyi przeciw teoryi Darwina była wyłącznie dziecinna trwoga, ażeby człowiek, po udowodnieniu zwierzęcej jego genealogii, nie utracił tego wyniosłego stanowiska, jakie obecnie zajmuje w stworzeniu. Zarzut tego rodzaju spotkał i Maxa Müllera. „Gdy nasz językoznawca oksfordzki chwyta za broń, są słowa Darwina jun., widoczném jest, iż przejmuje go bojaźń o poniżenie godności człowieka w razie, gdyby naukowym stało się pewnikiem, że przodkami jego są gatunki niższe.“ Co prawda, odrzeka Müller, nie poczytywałbym sobie tego zgoła za ujmę, gdyby mię w istocie bojaźń podobna przenikała. Lecz czy coś podobnego miało w rzeczy samej miejsce, o tém niech czytelnicy sądzą z następującego ustępu. „Czy twierdzenie, mówiłem w jednej z prelekcji swoich, że istoty, tak wielce oddalone od siebie, jak człowiek, małpa, słoń, ptak rajski, żaba, wąż i ryba od jednych pochodzą antenatów, czy twierdzenie to, powtarzam, zawiera w sobie coś straszliwego, nie obchodzi to nas najzupełniej. Idzie tu bowiem o to jedynie, czy ono jest słuszném, czy nie? Jeżeli jest słuszne, to snadnie je strawić zdołamy. Zgoła tedy za niewłaściwe poczytuję w naukowości, jeżeli kto odwołuje się do dumy czy pokory człowieka, albo gawędzi o odwadze naukowej lub pobożności religijnej. Zadaniem wszelkich poszukiwań naukowych jest zadosyćczynienie postulatowi *mysli*, nie zaś potrzebom *uczucia*.“

Czyni mi pan Darwin zarzut (streszczamy dalszy ciąg repliki autora), że zaprzeczam niewątpliwemu faktowi, iż w przyrodzie organicznej nie ma stałych i niewzruszonych gatunków, lecz że takowe ulegają przeobrażeniom ustawicznym. Jeżeli kto zapożycza termi-

¹⁾ Z powodów rozmaitych, o jakie nietrudno między specjalistami, zawiązała się była przed kilku laty żartka wymiana pocisków piśmiennych pomiędzy uczonym berlińskim H. Steinthalem a w mowie będącym Whitney'em. Nie wchodząc w szczegóły tego niezbyt zaszczytnego dla obu stron walczących starcia, nadmienimy tylko, że ostatnim (dotychczas przynajmniej) jego epizodem był artykuł Steinthala w Ztschft f. Völkerpsych, u. Sprachwiss, (tom VIII, zeszyt 2), pod przysłowiowym napisem: *Wie ciner den Nagel auf den Kopf trifft*. W artykule tym, skreślonym w formie trawestującej dialogi Platona, czytamy między innymi tego rodzaju *epitheta ornantia*: „der Tolpatsch,“ „der kniffige Advocat,“ „der Geck,“ „der Jesuit,“ „er schilt wie eine keifende beleidigte Coquette,“ „Herr Whitney lügt,“ etc. etc. Uprzejmość to, niezbyt kwadrująca z togą professorską i powagą uczonych!

Dalszy ciąg rozprawy, po kilkunastu trafnych uwagach psychologiczno-porównawczych wypełnia rozbiór stosunku między wyrazami a myślą. Czytelnicy, znający odczyty londyńskie M. Müllera w oryginale, albo w pomienionym wyż przekładzie p. Lubowskiego, wiedzą, iż znakomity professor przeczy stanowczo odrębności myśli od słowa. W piśmie, które streszczamy, nie odstępuje wprawdzie od raz przyjętej zasady, lecz łagodzi ją w sposób, w jaki, mniemaniem naszym, istotnie pojmowaną być winna. Powodem zaś ustępstw były, jeśli się nie mylimy, uwagi krytyczne Whitney'a we wzmiankowanym już dziele (str. 547—595), albo téż, co prawdopodobniejsza, dokładny rozbiór psychologiczny téj kwestyi, dokonany przez Steinthala w jego *Zarysie nauki języka* (Berlin, 1871 t. I str. 44—72). Twierdzi więc Müller, że myślenie pojęciowe (*begriffliches oder discursives Denken*) możliwém jest jedynie za pośrednictwem wyrazów: „myślenie jest niczém inném, tylko cichą rozmową człowieka z własną samowiedzą.“ Tak określone myślenie jest właściwe tylko człowiekowi, a prostém téj okoliczności następstwem jest, że on tylko jeden posiada mowę. Gdyby zwierzę zdołało stargać ten ustrój psychiczny, jaki mu dała natura, gdyby zdołało myśl swą skojarzyć z dźwiękiem węzłami nierozzerwanymi i wypowiedziało samoistnie jeden chociażby wyraz pojęciowy, jedno jedyne „ja,” zwierzęciemby być przestało.

Roztrząsanie, następujące po analizie stosunku wyrazów do myśli, jako zawierające treść specjalnie lingwistyczną, a przeto dla szerszego koła czytelników mniej zajmującą i dostępną, pomijamy w streszczeniu niniejszém. Kogo zajmują kwestye językoznawcze, ten nie poprzestanie zapewne na sprawozdaniu naszym, lecz przestudjuje rozprawę Müllera dokładnie, jak na to ze wszech miar zasługuje. Nie możemy natomiast pominąć pełnych głębokiej treści uwag końcowych i dlatego przytaczamy je w dosłowném tłumaczeniu.

„Jakiż jest cel tych waśni zaciekłych a nieskończonych o to, czy człowiek jest potomkiem gatunków niższych czy nie? Jest to zagadnienie naukowe, i dlatego w duchu rzeczyciwistój nauki, bez namiętności i wszelkich innych względów ubocznych, roztrząsaném być winno. Po cóż wyszukiwać mamy sztucznych granic, gdy nie ma rzeczywistych? po co zaprzeczać tym ostatnim, jeżeli istnieją? Niech będzie co chce, my pozostaniemy tém, czém jesteśmy. Pytanie jest dość proste, i tylko gdy przeniesiemy je w zamierzchły okres czasów przeddziejowych, staje się ciemném i zawikłaném. Czas atoli i przestrzeń nie wiele wpłynąć mogą na rozwiązanie tego problemu. Rozważmy oto stan rzeczy współczesny. Zapewniają nas ewolucyoniści, mianowicie badacze najniższych sfer rodu ludzkiego, że istnieją dzicy, których mowa nie lepszą jest od kwakania i świergota ptaków i którzy pod wielu względami niżej stoją od wyższych rodzajów zwierzęcych. Dobrze więc przypuśćmy, że tak jest w rzeczy samój; tém nie mniej atoli i to jest prawdą niezbitą, że jeśli weźmiemy nowonarodzone dziecię owych kwaczących i świergojących rodziców i wycho-

wamy je wspólnie z dziećmi najwyżej pod względem cywilizacji stojących narodów, dziecię to będzie mówiło po niemiecku, francuzku i angielsku, jak gdyby było potomkiem Niemca, Francuza albo Anglika. Zechciejmy pwtóżyć próbę tegoż rodzaju z młodem zwierzęciem najświetniej nawet uorganizowanego gatunku, a usiłowania nasze okażą się płonnymi. Warunkiem zdolności do wyuczenia się jakiegokolwiek języka nie może być w tym razie „wzmożona potęgą układu nerwowego, przechodząca dziedzicznie od rodziców na potomstwo,” boć ojciec i matka, wedle świadectwa agriologów, kwaczą jak kury. Jest to fakt, który albo na mocy doświadczeń i obserwacji uchylonym albo przez darwinistów objaśnionym być winien.

Przypuśćmy teraz, że przed miryadami lat, z pośród miriad istot ożywionych, jedna i tylko jedna zrobiła krok pierwszy, który ją powiódł do utworzenia mowy, wówczas gdy cały obszar reszty stworzenia niemym pozostał. Cóżby to znaczyło? Znaczyłoby to mniemam, że istota owa, podobnie jak dziecię kwaczących dzikich, musiała posiadać *coś*, czy to zaród, czy dar, czy zdolność, w każdym razie *coś*, będące dla niej i dla ich potomków cechą gatunkową. Czy powiemy, że to *coś* powstało samo przez się, czy też że było wynikiem otoczenia albo darem zasady wszechbytu, nie zmieni to stanu rzeczy bynajmniej. Wszystko to bowiem z ludzkiego biorąc stanowiska, są odmienne wyrażenia na oznaczenie jednej wielkiej Niewiadomej. Jeżeli ów zaród *Logosu* istotnie przechodzić musiał formy tysięczne od wymoczków i ascydy aż do Adama, nim zdołał osiągnąć właściwego stopnia rozkwitu, możeż to nam uwłaczać? Czyż bowiem skarżymy się na stany embryologiczne, które przechodziliśmy przed narodzinami? *Logos* istniał od początku, istniał w zarodzie *in potentia*, nazwijmy to zresztą jak się podoba, dość nam że istniał. A skoro istniał, musiał się wyjawić tam gdzie przebywał—w człowieku, a nie mógł tego dokonać tam, gdzie go nie było—w zwierzęciu, które zwierzęciem było i pozostało zwierzęciem, od początku do końca, albo przynajmniej do chwili obecnej.

Zaiste możemy z wysokości wiedzy współczesnej spojrzeć wyśiósł na powagę wieków uświęcony pewnik: *ex nihilo fit nihil?* możemy swawolnie gwałcić najelementarniejszą zasadę badania? Przechodząc na to pytanie odpowiadamy wszyscy. A jeśli tak jest, to nie zapominajmy, że mowa jest zjawiskiem—zjawiskiem, jakiemu równych niewiele w istnieniu. Zjawisko to musiało mieć przyczynę; nie określamy bliżej, jaką ona była w przedjutrze dziejów, to bowiem dla nas wystarcza, że *różną być musiała* od kroci innych czynników pokrewnych, co mowy nie zdradziły, bo... zrodzić nie mogły.”

Przedstawiwszy w ogólnych zarysach tę rozprawę, szczupłą rozmiarami lecz poważnej treścią, będącej, nadto w chwili obecnej przedmiotem żarliwych dyskusyj i żywego zajęcia w świecie naukowym, komentarze i wnioski pozostawiamy czytelnikom.

M. Wł. Dębicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

— *Czerwiec 1876.* W połowie b. m. wyszedł trzeci i ostatni zeszyt wspaniałej publikacji *Album Jana Matejki*, które zaprawdę uważać możemy za pomnikowe dzieło dla sztuki polskiej. Dobrze pisze *Kronika Rodzinna*: „pod względem przepychu wydawnictwa, jest to ostatni wyraz doskonałości dzisiejszego drzeworytnictwa, nietylko u nas ale poniekąd i zagranicą. Wyższego kunsztu w rysowaniu specjalnem dla drzeworytnika, w wycięciu przez najlepszych naszych rytowników, i odbiciu na prześlicznym papierze mlecznym żądać prawie niepodobna.“ Album to pozostanie na zawsze pomnikiem, na jak wysokim stopniu stanęło u nas drzeworytnictwo w krótkim lat przeciągu. Prassa nasza, mówiąc o wydaniu tego zbioru rysunków genialnego mistrza, z których każdy jest dziełem sztuki, zapomina podnieść znaczenie rytowników, którzy tu główne położyli zasługi. Rylcem drzeworytnika nietylko kierować musi rysunek, ale i poczucie artystyczne, ażeby oryginał nietylko wiernie odtworzył, ale cechy wybitne mistrza i charakter właściwy dochował. W liczbie 82 rycin, które składają całość Album Matejki, 41 czyli połowa wyłącznie są rylca *Jana Styfięgo* Warszawianina, a pomiędzy temi utwory największych rozmiarów, jak *Stefan Batory pod Pskowem*, *Zygmunt August w Lublinie*, *Mikołaj Kopernik*, *Piotr Skarga kazący wobec Zygmunta III*, *Wnętrze grobu Kazimierza Wielkiego*, *Maciek Borkowicz*, *Władysław Biały w Dijon*, *Wil-Stwosz*, *Stańczyk*, *Śmierć Wapowskiego*, *Jan Kochanowski nad zwłokami Urszuli*, *Michał Sędziwój*, *Jan Kazimierz na Bielanach pod Krakowem*, *Wskrzeszenie Łazarza*, *Czytanie wyroku śmierci*. Tegoż rylca jest 26 wizerunków większych i mniejszych odtworzonych przez Matejkę z pieczęci, pomników, medali i dawnych sztychów. *Józef Holewiński* rytował portret Matejki, a z większych obrazów: *Śmierć Przemysława*, *Wyciąganie dzwonu Zygmunta*, *Zygmunt August i Barbara Radziwiłłówna*, *Otrucie królowej Bony*; oraz kilka portretów współczesnych. *Edward Gorazdowski* rytował z większych obrazów: *Iwana Groźnego* i *Wieszczbę Ukraińskiego Lirnika*. *Andrzej Zajkowski*, artystycznie wykonał wielką kompozycją Matejki *Rejtan*. W dziale „starożytnych budowli i zabytków” najwięcej rytował zmarły *Franciszek Szymborski*. Po nim także już nieżyjący *Feliks Zablocki*. Wspominając o tych artystach rytownikach, nie możemy pominąć i pressera *Antoniego Grzeszkiewicza*, który całe Album odbijał na prassie pośpiesznej w zakładzie typograficznym wydawcy S. Lewentala. Kto zna bliżej techniczną stronę wykonania podobnego

wydawnictwa, ten wieć, jak wiele zależy na presserze. Rytownik dobrze spełni swoje zadanie, ale przy nieumiejętném odbiciu cała praca i wszelkie ślady z talentem oddanego rylcem rysunku zginą, pod ręką niezdarnego pressera. Musi on wiele starań sumiennych przyłożyć, wiele prób poprzednio wykonać, mieć smak i poczucie artystyczne, ażeby należycie każdy drzeworyt odbić, z zachowaniem światła i cieniów, perspektywy i najdelikatniejszych dotknięć rylca drzeworytnika. Te wszystkie zalety posiadają odbite tablice Albumu.

Wydawca po spisie rycin, w skromnej odezwie tłumaczy się z powodu zwłoki, gdyż wykonanie przeciągnęło się nad jego zamiar do lat trzech, ale prenumeratorowie zyskali na tej zwłoce nie mało, gdyż tu weszły ostatnie kompozycje największych rozmiarów Matejki. Album to obejmuje niemal wszystkie utwory jego pędzla, wykończone do początku roku bieżącego.

Wspomina następnie o trudności w wykonaniu, o potrzebie pracy kilku miesięcy nad każdym drzeworytem większych rozmiarów, a oddane być mogły tylko „najlepszym drzeworytnikom, jakich w kraju mamy nie wielu, a jakich za granicą szukać daremno.“

Na zaletę niemałą tej publikacji i to dodać należy, że wydaną została, wyłącznie siłami krajowemi; albowiem papier dostarczyły fabryki krajowe pp. Moesa w Pilicy i Roeslera w Jeziorny, a druk jak i strona artystyczna w zakładach wydawcy.

— Po znanym historyku Mikołaju Malinowskim zmarłym w roku 1864, pozostało dzieło nieocenionej wartości: *Historja Jagiellonów w Węgrzech*, zaczynająca się od rządów królowej Elżbiety, a kończąca ze zgonem ostatniego Jagiellończyka w Węgrzech, Ludwika poległego pod Mochaczem w r. 1526. Redakcja „Kroniki Rodzinnéj,“ ogłasza, że ktoby zechciał zająć się wydawnictwem tej pracy Malinowskiego, bliższych informacji udzieli. Ważna byłaby to przysługa dla literatury naszej.

— „Podręcznika dla Sądów Gminnych Królestwa Polskiego“ wydania prof. d-ra Miklaszewskiego, już wyszedł zeszyt V tomu drugiego.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, jako wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej wyszła rozprawa *Ludwika Górskiego*: „O dobrowolnych umowach właścicieli folwarcznych z włościanami, w celu zniesienia służebności pastwiskowych i leśnych w Królestwie Polskiem.“ Przedmiot żywo obchodzący naszych ziemian.

— Nakładem autora wyszła rozprawa, godna zwrócić uwagę wszystkich miłośników literatury i języka ojczystego, p. n. „Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincjonalizmy, zebrał Aleksander Walicki. Warszawa 1876. (w 18-ce str. 103).“ Już w tym przedmiocie, poprzednio pisali T. Massalski, H. Suhecki, a w ostatku dr. F. K. Skobel, wykazywali liczne błędy mowę naszą każące. Nasz autor, w ich ślady dalej poszedł, i niemałą usługę mowie ojczystej oddał.

— W dalszym ciągu wydawnictwa *Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej* wyszły tom V i VI nakładem Spółki wydawniczej księgarzy; obejmują: opisy niektórych okolic Polski, wspomnienia z podróży w obce kraje, życiorysy znakomitszych Polaków i życiorys Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

— W jednym z teatrzyków ogródkowych w naszym mieście, przedstawiono: *Emanypacją Sabiny*, ramiętę dyalogowaną Augusta Wilkońskiego, jednego z pierwszych humorystów polskich, w okresie od roku 1841 do 1860. Biblioteka Warszawska drukowała ten dyalog.

— Nakładem księgarni St. Arcta w Lublinie wyszła w drugiej edycji *Augusta Jeske'go Mała stylistyka*, zawierająca materiały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń w nauce języka ojczystego. Część I dla dzieci od lat 9 do 12 (w 12-ce str. 96).

— Ks. Antoni Brykczyński w Nr. 47 *Korrespondenta Płockiego* podaje do wiadomości publicznej zajmujące szczegóły o wynalezionych śladach istnienia w Warszawie fabryk gobelinów, prosząc zarazem badaczy, ażeby zechcieli na miejscu zbadać gruntownie tę kwestyą i stanowczo orzec, czy i kiedy istniała fabryka gobelinów w Warszawie? W dalszym ciągu pisze:

„Obecnie w skarbcu katedry Płockiej znajduje się pięć gobelinowych ornatów:

1. Najpiękniejszy pod względem rysunku jest ornat biały, przedstawiający z jednej strony Chrystusa na krzyżu, odznaczającego się wyrazistością karnacy i pełnym bołości wyrazem twarzy; z drugiej zaś narzędzia męki Pańskiej z napisem u dołu: „Fait à Varsovie, A. S. K. Z. E. C. & P. A. C. C. ac P. S. R. C. 1745; dalej następuje kilka liter, których rysunek wyblakły zupełnie dokładnie odczytać nie daje, zdają się one jednak zawierać francuzkie nazwisko fabrykanta. Cały ten napis wyrobiony w samej tkaninie, zdaje nam się być wyraźnym dowodem, iż w roku 1745 mieliśmy fabrykę gobelinów w Warszawie i że Andrzej Stanisław Kostka Załuski, 70-ty z kolei biskup płocki, przeniesiony potem na biskupstwo chełmińskie, jako od roku 1739 wielki kanclerz koronny, ofiarował dawniej swój katedrze płockiej ten ornat, zanim jeszcze został biskupem krakowskim w r. 1747.

2. Ornat czerwony, przedstawiający również z jednej strony P. Jezusa ukrzyżowanego, z drugiej zaś narzędzia męki Pańskiej. U dołu herb Załuskich: Junosza, wkoło niego litery: A. Z. B. K. bez daty; jest więc darem Andrzeja Chryzostoma Załuskiego, herbu Junosza biskupa kijowskiego, a od roku 1693 płockiego, następnie 1698 r. warmińskiego, a od 1702 kanclerza koronnego, założyciela sławnej biblioteki imienia Załuskich.

3. Ornat zielony z tymże rysunkiem i napisem u dołu: A. S. K. Zału. Epi. Colm. et Pom. Sup Reg. Can. 1747, jest więc darem téjże ręki co i ornat umieszczony pod numerem pierwszym, to jest Andrzeja Stanisława Kostki Załuskiego.

4. Ornat czerwony bez herbu i napisu, również z narzędziami męki Pańskiej.

5. Ornat czarny, żałobny, bez herbu i napisu.

Czyjemby darem były ornaty czarny i czerwony, pozbawione wszelkich napisów i herbów, z miejscowych źródeł nie mogliśmy się dowiedzieć; zdaje się jednak, że są one kopią dwóch wyżej wzmiankowanych ornatów, daru Andrzeja Stanisława Załuskiego.

Ponieważ ornat gobelinowy płocki pod Nr. 1 opisany, jest o ile nam wiadomo, jedynym zabytkiem tej gałęzi utworów artystycznych miasta Warszawy, pozostałe zaś są cennymi zabytkami sztuki, uważaliśmy sobie za obowiązek podzielić się z publicznością krótką o nich wzmianką, uprzejmie prosząc ludzi fachowych o obszerniejsze w tym względzie wiadomości. Gdyby zaś który z szanownych badaczy przeszłości naszój, kompetentny w tym względzie, zechciał, przy ułatwionój dzisiaj komunikacyi parowcem, na miejscu tak cenne ozdoby naszego skarbcza katedralnego obejrzyć i opisać, byłoby to dla nauki pożytecznym, a dla nas prawdziwie miłym i zaszczytnym.“

— Konkurs w kwestyi kołtuna, ogłoszony przez Wileńskie Towarzystwo Lekarskie przed *dwudziestu kilku laty*, doczekał się nareszcie rozwiązania. Z listu otrzymanego z Wilna, *Medycyna* dowiaduje się, iż w dniu 8 maja r. b. Towarzystwo Lekarskie Wileńskie odbyło posiedzenie nadzwyczajne dla wysłuchania sprawozdania komisji, do ocenienia prac na konkurs o kołtunie nadesłanych wyznaczonej. Po odczytaniu sprawozdania przez d-ra Lewandowskiego, referenta rzezonój komisji, przystąpiono do głosowania i jednomyślnie przyznano nagrodę konkursową rs. 500 autorowi pracy opatrzonej znakiem *Salva meliori*. Autorem takowój okazał się pan Henryk Dobrzycki, lekarz szpitala w Mieni. *Medycyna* przy tej okoliczności twierdzi; „iż kwestya kołtuna, która trzy wieki z górą była przedmiotem zaciętych walk i sporów, nareszcie uznana została za ostatecznie rozwiązana.“

— *Atlas do historii powszechnój konia, Maryana hr. Czapskiego przedstawiający w LXXV tablicach typy koni rozmaitych krajów i wszystkiego, co od najdawniejszych czasów tego przedmiotu dotyczy, i ozdobiony portretem M. hr. Czapskiego, na miedzi rytym przez Maryana Jaroczyńskiego, wydała księgarnia Jana Konstantego Żupańskiego z rysunków własnoręcznych M. hr. Czapskiego. Poznań 1876.*

„Wspaniałe dzieło (pisze J. I. Kraszewski) niedawno zmarłego pracownika, który znaczną część życia poświęcił na jego dokonanie, dopełnione zostało niezbędnemi do niego ilustracyami. Atlas ten za granicą, pewnie przez hippologów lepiej zostanie oceniony niż u nas, gdzie wszystkie miłości tak ostygły, że nawet owa miłość dla koni, na którą się Skarga uskarżał, niemal wygasła. Któżby to był przed niedawnym czasem przewidywał, że szlachcie się z koniem rozbrata? A no

dziś rozbrataliśmy się z tylu tradycjami, że się temu dziwić nie można. Nadzwyczaj bogatym jest ten atlas, a nie mówiąc już o wielkiej różnorodności typów, z których część z natury rysowana i wcale dotąd była nieznaną (konie ruskie), sama część starożytnicza jest znakomitą. Dla archeologów nicoszacowany to zbiór, bo nie przekopowany niewolniczo z żadnego innego, ale mozolnie zgromadzony własnymi autora poszukiwaniami."

Zamyka J. I. Kraszewski obszernie swoje sprawozdanie o tej szacownej publikacji temi słowy: „W żadnym języku europejskim nie w tym przedmiocie dającego się z pracą Maryana Czapskiego porównać nie znamy."

— Równocześnie dwóch tłumaczy zabrało się do przekładu *Iliady* Homera: dr. Paweł Popiel w Przeglądzie Polskim dał próby swęj pracy wierszem miarowym z oryginału, gdy u nas znany od lat wielu prof. Feliks Jezierski, już kilka pieśni przetłumaczył, również z oryginału greckiego rymowym wierszem. Wkrótce damy próbę tego przekładu.

— Węgierska Akademia Umiejętności ogłasza konkurs na pracę historyczną z nagrodą zhr. 1500 z tematu: „opisać z użyciem polskich źródeł historiją punktów stycznych między narodami Polskim i Węgierskim, pod względem politycznym i cywilizacyjnym." Warunki konkursu nie kładą żadnych zastrzeżeń co do narodowości autora, termin do składania prac konkursowych wyznaczony został do końca r. 1880.

— Na posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 13 maja r. b., w wydziale filologicznym, prezes Akademii dr. J. Majer odczytał pismo miłośników literatury z poza grona Akademii. wzywające je o ustalenie pisowni. Pismo to gruntownie umotywowane, obejmujące zarazem zobowiązanie bezwzględnego przyjęcia i rozpowszechnienia tych zasad, które Akademia uzna za stosowne, odstąpiono komisji językowej. Ufamy, że komisya ta zajmie się gorliwie tą sprawą, a ułatwienie nie małe znajdzie w pracy b. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, która dotąd zatrzymała jeszcze poważne swoje znaczenie.

W dniu 31 maja r. b. komisya antropologiczna uchwaliła za proszenie do swego grona na członka komisji księdza Władysława Siarkowskiego znanego ze studyów etnograficznych, a współpracownika naszego pisma.

Na posiedzeniu wydziału filologicznego d. 7 czerwca r. b., pod przewodnictwem dyrektora tegoż wydziału Lucjana Siemińskiego przedstawiono pracę Władysława Wisłockiego p. n. *Legenda o Świętym Aleksym*. Jest to wiersz polski, rzadki zabytek z r. 1454, odkryty w rękopismach biblioteki Jagiellońskiej.

— Coraz więcej z ukrycia ukazuje się cennych zabytków z literatury tak ostatnich lat XVIII stulecia jak i początków naszego stulecia. Wiktor hr. Baworowski nadesłał Akademii Umiejętności Krakowskiej rękopism pism nieznanych poczyi *Rajmunda Korsaka*, a byłto rzeczywisty talent poetyczny i władający po mistrzowsku ojczystym językiem. Sama pomieniona akademia ogłosiła w dwóch *Sprawozdaniach* roz-

prawę St. hr. Tarnowskiego o pozostałych rękopismach ś. p. *Franciszka Weżyka*, które z nieznanéj dotąd strony pokazują talent tego jednego z najświetniejszych poetów z okresu Księztwa Warszawskiego.

— Lucyan Siemieński ogłosił drukiem rozprawę: *O kobierctwie: Arrasy i kobierce Zygmunta Augusta*, w której podając wiadomość o najświetniejszych tego rodzaju wyrobach, opisuje szczegółowo *szpalery* (gobeliny), które zdobiły ściany zamku królewskiego na Wawelu. Cenny ten zabytek sztuki, znajduje się w kilku pałacach Petersburskich, jak i w Gątczynie o mil sześć odległym od stolicy cesarskiej.

— W znanych kąpielach w Iwoniczu nie daleko Krośna (w Galicyi) w zeszłym roku wystawiono pomnik przy źródle Bełkotki *Wincentemu Polowi* w pośrodku którego wyryto na marmurowej płycie wiersz jego, napisany niegdyś na cześć tegoż źródła. Wierzch pomnika zdobi rzeźbiona lutnia zakryta w połowie otwartą księgą, owinięta gałązkami lauru. Co rok pomnik ten wieńczą wiązanki z żywych kwiatów.

— Józef Szujski napisał i wydrukował nowy dramat w pięciu aktach wierszem rymowym i prozą naprzemianną, pod napisem *Śmierć Władysława IV*.

— Podaliśmy w poprzednich zeszytach wiadomość o skradzeniu słynnego „rogu pamiątkowego górników wielickich” dzieła szacownego, jako zabytku sztuki XVI wieku. Professor dr. Józef Łepkowski, jako konserwator wszelkich zabytków w Galicyi zachodniej z urzędu, nie ustawał w swych poszukiwaniach i odkrył, że róg ów znajduje się w zbiorze jednego ze znakomitych zbieraczy niemieckich. Jaką drogą ta cenna pamiątka odzyskaną zostanie, zawiadomimy naszych czytelników.

— W *Gniewie* pod Gdańskiem na dawném Pomorzu, na starożytném cmentarzysku znaleziono rzadkie na północy urny z wyobrażeniem twarzy ludzkiej. U uszu téj twarzy wisały kolczyki brązowe z czterema perełkami ze szkła niebieskiego. U innéj urny znaleziono tylko uszy z kolczykami.



Dnia 16 marca r. b., zmarł w Tarnowie w Galicyi **Wiktor Makurewicz** inżynier kolei Karola-Ludwika (urodzony w Klekotowie pod Brodami), technik wykształcony we Lwowie i Wiedniu. Wspomina no wielokroć w pismach naszych o jego wybornych akwarelach, które z szczególném zamiłowaniem zdejmował z polskich zabytków stylu ostrołukowego. Piękne stalle katedry tarnowskiej, z jego rysunków wydano w drzeworytach w „Gewerbehalle,” także w wiedeńskich „Mittheilungen,” organie centralnéj komisyi konserwatorskiej (r. 1875 T. I). Rysował i publikował architektoniczne ozdoby z rzeźb Stwosza, przygotował do wydania przerysy kielichów tyńcekich, zrobił projekt od-

budowy wieży katedry Tarnowskiej. Dla studyów stylu ostrołukowego odbywał podróże. Suchoty gardlane które mu przed kilku laty głos odebrały, sprowadziły wczesny (w 32 roku życia) skon tego zacnego człowieka, biegłego urzennika, a pracowitego i zdolnego miłośnika za-
bytków przeszłości.

— Dnia 18 maja r. b. we wsi *Krzykawce* powiecie Olkuskim, zakończył życie licząc lat 66 wieku włościanin *Mikołaj Liszka*, odznaczający się obywatelską cnotą. Prawym charakterem, zacnym sposobem myślenia, radą i pomocą, których nigdy nie odmawiał, zyskał nietylko szacunek innych włościan, ale i rzeczywistą przyjaźń właścicieli dóbr w których mieszkał. Gdy okoliczności zmusiły tych właścicieli na długi czas opuścić dom swój, ś. p. *Liszka* objął zarząd całego majątku, a z obowiązku tego wywiązał się tak, że zasłużył na dozgonną szczerą wdzięczność całej rodziny. Śmierć jego wywołała żal ogólny, pogrzeb liczny sprowadził orszak z dalszych nawet okolic, włościan i szlachtę; razem w połączeniu bratniem, złożyli hołd należny obywatelskim zasługom zmarłego, który synów swoich wychował troskliwie, aby w ślady jego godnie wstąpili.

— Dnia 22 maja r. b. umarł w 71 roku życia we wsi Brzeźnicy pod Krakowem *Adam Gorczyński*, znany pod pseudonimem *Jadama z Zatora*. Życiorys zgasłego męża, który w literaturze zarówno jak w kole obywatelskiem piękne zasługi i imię zostawił, podały „Tygodnik Illustrowany i Kłosy,“ a poprzednio „Encyklopedia Powszechna“ S. Orgelbranda.

— Dnia 7 czerwca r. b. w Cieclocinku zakończył życie *Feliks Mikorski* obywatel ziemski, autor bajek które ogłosił drukiem w roku 1868—9 w Warszawie w 2 częściach, a w r. 1873 z drzeworytami. Zasiłał stale tego rodzaju utworami, pismo popularne J. K. Gregorowicza „Przyjaciół dzieci.“

— Dnia 18 czerwca r. b. na cmentarzu Powązkowskim położony został kamień pogrobowy na mogile zasłużonego męża. Obok godła wiary, nadziei i miłości, czytamy następuny napis:

„Ja jestem drogą, prawdą i życiem; kto wierzy we mnie żyć będzie na wieki. Ś. p. *Jgnacy Benedykt Rakowiecki* rolnik i literat. Żył cnotą i nauką. Umarł d. 22 lipca 1839 r. Ukochanemu ojcu syn 1876 r.“

Rakowiecki był czynnym członkiem b. Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*